

Barbara Cartland

Zdażyć z miłością

No Time for Love



Rozdział 1

1904

Idąc Wimpol Street. Larina pomyślała, że gdzieś w tej okolicy mieszkali Barrettowie.

Przypomniała sobie pokój, w którym przez wiele lat przebywała Elizabeth Barrett, dręczona przeświadczeniem, że jest nieuleczalnie chora i że już do końca życia pozostanie inwalidką. Nagle w jej życiu pojawił się Robert Browning i wszystko się zmieniło.

Jak ciebie kocham? Pozwól niech wyliczę.

Kocham głęboko, daleko, jak zbiec Potrafi dusza...

(Przekład Ludmiły Marjańskiej)

Przypominając sobie te piękne słowa, Larina zastanawiała się, czy kiedykolwiek zapala takim uczuciem do mężczyzny.

A gdyby tak, pomyślała, mężczyzna podobny do Roberta Browninga zjawił się teraz tutaj i poprosił, bym pojechała z nim do Włoch? Czy zgodziłabym się?

Roześmiała się tylko i pomyślała, że nigdy nie zdobyłaby się na taką odwagę jak Elizabeth Barrett.

Westchnęła ciężko.

„Nie ma dla mnie Robertów Browningów”, powiedziała sama do siebie. „Muszę być realistką? Muszę przede wszystkim znaleźć pracę”.

Matka często ganiła ją za sny na jawie, za to, że Larina pozwalała swej wyobraźni uciekać od ziemskich spraw do świata fantazji, w którym mogła zapomnieć o wszystkim innym.

Praca! Praca!

To słowo nie dawało jej spokoju. Wciąż kołatało się w jej umyśle i Larina wiedziała, że będzie mieć z tym kłopoty.

Kobiety z jej warstwy społecznej nie pracowały. Mieszkały z rodzicami aż do zamążpójścia, a potem zajmowały się domem, w którym wszystkie najbardziej nudne

i nieprzyjemne zajęcia wykonywała służba. Były to jednak kobiety, a raczej damy, zamożne.

Larina nagle poczuła dreszcz strachu o swoją przyszłość.

Ostatnie pieniądze, jakie miały, wydały na leczenie matki, ale przecież nic nie było ważniejsze od jej wyzdrowienia.

Niestety nawet pieniądze nie uratowały pani Milton. Po śmierci matki dla Lariny świat przestał istnieć.

Podczas wielomiesięcznego pobytu w sanatorium ani raz nie dopuściła do siebie myśli, że mogłaby kiedykolwiek żyć samotnie. Pocieszała się, że matka będzie żyła. Wierzyła, iż jej modlitwy będą wysłuchane. Optymistycznie ufała w przyszłość.

Okazało się jednak, że była to radość naiwności, jeszcze jedna fantazja, z której teraz Larina musiała się otrząsnąć.

Szła zamyślona i dopiero przy kamienicy nr 73 zorientowała się, że minęła numer 55, którego szukała.

Zawróciła. Znowu pomyślała o Robercie Browningu. Wyobraziła sobie, że, podobnie jak ona, idzie teraz do domu Barrettów. Widziała jego podnieconą twarz i słyszała kroki. Szedł szybko, bo bardzo pragnął być znów z Elizabeth.

...Dopóki tchu w piersi,

Kocham łzą, śmiechem, życiem!

A gdy zechce Bóg,

Będę cię jeszcze bardziej kochała po śmierci.

(Przekład Ludmiły Mariańskiej)

Larina pomyślała, że słowa te były podyktowane Elizabeth przez śmierć, zawsze obecną w jej myślach.

Jak mogła być tak pewna, że przezwycięży śmierć? Skąd mogła wiedzieć, iż gdziekolwiek się znajdzie, zawsze będzie myśleć o Robercie i kochać go? Nikt nie znał odpowiedzi na te pytania.

Larina znalazła w końcu numer 55. Wspinała się po schodach ogrodzonych z obu stron żelazną balustradą.

Zatrzymała się i popatrzyła, na drzwi w brzydkim odcieniu zieleni, ciężką mosiężną kołatkę i wąską szczelinę skrzynki na listy.

Ta wizyta to tylko strata pieniędzy, pomyślała. Na pewno będzie kosztować gwineę albo nawet dwie, a mnie właściwie na to nie stać.

Zawahała się. Może powinna odejść?

Czuła się przecież tak dobrze, na pewno wszystko było z nią w porządku. Jednak obiecała doktorowi Heinrichowi, że miesiąc po powrocie z sanatorium pójdzie na badanie do sir Johna Coleridge'a, lekarza rodziny królewskiej.

- Uważam, iż nie ma żadnego niebezpieczeństwa, aby mogła się pani zarazić od matki gruźlicą - - powiedział doktor łamaną angielszczyzną podczas ich ostatniej rozmowy w sanatorium.

- Zachowywałam wszelką ostrożność, zgodnie z pana zaleceniem - odpowiedziała Larina. - Nie kontaktowałam się z innymi pacjentami; oprócz tych poza sanatorium.

- Świetnie się pani spisywała, panno Milton - wzorowy odwiedzający, można powiedzieć. Nie tak jak niektórzy krewni przysparzający mi często tylu trudności.

- Zawsze będę panu głęboko wdzięczna za jego dobroć dla mamy - powiedziała Larina.

- Gdyby tylko przyszła do mnie wcześniej - westchnął doktor Heinrich. - Strata pacjenta to dla mnie okropne przeżycie, gorsze, niż mogę wyrazić, panno Milton. Jednak w przypadku pani matki płuca były już tak zainfekowane, że nie mogłem jej uleczyć. Nawet wspaniałe powietrze Szwajcarii nie mogło tu pomóc.

- Mama była jeszcze dość młoda - powiedziała Larina cicho, jakby do siebie. - Sądziłam, że będzie to miało duże znaczenie.

- Miałoby - odparł doktor Heinrich - gdyby zwróciła się do mnie co najmniej rok wcześniej. Wtedy. można byłoby mieć nadzieję, że przeżyje.

Przerwał, a po chwili dodał:

- Będę z panią szczerzy, panno Milton. Pani matka nie pomogła mi w takim stopniu, jak powinna była. Jeśli pacjent ma wolę życia, jeśli uparcie chwyta się życia, jest to często o wiele bardziej skuteczny lek niż cokolwiek, co może przepisać lekarz.

- Mama tak bardzo tęskniła za ojcem - odrzekła Larina. - Byli tacy szczęśliwi. Powiedziała mi kiedyś, iż utracić go to tak, jak stracić połowę siebie. Czuła, że nie ma już po co żyć.

Głos jej zadrżał. Być może dlatego doktor odezwał się nieco łagodniej:

- Teraz musimy myśleć o pani. Ma pani jakiś pomysł, co robić dalej?

- Wrócę do Londynu. Po śmierci ojca mama wynajęła mały dom w Belgravii. Do niedawna mieszkali tam inni lokatorzy, ale teraz jest akurat wolny.

- Cieszę się - powiedział doktor. - Bardzo panią wszyscy polubiliśmy, panno Milton, i nie chciałbym myśleć, że jest pani sama i nie ma dokąd pójść.

- Proszę się o mnie nie martwić, dam sobie radę - odpowiedziała Larina z optymizmem, którego w głębi duszy wcale nie czuła.

W tym momencie jeszcze nie miała pojęcia, że wszystkie pieniądze, które zostawił ojciec, były już wydane. Ta wiadomość zaskoczyła ją, dopiero kiedy wróciła do Anglii.

- Chcę, aby przyrzekła mi pani coś - rzekł doktor Heinrich.

- Co takiego? - zapytała Larina.

- Po miesiącu pobytu w Londynie proszę udać się, do mojego przyjaciela, sir Johna Coleridge'a, na badanie. Przed

pani odjazdem wykonam wszelkie możliwe testy. Bądźmy szczerzy, przez ponad półtora roku przebywała pani z ludźmi zarażonymi prawie nieuleczalną chorobą.

- Na pewno kiedyś ktoś odkryje lek na gruźlicę! - wykrzyknęła Larina.

- Badania cały czas trwają - odparł doktor Heinrich. - Bez przesady mogę stwierdzić, że do tej pory nie znalazł się nikt, kto leczyłby tę chorobę skuteczniej niż ja. Co prawda moi bardziej ortodoksyjni koledzy nie zawsze oceniają tę terapię życzliwie, jednak grupa tutejszych pacjentów ma się lepiej.

- Wszyscy bardzo ciepło wyrażają się o panu.

- Mimo to miewam porażki. Jedną z nich jest przypadek pani matki. Dlatego musi pani obiecać mi, że zgłosi się na badanie nie tylko za miesiąc, ale jeszcze za pół roku.

Spostrzegłszy wyraz twarzy Lariny, dodał:

- Nie mówię tego, by panią straszyć. Jestem całkowicie pewien, że nie ma żadnej możliwości zarażenia się przez panią suchotami od matki lub kogokolwiek innego. Po prostu doświadczenie mówi mi, iż profilaktyka jest znacznie lepsza niż leczenie.

- Obiecuję! - rzekła Larina.

- Po badaniu sir John powie pani, kiedy chciałby zobaczyć panią ponownie. Musi pani zastosować się do jego poleceń.

Larina skinęła głową. Pomyślała, że byłoby wielką niewdzięcznością z jej strony spierać się z doktorem po tym, kiedy okazał tyle życzliwości.

Ponieważ jej ojciec także był lekarzem, doktor Heinrich brał od matki i od niej bardzo niewielkie sumy, czego pozostali pacjenci jego ekskluzywnego sanatorium mogli tylko zazdrościć.

Mimo to z trudem mogły sobie pozwolić nawet na takie wydatki. Lecz ile by to nie kosztowało, była to jedyna szansa na uzdrowienie pani Milton.

Larina niechętnie wyciągnęła rękę do dzwonka po prawej stronie drzwi. W tym momencie zauważyła napis nad guzikiem:

DZWONEK NIE DZIAŁA - PROSZĘ PUKAĆ

Podniosła więc ciężką mosiężną kołatkę i zastukała dwa razy.

Przez chwilę było cicho. Potem usłyszała kroki na, jak się domyślała, marmurowej posadzce i drzwi się otworzyły.

Spodziewała się zobaczyć służącą. Tymczasem w wejściu stał mężczyzna ubrany w zwykły czarny kitel, Pod wysokim, sztywnym kołnierzykiem miał czarny, starannie zawiązany krawat przypięty spinką z dużą perłą.

- Jestem umówiona z sir Johnem Coleridge'em - powiedziała zdenerwowana.

- Panna Milton? Spodziewałem się pani. Proszę wejść.

- To pan jest sir John?

- Tak.

Larina weszła i zamknęła za sobą drzwi.

- Sekretarka właśnie wyszła na obiad - powiedział sir John, podejrzewając, że może się jej wydawać dziwne, iż sam wpuszcza pacjentów, - A służący rozchorowali się na grypę. To modne o tej porze roku!

- Tak, naturalnie - powiedziała Larina zalekniona. Sir John poprowadził ją przez hol do pokoju, którego okna wychodziły na tylne podwórze. Był to typowy, tak dobrze Larinie znany, gabinet lekarski. Stało w nim imponujące, obite skórą biurko i wysokie, twarde krzesło. Leżanka przy ścianie była na wpół zasłonięta parawanem, a biblioteczka, jak w każdym gabinecie, Wypełniona podręcznikami medycznymi.

Był tam też stół przykryty czystym białym obrusem, cały zastawiony, nie znanymi Larinie, dziwaczными przedmiotami.

- Proszę usiąść, panno Milton - rzekł sir John, usadawiając się za biurkiem i otwierając teczkę, w której Larina dojrzała list od doktora Heinricha. -

Sir John włożył okulary, podniósł list i zaczął go uważnie czytać.

- Doktor Heinrich pisze mi, że pani matka zmarła na gruźlicę - odezwał się po chwili. - Prosi, bym zbadał panią i upewnił się, że nie zaraziła się pani od niej,

- Doktor Heinrich badał mnie, nim opuściłam sanatorium - powiedziała Larina - wszystkie wyniki były w porządku:

- Tak właśnie pisze - odparł sir John z lekką, naganą w głosie, jak gdyby Larina przewidywała, co miał jej do powiedzenia.

- Przykro mi, że doktor Heinrich nie zdołał uratować pani matki - dodał po chwili.

- Zrobił wszystko, co było w ludzkiej mocy - odrzekła Larina.

- Kto mógłby żądać więcej? Nawet od lekarza? - zauważył sir John. - No dobrze, młoda damo, proszę się rozebrać za parawanem. Proszę włożyć koszulę, która tam leży. Niech się pani położy na leżance i powie, kiedy będzie gotowa.

Larina wykonała polecenie. Zdjęła prostą, niedrogą sukienkę, którą kupiła jeszcze przed wyjazdem do Szwajcarii i położyła ją na stojącym tuż obok krześle. To samo zrobiła z bielizną. Po chwili była już spowita w białą, lnianą, szpitalną koszulę, którą znalazła na brzegu leżanki.

- Jestem gotowa! - powiedziała, kładąc głowę na małej, twardej poduszce.

Sir John przeszedł ciężkimi krokami przez gabinet i odsunął parawan, wpuszczając więcej światła dziennego.

- Ma pani dziewiętnaście lat, prawda, panno Milton?

- Prawie dwadzieścia!

Sir John miał już słuchawki w uszach, więc zapewne nie słyszał odpowiedzi.

„Prawie dwadzieścia!” - powtórzyła w myślach Larina. „Tak mało zrobiłam w życiu i tak mało umiem”. Jedyne, co rzeczywiście przemawiało na jej korzyść, było to, że bardzo dużo czytała.

Ojciec zachęcał ją do czytania książek; które jego interesowały. Były to przeważnie opowieści o cywilizacjach starożytnych; jak często mawiała matka - niezbyt przydatne we współczesnym życiu.

Zamiast rozczytywać się w opowieściach o starożytnych Grekach i Rzymianach, wyrzucała sobie Larina, powinnam była studiować stenotypię i maszynopisanie”.

Te duże, hałaśliwe maszyny do pisania, które widywała w biurach, podobne do tej, którą używała sekretarka ojca, były dla niej wielką tajemnicą. Teraz pomyślała sobie, iż było to głupie z jej strony, że nawet nie spróbowała zrozumieć, na czym polega ich działanie.

Kiedy ojciec zmarł, miała zaledwie siedemnaście lat i pobierała jeszcze lekcje od nauczycieli domowych. - Nie życzę sobie, żeby guwernantka mieszkała u nas na stałe - twardo sprzeciwiał się ojciec. - W ogóle nie

akceptuję dziewcząt chodzących do szkoły po jakieś niezależne idee. Miejsce kobiety jest w domu!

Byłoby bardzo miło, pomyślała Larina, gdyby w ogóle istniał dla mnie jakiś dom.

- Proszę się odwrócić. Osłucham pani plecy - usłyszała głos sir Johna.

Odwróciła się i poczuła na skórze stetoskop. Ciekawe, ile będzie mnie to kosztować, zastanawiała się. To tylko strata czasu i pieniędzy!

- Może się pani teraz ubrać, panno Milton.

Sir John odstawił parawan na miejsce i wrócił za biurko.

Larina wstała i zaczęła się ubierać. Nosiła bardzo lekki gorset. Nie musiała sznurować się ciasno w talii, która była dużo smuklejsza niż - jak u większości dziewcząt w jej wieku - osiemnaście cali. Ale Larina zdawała sobie sprawę, że z punktu widzenia elegancji reszta jej sylwetki jest stanowczo zbyt szczupła.

- Musisz więcej jeść, kochanie - mówiła jej matka jeszcze w Szwajcarii. - Naprawdę sądzisz, że te długie spacery dobrze ci robią?

- Nie potrafię siedzieć beczynnio, mam - odparła Larina. - Uwielbiam spacerować. Góry są takie piękne! Bardzo bym chciała, żebyś poszła kiedyś ze mną na spacer po lesie. Jest taki tajemniczy. Kiedy idę przez las, przypominają mi się wszystkie baśnie z dzieciństwa.

- Tak bardzo je lubiłaś - powiedziała z uśmiechem pani Milton.

- Pamiętam, jak czytałaś mi opowieść o smoku, który żył w głębokim sosnowym lesie. Do dziś w nią wierzę!

Matka roześmiała się.

- Jesteś dzieckiem morza - powiedziała. - Dlatego dałam ci imię Larina.

- Dziewczyzna Morza! - wykrzyknęła Larina. - Może mam z nim coś wspólnego, nie wiem. Nigdy nie byliśmy nad morzem na tyle długo, bym mogła to sprawdzić. Tutaj czuję, że należę do gór.

- Cóż, jeśli cię to nie nudzi, kochanie... - westchnęła pani Milton.

- Nigdy się nie nudzę - odrzekła Larina zgodnie z prawdą.

Włożyła kapelusz, przypięła go starannie dwiema szpilkami, odstawiła parawan i podeszła do biurka sir Johna,

który właśnie coś pisał w notatniku. Na górze kartki Larina zauważyła swoje nazwisko.

- Muszę pani coś oznajmić - odezwał się - coś, co, obawiam się, będzie dla pani bardzo nieprzyjemne.

- Co takiego? - spytała Larina. Poczowała, jakby jej serce stanęło, a nerwy napięły się do granic możliwości.

- Nie zaraziła się pani chorobą, która zabiła pani matkę - rzekł doktor - mimo to zostały pani zaledwie trzy tygodnie życia!

Larina wracała do swego małego domu przy Eaton Terrace, Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała od sir Johna. Wydawało się, że jej umysł po prostu przestał pracować. Wmawiała sobie, że to, czego się dowiedziała, absolutnie nie może być prawdą.

Jadąc omnibusem przyglądała się pasażerom i zastanawiała się, co też by powiedzieli, gdyby oznajmiła im, że właśnie wydano na nią wyrok śmierci.

Kiedy sir John skończył mówić, Larina patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, zaszokowana do tego stopnia, że głos uwiązł jej w gardle. - Bardzo mi przykro to mówić, ale muszę stwierdzić, że mam absolutną pewność. Ma pani wadę serca, która występuje niezwykle rzadko. Tak się składa, że studiuję ten przypadek od wielu lat.

Doktor chrząknął, po czym mówił dalej:

- Każdy lekarz, który podejrzewa to schorzenie, przysyła pacjenta do mnie, bym postawił ostateczną diagnozę. Dlatego nie mogę sugerować, że usłyszysz pani inną opinię.

- Czy to... boli? - wykrztusiła Larina.

- W większości przypadków zupełnie nie - zapewnił ją sir John; - Nie będę zanudzał pani szczegółami medycznymi. Po prostu serce nagle przestaje bić. Może się to stać podczas snu, spaceru, siedzenia lub nawet tańca.

- I... nie ma na to... żadnego leku? - zapytała wystraszonym głosem.

- Dzisiejsza medycyna nie zna żadnego - odrzekł sir John.
- Jako autorytet w tej dziedzinie, mogę jedynie powiedzieć, że dzieje się to nagle i od momentu stwierdzenia choroby pacjentowi pozostaje dwadzieścia jeden dni życia.

- Dwadzieścia jeden dni! - Larina powtórzyła jak nikłe echo.

Kiedy szła przez Sloane Square w kierunku Eaton Terrace, słyszała, jak jej kroki wystukują w równym rytmie: dwadzieścia jeden, dwadzieścia jeden, dwadzieścia jeden!

Oznaczało to, liczyła Larina, że umrze piętnastego kwietnia.

Niespodziewanie przyszło jej na myśl, że właśnie tę porę roku lubi najbardziej. Do tego czasu zakwitną już żonkile, a drzewa okryją się kwiatami. Szczególnie lubiła białe kwiatki kasztanowców, tak piękne we wczesnych promieniach słońca, na które wszyscy z utęsknieniem czekają podczas zimy.

Szesnastego kwietnia nie będzie mogła już podziwiać tego wszystkiego!

Wyjęła z torebki klucz i otworzyła drzwi domu przy Eaton Terrace 68. Kiedy przechodziła przez wąski hol do małej jadalni, do której przylegał gabinet ojca, odczuła nagle przerażającą ciszę i samotność pustego domu.

Ach, gdyby mama była teraz w salonie. Mogłaby pobiec do niej i powiedzieć, co się stało. Mama na pewno objęłaby ją i uściskała serdecznie.

Lecz nie było na świecie nikogo, kto mógłby jej teraz pomóc.

Larina zdjęła kapelusz i zaczęła powoli wchodzić po schodach. Jakby automatycznie zauważyła, że dywanik na stopniach jest bardzo wytarty. Sporo nóg musiało go deptać, kiedy ona i mama były w Szwajcarii. Po czym stwierdziła, że

właściwie nie ma to żadnego znaczenia. Za dwadzieścia jeden dni nie będzie już oglądała zniszczonych dywanów, spłowiałych zasłon w salonie ani mosiężnego wezglowia łóżka, w którym brak gałki.

Dwadzieścia jeden dni! Larina weszła do sypialni.

W domu były tylko dwa pokoje do spania, nie licząc ciemnego i dusznego pomieszczenia w piwnicy, przeznaczonego dla pokojówki, na którą zresztą nie było ich stać.

Matka zajmowała pokój frontowy na drugim piętrze, a Larina miała do dyspozycji małą wnękę tuż obok.

Weszła tam właśnie i rozejrzała się. Jej rzeczy, wszystkie małe skarby, które zbierała od lat dziecinnych, były nienaruszone. Był nawet miś pluszowy, którego kochała i przez lata zabierała ze sobą do łóżka i lalka, która mrugała oczami, a w biblioteczkę, obok tomów, które zgromadziła, gdy była już starsza, stały jej pierwsze własne książki z dzieciństwa.

- Niewiele, jak na całe życie! - powiedziała do siebie.

Nagle groza tego, co usłyszała, jakby znów ją poraziła. Podeszła do okna i spojrzała na ponure szare dachy i podwórza.

„Co mam robić? Jak mogę temu zaradzić?” - pytała samą siebie.

W tym momencie, niby ostatnia deska ratunku, przyszedł jej na myśl Elvin. Zastanawiała się, dlaczego nie pomyślała o nim wcześniej, kiedy sir John wydawał na nią wyrok śmierci. Przypuszczała, iż stało się tak dlatego, że od tej chwili nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o tych dwudziestu jeden dniach, które jej zostały.

Elvin na pewno zrozumiałby, co ona teraz czuje. W swój niepowtarzalny sposób potrafiłby ukazać jej wszystko inaczej. Bowiem rozmawiali o śmierci, odkąd tylko się spotkali.

Było to w dniu, kiedy akurat pani Milton czuła się bardzo źle. Larina widziała na twarzy doktora Heinricha wyraz z troskaniem.

- Nie może pani tu nic zrobić - powiedział do Lariny. - Proszę sobie usiąść w ogrodzie, zawołam panią, kiedy matka będzie jej potrzebować.

Larina wiedziała, że jeśli będzie wezwana, to tylko po to, by dowiedzieć się, że według doktora matka umiera.

Odwróciła się i, nie widząc nic dokoła, poszła do ogrodu sanatorium.

Po raz pierwszy nie dostrzegła uroku kwiatów ani pokrytych śniegiem szczytów gór, które zwykle sprawiały, że na ich widok jej serce biło żywiej.

Oddaliła się od budynków do ustronnego miejsca wśród sosen, gdzie ustawiono specjalną ławeczkę dla pacjentów, którzy nie mogli daleko chodzić. Wokół panowała cisza. Zakłócał ją tylko szum wodospadu w górach i bzyczenie, pszczoł wysysających słodycz górskich roślinek.

Sądząc, że nikt jej nie widzi, Larina ukryła twarz w dłoniach i gorzko zapłakała.

Musiała tak siedzieć dłuższy czas, nim usłyszała za sobą jakiś szmer i delikatny męski głos:

- Płacze pani za matką?

Larina odwróciła zalaną łzami twarz w kierunku przybysza. Obok niej siedział Elvin Farren, Amerykanin, z którym nigdy wcześniej nie rozmawiała, gdyż mieszkał samotnie w małym drewnianym domku i nigdy nie przychodził do jadalni na posiłki.

- Mama nie umarła - odparła Larina pospiesznie, jakby w odpowiedzi na pytanie, którego Elvin nie zadał - ale wiem, że według doktora Heinricha może umrzeć.

Wyjęła zza paska od sukni chusteczkę i z przesadną energią otarła łzy. Wstydziła się swojego rozczulenia.

- Musi pani mieć nadzieję, że mama wyzdrowieje - powiedział Elvin.

Po chwili milczenia Larina odezwała się:

- Boję się. Myślę, że właściwie każdy człowiek boi się śmierci.

- Śmierci innych - zapewne tak - odparł Farren - lecz nie własnej.

Larina przyjrzała się jego wychudzonej sylwetce. Niewątpliwie był ciężko chory. Jego skóra była prawie przezroczysta, a charakterystyczne plamy na twarzy - aż nadto widoczne.

- Pan nie czuje strachu? - spytała. Uśmiechnął się i jego twarz natychmiast się odmieniła.

- Nie.

- Dlaczego?

Elvin popatrzył na jeszcze lekko ośnieżone szczyty . gór, połyskujące w ostrym wiosennym słońcu. W końcu odezwał się:

- Chciałaby pani usłyszeć odpowiedź prawdziwą czy konwencjonalną?

- Chcę znać prawdę - odparła Larina. - Boję się śmierci, bo towarzyszy jej samotność. - Miała na myśli siebie, kiedy dodała: - Boimy się nie tylko o tych, którzy odchodzą, lecz i o tych, którzy pozostają.

- Dla tych, którzy umierają - rzekł Elvin - jest to wielka przygoda, uwolnienie umysłu. Coś, na co czeka się w podnieceniu!

Spojrzał na nią, by upewnić się, czy go słucha, i mówił dalej, ożywiony:

- Czy pomyślała pani kiedykolwiek, jak wielkim ciężarem jest dla człowieka jego ziemski powłoka? Gdyby ciało nas nie powstrzymywało, nie krępowało, że tak powiem, moglibyśmy

poszybować, gdzie tylko zapagniemy! Do innych zakątków ziemi, na księżyc albo nawet do czwartego wymiaru!

- Mam wrażenie... że rozumiem..., co chce pan powiedzieć - nieśmiało wtrąciła Larina.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi, szarymi oczami, pięknie osadzonymi w owalnej twarzy. Nigdy jeszcze z nikim nie rozmawiała w ten sposób.

- A jeśli chodzi o naszą samotność na tej ziemi - powiedział Elvin - jest ona właściwie niemożliwa.

- Jak to? - spytała Larina.

- Ponieważ jesteśmy tylko jedną z wielu żywych istot - odparł. - Niech pani spojrzysz choćby na te kwiaty. - Wskazał na kępkę błękitnej goryczki wyrastającą ze skały. - One żyją - powiedział - tak samo jak pani i ja. Są żywe i tak jak ludzie są obdarzone zdolnością odczuwania.

- Skąd pan to wie? - spytała Larina.

- Jeden z moich przyjaciół przez lata pracował nad zagadnieniem życia roślin - odrzekł Elvin. - Uważa on, zresztą ja także, że roślina czuje, gdyż, tak jak człowiek, zawiera w sobie kosmiczną siłę, którą my zwiemy życiem.

- Niech mi pan to wyjaśni - poprosiła Larina.

Była zafascynowana opowieścią nieznajomego. Zwróciła się w jego kierunku, czując, że jakaś niewytłumaczalna siła każe jej zbliżyć się do niego.

- Buddyści nie zrywają kwiatów - zaczął Elvin. - Wierzą, że dotykając ich i obdarzając je miłością, przejmują od nich część ich siły witalnej.

Mówił dalej, uśmiechając się:

- W moim kraju, kiedy amerykańscy Indianie odczuwają potrzebę zwiększenia energii, idą do lasu, ot takiego jak ten. Rozkładają ręce i opierają się plecami o pnie sosen. W ten sposób napełniają swe ciała ich mocą.

- Rozumiem - odezwała się Larina. - Jestem pewna, że tak właśnie jest. Często, kiedy chodziłam samotnie po lesie, czułam, że drzewa pulsują siłą i życiem, że emanują dziwną energię.

- A więc, skoro wszystko wokół nas żyje, jak możemy czuć się samotni?

Łatwo było zrozumieć jego słowa, kiedy siedziało się wśród sosen i patrzyło na kwiaty, pomyślała Larina. Jednak w swojej ciasnej sypialni przy Eaton Terrace czuła, że bardzo potrzebuje pomocy lub choćby obecności drugiego człowieka. Gdybym tylko mogła porozmawiać z Elvinem... - myślała.

Od pierwszego spotkania w ogrodzie widywali się bardzo często.

Stan pani Milton poprawił się i doktor Heinrich twierdził, że niebezpieczeństwo minęło. Larina tak bardzo pragnęła podzielić się z kimś tą nowiną, iż postanowiła pójść do Elvina.

Zastała go na balkonie jego samotnego domku. Kiedy poprosił ją, by usiadła, zauważyła, że z balkonu rozciągał się jeszcze piękniejszy widok na dolinę i góry niż z ogrodu.

Początkowo Larina miała obawy, że narzuca się Elwinowi, jednak wkrótce spostrzegła, iż jej wizyty sprawiają mu radość. Dlatego, kiedy tylko nie przebywała z matką, zawsze znajdowała czas, by posiedzieć z Elvinem na balkonie i pogawędzić, rozkoszując się czystym, rześkim powietrzem Szwajcarii. Prawie zawsze rozmawiali o zjawiskach mistycznych, które, jak Elvin wierzył, istniały w innym wymiarze.

- Ten świat jest materialny - powiedział kiedyś. - Jest zaledwie cieniem świata innego, niematerialnego, świata doskonalszego umysłu i ducha.

- A jeśli założymy, że ktoś taki jak ja nie jest dość bystry, by to pojąć? - spytała Larina.

- Wtedy będzie pani musiała zostać tutaj - odpowiedział Elvin - i doskonalić się tak, by móc przejść do owego innego wymiaru.

Miał jej tak wiele do powiedzenia, iż zaczęła liczyć godziny, które dzieliły ją od wizyt u niego.

Jednak czasami Elvin czuł się tak źle, że nie mógł dojść nawet do balkonu, Wtedy Larina czekała niecierpliwie na jego powrót do sił, by znów mogła go zobaczyć.

Wiadomo jej było, że nie ma on przed sobą wielu dni życia.

- Ależ ja nie mogę się wprost doczekać śmierci - powiedział Elvin. - Tak wiele chcę wiedzieć, tak wiele pragnę jeszcze odkryć!

- Proszę tak nie mówić! - wykrzyknęła Larina błagalnym głosem.

- Dlaczego nie? - spytał.

- Ponieważ, jeśli pan odejdzie, nikt już nie będzie mógł mi wytłumaczyć tych spraw. A kiedy na mnie przyjdzie czas, będę się bała, bardzo bała!...

- Już pani mówiłem, że nie ma czego.

- Pan jest tak bardzo pewien, co go czeka po śmierci. Dlatego się pan nie boi - mówiła Larina. - Ja nie mam tej pewności. Chciałabym jedynie uwierzyć w to, co pan mówi. Udaje mi się to, kiedy jestem z panem. Ale kiedy pana nie ma - tracę wiarę. '

Uśmiechnął się do niej jak do dziecka.

- Kiedy nadejdzie dla pani czas umierania, a będzie to za wiele, wiele lat, proszę mnie przywołać, a przyjdę do pani.

Larina patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- To znaczy?...

- Gdziekolwiek będę, cokolwiek będę robił, jeśli będzie mnie pani potrzebować, usłyszę panią. - Położył swoją rękę na

dłoniach Lariny. - Umówmy się, Larino. Kiedy będę umierał, wezwę panią, a pani - w chwili

śmierci - przywoła mnie.

- Nie jest powiedziane, że nie umrę przed panem - odparła Larina. - Mogę zginąć w górach albo w katastrofie kolejowej.

- Jeśli coś takiego się stanie - rzekł Elvin poważnie - proszę dać mi znak, a na pewno przybędę.

- Przyrzeka pan?

- Przyrzekam - odpowiedział. - Ale pani też musi do mnie przyjść. - Jego palce zacisnęły się na jej dłoni. - Z nikim innym nie pragnę być, kiedy mój duch będzie opuszczał ciało.

Było coś takiego w sposobie, w jakim powiedział te słowa, co upewniło Larinę, że był to nie tylko największy komplement, lecz także wyznanie miłości.

Jeśli chodzi o mężczyzn, Larina nie miała żadnego doświadczenia. Jeszcze tak niewiele wiedziała o życiu. Lecz była na tyle kobietą, by zauważyć, że twarz Elvina rozjaśniała się, kiedy ona się pojawiała, a spojrzenie jego oczu nie mogło mylić.

Gdyby nie był tak wycieńczony chorobą, gdyby nie miał ataków kaszlu, które sprawiały, że nie mógł złapać tchu, byłby - myślała Larina - bardzo przystojny.

Jednak choroba trawiła go nieubłaganie i Larina wiedziała, że choć miał dopiero dwadzieścia pięć lat, nie było nadziei, iż będzie żył.

Czasem, kiedy w ciemności nocy myślała o Elvinie, zastanawiała się, czy, gdyby poznali się, zanim zachorował, mogliby zakochać się w sobie.

Kochała go takim, jaki był, ale była to miłość siostry do brata. Chciała być blisko niego, uwielbiała z nim rozmawiać, jednak z powodu jego cierpienia nie potrafiła myśleć o nim jako o atrakcyjnym mężczyźnie, o kimś, komu mogłaby oddać serce.

Mimo to, kiedy pewnego dnia Elvin oznajmił jej, że wyjeżdża do Ameryki, poczuła, iż traci coś nieocenionego.

- Ale dlaczego? Dlaczego? - pytała.

- Chcę zobaczyć się z matką - odpowiedział. - Jest chora, a ponieważ ja jestem najmłodszy z rodziny, znaczę dla niej więcej niż moi bracia.

- Ilu ma pan braci? - spytała Larina.

- Trzech - odpowiedział. - Są szalenie inteligentni, zaradni i zajęci własnymi karierami i rodzinami. Mamy też siostrę. Jest już zamężna. Ja jestem oczkiem w głowie matki. Wiem, że teraz bardzo mnie potrzebuje, więc muszę jechać.

- Czy podróż nie będzie dla pana zbyt forsowna?

- A czy to ma jakieś znaczenie? - odpowiedział z czarującym uśmiechem.

- Dla mnie ma! - wykrzyknęła Larina. - Ach, Elvinie, tak bardzo będzie mi pana brakować! To będzie straszne, żyć tu bez pana!

Przerwała, jakby onieśmielona własną szczerością, lecz po chwili mówiła dalej:

- Zanim pan przyjechał, znosiłam to jakoś, mimo że czasem byłam tu jedyną zdrową osobą. Ale teraz nie mogę sobie wyobrazić dni bez spotkań z panem, bez tych rozmów. Będę się czuła niewypowiedzianie samotna.

- Wie pani przecież, że nigdy nie będzie sama - odparł Elvin. - Kiedy usiądzie pani w ogrodzie lub na ławeczce wśród sosen, gdzie pierwszy raz spotkaliśmy się, niech sobie pani wyobraża, że tam jestem, bo rzeczywiście będę. Będę myślał o pani i cała moja istota w tym znaczeniu przybędzie do pani z Ameryki, z każdego zakątka tego świata lub innego, w którym mogę znajdować się w tym szczególnym momencie.

- Naprawdę wierzy pan, że można porozumieć się z drugim człowiekiem za pomocą myśli? - zapytała.

- Jestem o tym absolutnie przekonany - odparł Elvin. - Myśl jest potężniejsza niż wszystko inne. Przemierza świat szybciej niż jakiegokolwiek urządzenie stworzone przez człowieka. Może nam przynieść wszystko, czego pragniemy, jeśli tylko bardzo tego chcemy.

- Będę myślała o panu - obiecała Larina.

- Wierzę, że będę blisko pani, i tak się stanie!

Mimo wszystko, kiedy odjechał i domek, w którym siadywali, opustoszał, nie było już tak samo.

Zgodnie z przyrzeczeniem siadywała w ogrodzie i rozmyślała o Elvinie. Często też, czasem nawet dwa razy dziennie, chadzała do lasu sosnowego.

Dwa tygodnie po jego odjeździe matka poczuła się bardzo źle i Larina nie myślała o niczym innym tylko o niej.

Jej smutek, łzy, które wylewała każdej nocy, potem długa, samotna podróż do pustego domu, wszystko to sprawiało, że trudno jej było rozmawiać w myślach z Elvinem, jak przyrzekała.

Jego listy były dla niej źródłem jedynej radości. Co dzień czekała na pocztę i kiedy nic nie przychodziło, była dziwnie rozczarowana.

Pierwszy list napisał jeszcze przed wyjazdem z sanatorium. Nie był to długi list, gdyż pisanie męczyło Elvina, a Larina wiedziała, że starał się oszczędzać siły przed podróżą.

Dziękował jej za wszystko, czym była dla niego, za wspólne chwile szczęścia. Kończył słowami:

Proszę nie zapominać, Larino, iż zawsze będę o Pani myślał, że jestem blisko i jeśli będzie Pani mnie potrzebować, wystarczy jeden znak, a przybędę. Być może, kiedy nie będę już tak potrzebny matce, wrócę do sanatorium i znów będziemy razem. Znaczy Pani dla mnie więcej, niż można wyrazić słowami. Niech Panią Bóg błogosławi.

Następny list zawierał zaledwie kilka wierszy napisanych niedbale w pociągu. Potem przyszło jeszcze kilka z Nowego Jorku.

Pisał, że matka jest szczęśliwa, iż ma syna przy sobie, gdyż jest jej teraz bardzo potrzebny.

Listy Elvina dodawały Larinie odwagi, nawet wtedy, kiedy każdy kolejny, samotny dzień w Londynie coraz bardziej ją przygnębiał.

Lokatorzy zostawili po sobie taki brud i bałagan, że sporo czasu zajęło jej doprowadzenie domu do porządku.

W pewnym sensie cieszyła się, że matka nie widzi, w jakim stanie są przedmioty, które kochała, jak zniszczone są zasłony, dywany i poduszki. Wystarczył zaledwie rok!

Larina pomyślała, że mogłaby sobie nieco ulżyć, biorąc sublokatora. Z powodzeniem można by odnająć sypialnię matki, a może nawet i salon. Zaczęła nawet rozważać możliwość przyjęcia dwóch lokatorów, gdyby sama przeniosła się do pokoju za jadalnią.

Za każdym razem, kiedy wypisywała czek na czynsz lub żywność, uświadamiała sobie, jak mało już zostało w banku. W końcu' stwierdziła, że dłużej nie może odkładać podjęcia konkretnej decyzji o swojej przyszłości.

Sir John wystawił jej rachunek na dwie gwinee. To bardzo drogo za taką wiadomość, myślała, kładąc mu na biurku dwa złote suwereny.

Lecz teraz, już w domu, myślała, że wszystkie jej problemy przestały istnieć. Nie będzie już musiała szukać pracy, wynajmować pokoi, przyjmować obcych pod swój dach. Pieniądze, które jeszcze miała na koncie, na pewno wystarczą na dwadzieścia jeden dni. Jednak sama myśl o tym przeszywała ją dreszczem.

Elvin potępiłby mój strach, pomyślała, a jednak boję się, boję się! Nie chcę umierać. Nie chcę poznawać nieznanego. Pragnę zostać tutaj, na tym świecie!

Gwałtownym ruchem chwyciła kapelusz i włożyła go na głowę. Wiedziała już, co zrobić. Powiadomi Elvina o wszystkim. Wyśle mu depezę. To bardzo drogie, ale czyż w takiej sytuacji pieniądze mają znaczenie? Tylko Elvin ją zrozumie - tylko on może ją pocieszyć.

Odwróciła się od lustra i w tym momencie doznała olśnienia. Elvin zapewniał, że jeśli go wezwie, natychmiast przybędzie. A więc poprosi go, a on na pewno dotrzyma przyrzeczenia.

Larina szybko zbiegła po schodach. Jej oczy promieniały jak nigdy przedtem.

- Poproszę Elvina, by przybył tu do mnie - powiedziała głośno.

Zatrzasnęła za sobą drzwi i pobiegła w dół ulicy, na pocztę przy Sloane Square.

Rozdział 2

Kondukt pogrzebowy zatrzymał się przed brunatnym, kamiennym budynkiem przy Piątej Alei.

W pierwszym powozie jechali trzech bracia Vanderfeldowie. Stangret miał na głowie wysoki kapelusz przybrany czarną krepą. Nawet uprząż koni przepasana była czarną tkaniną.

Bracia Vanderfeldowie, z najstarszym - Harveyem - na czele, wysiedli z powozu i zaczęli wchodzić po wysokich schodach do budynku.

Co trzeci stopień stał lokaj w liberii z czarną opaską na rękawie. Ulewa zmoczyła do suchej nitki ich szkarłatne stroje i pudrowane peruki.

Harvey Vanderfeld wszedł do przestronnego marmurowego holu oświetlonego kandelabrami z weneckiego szkła, z arrasami sprowadzonymi z Francji, bogato rzeźbionymi i złożonymi krzesłami z Italii i perskimi dywanami. Szedł szybko, w charakterystyczny dla siebie sposób. Minął służących i wszedł do salonu, gdzie lokaje czekali, by podać drinki. Zaproszeni goście mieli zebrać się tu przed obiadem, serwowanym na złotej zastawie w średniowiecznej jadalni.

Salon urządzony był w stylu Ludwika XIV, na ścianach wisiały włoskie i holenderskie obrazy, a posadzki przykryte były dywanami z Aubusson. Białe ściany były wykończone błyszczącym złotym ornamentem, a kotary z genueńskiego aksamitu obficie ozdobiono jedwabnymi frędzlami.

- Szampan czy burbon, panie Harveyu? - spytał kamerdyner.

- Burbon - odpowiedział Harvey i prawie natychmiast miał kieliszek w dłoni.

Krewni powoli gromadzili się w sali. Kobiety, w sukniach suto przybranych czarną krepeą, miały na głowach długie woalki, w tej chwili odrzucone na ramiona.

- Cóż za piękny pogrzeb! - nie omieszkała zapewnić Harveya dama w średnim wieku.

- Cieszę się, że tak myślisz, kuzynko Alicjo.

- A twoja przemowa! Coś wspaniałego! - Nigdy nie słyszałam niczego bardziej błyskotliwego z twoich ust. Nikt w kaplicy nie mógł powstrzymać łez.

Przez chwilę Harvey Vanderfeld pławił się w pochlebstwie. Kiedy pozostali krewni weszli przez podwójne mahoniowe drzwi, odezwał się do brata Gary'ego, który stał obok:

- Chcę z tobą pomówić. Przejdźmy do gabinetu. Wyszli z salonu. Minawszy kilka obszernych salonów, weszli do gabinetu, którego ściany były równo zastawione książkami w skórzanych oprawach, ładnymi, choć przez nikogo nie czytanyymi. Pokój umeblowano ciężkimi, „męskimi” meblami, krytymi skórą.. Na ścianach wisiały obrazy Stubbsa przedstawiające konie.

Bracia weszli do gabinetu z kieliszkami w dłoniach. Harvey mając już niewiele na dnie, podszedł do małego stolika w rogu pokoju i napełnił kieliszek ze specjalnego dozownika.

- Nieźle poszło, Gary! - odezwał się.

- Doskonale, Harveyu. Nigdy nie słyszałem lepszej przemowy w twoim wykonaniu.

- Mam nadzieję, że cała znajdzie się w prasie.

- Na pewno. Poza tym każdy, kto chciał, dostał tekst.

- Mój Boże! Amerykańska flaga na trumnie to naprawdę świetny pomysł, A najbardziej wzruszający był ten krzyż z lilii, który mama uplotła.

- Powinieneś jej to powiedzieć - zasugerował Gary.

- Jestem pewien, iż Wynstan poszedł już na górę, by to zrobić. Jaka szkoda, że mama nie mogła być obecna.

- Byłoby to dla niej zbyt silne przeżycie. Nawet teraz, kiedy czuje się lepiej.

- Wiem, ale smutek matki jest zawsze taki przejmujący.

- Jestem przekonany, że cały kraj będzie razem z tobą wylewał łzy, Harveyu, kiedy jutro przeczytają gazety.

- Elvin nie mógł wybrać lepszego momentu, by umrzeć - stwierdził Harvey Vanderfeld. - Tuż przed wyborami, kiedy większość ludzi nie ma ochoty na drugą kadencję Theodore'a Roosevelta w Białym Domu.

- Z drugiej strony wielu podziwia jego zdecydowanie co do zamieszek na Karaibach. Jego polityka rozszerzania potęgi Ameryki jest bardzo popularna.

- Jankeski imperializm! - drwił Harvey. - Kiedy mnie wybiorą na prezydenta, skończę z tymi bzdurami! Powinniśmy dbać o swoje interesy tutaj, w domu, a nie wściubiać nos w sprawy krajów, które nic dla nas nie znaczą.

- Nie musisz mnie werbować, Harveyu - odpowiedział Gary z uśmiechem. - Za często słyszałem cię na wiecach.

- Tak, tak, masz rację - przyznał Harvey.

Był to bardzo przystojny mężczyzna, ale zaczął już tyć, a jego chód był ciężki i sprawiał, że wyglądał na więcej niż swoje trzydzieści sześć lat. Jednak miał czarujący uśmiech, który okazał się nieoceniony przy zdobywaniu nowych głosów wyborców.

Gary, w wieku trzydziestu trzech lat, miał już wyraźną nadwagę, którą zawdzięczał luksusowemu trybowi życia.

Jego także natura obdarzyła wielkim urokiem, tak charakterystycznym dla braci Vanderfeldów, że prasa nadała im przydomek „Książąt Wdzięku”.

Harvey był najbardziej ambitny z braci i najbardziej bezwzględny. Uparcie walczył o władzę. Swoją oszałamiającą

fortunę wydawał teraz na najbardziej ekstrawagancką i kosztowną kampanię wyborczą w historii Stanów Zjednoczonych.

Był niezbitnie pewny, że pokona Theodore'a Roosevelta, a cały klan Vanderfeldów zgromadził się wokół niego w nadziei, iż wszyscy wkrótce znajdą się w Białym Domu.

Vanderfeldowie pochodzili z Holandii. Ich przodek przybył do Ameryki w siedemnastym wieku i zamieszkał w Nowym Amsterdamie, jak nazywano wtedy Nowy Jork.

W następnych stuleciach, dzięki staraniom kolejnych pokoleń, fortuna rodziny rosła. Wkrótce Vanderfeldowie stali się takimi potentatami, że zaczęto ich traktować z szacunkiem godnym rodu królewskiego.

Wielka rezydencja przy Piątej Alei była tylko jedną z wielu ich posiadłości. Mieli też dom w Hyde Parku, niedaleko rzeki Hudson, a Gary ostatnio kazał wybudować sobie marmurowy pałac w Newport; ponadto mogli się poszczycić wieloma ranczami, plantacjami i majątkami, rozproszonymi po całej Ameryce.

Seniorka rodu, pani Chigwellowa Vanderfeld, mieszkała w rezydencji przy Piątej Alei od czasu śmierci męża. Żona Harveya, cicha, skromna kobieta, nie miała pretensji, by w przyszłości zająć jej miejsce.

Nikt inny, tylko starsza pani Vanderfeld decydowała o tym, co powinny lub nie powinny robić jej dzieci. Niewątpliwie była odpowiedzialna za właściwy image rodziny, a nawet jej ambicje.

Pochodziła z Hamiltonów, a jej przodkowie przybyli do Ameryki z Anglii. Ale nie, jak zawsze kpili Vanderfeldowie, na zatłoczonym „Mayflower”, który musiał być co najmniej tak wielki jak arka Noego. Okręt, którym jej prapradziadek przyłynął tu z rodzinnej Szkocji, był jego własnością. Wraz z

dziadkiem przyplęła cała jego świta z rodzinami, tak że na statku nie było miejsca dla nikogo poza nimi.

Pani Vanderfeld była dumna ze swej szkockiej krwi, lecz jeszcze bardziej szczyliła się faktem, że pochodziła z Wirginii i wychowała się w pięknej krainie brzoskwiń, wśród wzgórz Blue Ridge.

Podobnie jak Vanderfeldowie, rodzina Hamiltonów też zgromadziła fortunę, jednak jej członkowie szybko przestali zajmować się budową kolei i wydobywaniem złota, a przystąpili do beztroskiego wydawania pieniędzy.

Ojciec pani Vanderfeld nigdy nie skalał się pracą. Wiódł pogodne, bezproblemowe życie właściciela posiadłości ziemskiej, zajmującego się zarządzaniem majątkiem, który składał się z obszernego domu z kolumnami, gankiem, marmurowym holem i krętymi schodami wzorowanymi na angielskim stylu edwardiańskim.

Kiedy jego córka oświadczyła, iż pragnie poślubić Chigwella Vanderfelda, nie był zbyt szczęśliwy. Miał nadzieję, że Sally znajdzie męża wśród młodych dżentelmenów z Virginii, którym udało się przeżyć Wojnę Secesyjną. Jednakże nie miał zbyt wiele do powiedzenia w tej sprawie.

Panna Hamilton była osobką zbyt egocentryczną i upartą, by słuchać jakichkolwiek sprzeciwów, szczególnie gdy w grę wchodziły sprawy serca. Poza tym była naprawdę szczęśliwa u boku męża multimilionera, który nigdy nie przestawał pracować.

Jednakże bogactwo nie było tym, czego przede wszystkim pragnęła dla swych synów. Marzyła o władzy w ich rękach. Zdecydowała, i trwała przy tym z żelaznym uporem, że Harvey zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych.

A było to postanowienie, z którym on chętnie się zgadzał.

- Tak jak właśnie mówiłem - odezwał się do brata - ten pogrzeb nie mógł się odbyć w lepszym momencie. Elvin był właściwie nie znany opinii publicznej ani prasie. Teraz jednak utrwali się w ich pamięci jako ktoś wyjątkowy, jako brat, z którego można być dumnym.

Gary milczał. Słyszał już prawie identyczne słowa z ust Harveya w powozie, kiedy wracali z cmentarza. Podeszedł do dozownika, by nalać sobie jeszcze jednego drinka, kiedy drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich kamerdyner, trzymając w ręku srebrną tackę.

- Właśnie nadeszła depesza zaadresowana do pana Elvina - powiedział. - Uznałem, że należy oddać ją panu, panie Harveyu. Panią mogłoby to wytrącić z równowagi, gdyby ją zobaczyła.

- Oczywiście - odparł Harvey. - Nie należy jej niepokoić. Już mówiłem jednej z sekretarek, żeby zebrała nazwiska wszystkich, którzy przysłali wieńce. Sam zajmę się listami z podziękowaniem. Dla pani Vanderfeld byłoby to zbyt silne przeżycie.

- Stanowczo zbyt silne, panie Harveyu - zgodził się kamerdyner.

Podał Harveyowi tackę z depeszą. Ten wziął ją, popatrzył przez chwilę i wtedy zauważył:

- Elvin Farren?

- Pod takim nazwiskiem przebywał za granicą - odezwał się Gary z kąta pokoju. - Przecież zdecydowaliśmy, że nie będzie używał rodzowego, nazwiska, gdyż nie życzyłeś sobie, by prasa dowiedziała się o jego pobycie w sanatorium.

- Ach, tak, tak, oczywiście, przypominam sobie te - raz - powiedział Harvey. - I nigdy nie odkryli, gdzie był.

- Przed śmiercią nie był interesującym tematem dla prasy - zauważył Gary. W jego głosie nie było sarkazmu. Gary był na to zbyt pogodny i tolerancyjny.

Po wyjściu kamerdynera Harvey otworzył depezę.

- To z Anglii - zauważył. - Sądziłem, że Elvin był w Szwajcarii.

- Owszem, był - odparł Gary. Zapanowała cisza i nagle Harvey wykrzyknął:

- Na Boga! To nie może być prawda! To chyba jakaś pomyłka!

- O co chodzi? - zapytał Gary.

- Posłuchaj tylko - powiedział Harvey zmienionym głosem i przeczytał:

STAŁO SIĘ - STOP - BOJĘ SIĘ - STOP - PROSZĘ,
DOTRZYMAJ OBIETNICY I PRZYJEDŹ DO MNIE - STOP
- TWOJE LISTY JEDYNYM POCIESZENIEM

LARINA

Harvey zamilkł. Stał i wpatrywał się w papier, jakby nie dowierzał własnym oczom. Gary podszedł i też spojrział na telegram".

- Co to ma znaczyć? - zastanawiał się.

- Co to ma znaczyć? - krzyknął Harvey. - Zwariowałeś! Nie rozumiesz, co ci właśnie przeczytałem? Dla mnie to oczywiste!

- Ale co? - zapytał Gary. Harvey nerwowo chodził po pokoju.

- Że też musiało się to stać właśnie, w tym momencie! Właśnie teraz! Zawsze byłoby to dla mnie wystarczająco dużym problemem, ale na dzień przed wyborami!...

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - rzekł Gary. - Kim jest ta kobieta? Nigdy o niej nie słyszałem.

- Jakie to ma znaczenie, czy ją znamy, czy nie? - zapytał Harvey. - Ona wystarczająco dobrze zna Elvina. Spodziewam się, że o mnie też słyszała. To szantaż, drogi chłopcze! Szantaż! I będziemy musieli za to słono zapłacić!

- Za co? - spytał Gary.

- Za jej milczenie - za te listy. Nie bądź głupcem, Gary! Jest oczywiste, że Elvin... nieźle się z nią zaprzyjaźnił i teraz ona spodziewa się dziecka.

- Elvin?! - wykrzyknął Gary. - Był chory, ciężko chory, i to od lat

- Na gruźlicę, Gary. A wiadomo, jak jest z seksem u gruźlików. Choć nie posądzałem o to Elvina. - Harvey wyciągnął ręce do sufitu i wykrzyknął: - Jak on mógł uczynić mi coś takiego właśnie teraz?!

Gary schylił się i podniósł z podłogi kopertę, w której przyszedł telegram. Po chwili odezwał się cicho:

- Cokolwiek się między nimi wydarzyło, wydaje mi się, że ona nie ma pojęcia, kim naprawdę był Elvin. W przeciwnym razie, dlaczego adresowałaby list „Farren”, a nie „Vanderfeld”?

Harvey nie odzywał się przez chwilę.

- Coś w tym jest - powiedział wolno. - Jeśli ona nie wie, jest jeszcze nadzieja!

Najwyraźniej zaświtała mu jakaś myśl, gdyż nagle szybko przeszedł przez gabinet i pociągnął za uchwyt od dzwonka.

Drzwi natychmiast otworzyły się.

- Słucham, panie Harveyu? - spytał kamerdyner.

- Poproś pana Wynstana, aby natychmiast się tu zjawił! - rozkazał Harvey. - Jeśli go nie ma w salonie, na pewno przebywa z panią Vanderfeld.

- Powtórzę, że pan życzy sobie go widzieć, panie Harveyu - odpowiedział kamerdyner swym niskim głosem.

Drzwi zamknęły się za nim i Harvey znów zaczął chodzić nerwowo po miękkim dywanie w kierunku biurka i z powrotem.

- Nie do wiary! - powtarzał. - Nie mogę uwierzyć, że rodzony brat mógł mnie tak urządzić!

- Elvinowi na pewno nawet nie przyszło na myśl mieszać ciębie w to wszystko - powiedział Gary z lekkim uśmiechem na ustach.

- Ale jestem wmieszany! - odparł Harvey. - Wiesz o tym równie dobrze jak ja! Wyobrażasz sobie; co prasa z tego zrobi?! Skandal na pierwszych stronach! A jaka gratka dla republikanów! Już widzę, jak Theodore Roosevelt wyżywa się na mnie na swoich wiecach!

- Na pewno można temu jakoś zaradzić - powiedział Gary nieprzekonująco. Wychylił drinka do dna i nalał sobie kolejnego, jakby miało mu to, dodać natchnienia.

Rozmowa ucichła, Kilka chwil potem w drzwiach stanął Wynstan Vanderfeld.

W wieku dwudziestu ośmiu lat był tak przystojny, iż ich siostra, Tracy, często mawiała, że to „aż nieuczciwe. wobec kobiet”. Wysoki, szeroki w ramionach, z twarzą o klasycznych rysach, był największym światowcem w całej rodzinie. Istny kosmopolita. - przez ostatnie siedem lat więcej czasu spędził za granicą niż w domu.

Ktoś powiedział kiedyś o nim, że jest typowym Amerykaninem - przeceniającym wszystko co francuskie i gardzącym angielszczyzną.

Lecz Tracy określiła go jeszcze trafniej:

- Wynstan to absolutne dzieło mamy bez krzty pomocy papy!

Zdecydowanie różnił się od braci także tym, że jego ciało było harmonijnie smukłe, a jednocześnie atletyczne. Był bowiem wspaniałym graczem w polo, zwyciężył. w wielu wyścigach konnych, a jeszcze w college'u zasłynął jako wyśmienity baseballista.

Kiedy wszedł teraz do pokoju, dało się zauważyć ironiczny błysk w jego oczach, tak jakby bracia bawili go i nie

potrafił zmusić się, by traktować ich poważnie. Podobnie zresztą było z pozostałymi członkami rodziny.

- Hudson powiedział mi, że pilnie mnie potrzebujecie - powiedział. - Co się stało?

W odpowiedzi Harvey podał mu depeszę. Wynstan wziął ją od niego i zauważył ze zdziwieniem, że ręka brata drży. Przeczytał tekst uważnie i w jego oczach znów pojawił się wesoły błysk.

- Jeśli jest tak, jak myślę, to znaczy że nasz Elvin zdążył trochę użyć życia. Należało mu się!

Harvey zareagował na to jak rozwścieczony lew.

- I tylko tyle masz do powiedzenia? - wybuchnął. - Nie rozumiesz, co to oznacza dla mnie? To jest jak dynamit, Wynstanie! Dynamit dla mnie i mojej kariery! Doskonale wiecie, że cała moja kampania opiera się na hasłach: „Oczyścimy Amerykę!”, „Z dala od nie swoich spraw!”, „Umacniamy rodzinę - podporę nowego narodu!”

Kiedy deklamował kolejne slogany, Wynstan nie wytrzymał i roześmiał się.

- Dość już tych oracji, Harveyu. Porozmawiajmy rozsądnie!

- Właśnie się staram - odrzekł Harvey.

- Nie wydaje mi się, by ta dziewczyna, kimkolwiek by była, chciała zagrozić twojej pozycji. Zwraca się do Elvina i błaga, by do niej przyjechał.

- Ale on nie może tego zrobić - warknął Harvey. - A jak myślisz, czego ona może od niego chcieć, jeśli nie pieniędzy?

Wynstan jeszcze raz zerknął na telegram.

- Być może nie zauważyłeś, że wspomina o listach, zasugerował Harvey. - „Twoje listy jedynym pocieszeniem”. Co to może, do diabła, znaczyć, jeśli nie to, że ta dziewczyna wyznaczy za nie wysoką cenę!

- Możliwe, że ma taki zamiar - przyznał Wynstan. - Lecz jednocześnie pisze „proszę, dotrzyмай obietnicy!” Co też Elvin mógł jej obiecać?

- Pewnie małżeństwo, jeśli okazałoby się, że dziewczyna jest w ciąży - wtrącił Gary.

- Tego także nie może zrobić! - powiedział ostro Harvey.

- To prawda - przyznał Wynstan. - Ale jeśli ona nosi jego dziecko, może rościć sobie prawo do jego majątku.

- Mój Boże! - wykrzyknął Harvey. - O tym nie pomyślałem! Ile przypada na Elvina?

- Nie bardzo wiem - odpowiedział Wynstan: - Ojciec zostawił spadek, który jak wiemy, jest ogromny. Tracy jest już wyposażona, więc reszta jest do podzielenia między nas czterech.

- W rzeczywistości nie pieniądze są ważne. - Harvey, z trudem wypowiadał słowa. - Najważniejsze, żeby nie wybuchł skandal, nieunikniony, gdyby bękart Elvina wyrósł nagle spod ziemi i poprosił o przyjęcie go na łono rodziny!

- Mogą być komplikacje - powiedział cicho Wynstan.

- Jeśli tak myślisz, to zrób z tym coś! - wykrzyknął Harvey.

Wynstan spojrzał na niego zdziwiony.

- Dlaczego ja?

- Bo ta przekłeta kobieta jest Angielką, a ty często włóczysz się po tym kraju. Powinieneś wiedzieć, jak można ją uspokoić. Tak! Właśnie! - Zdenerwowany ton Harveya przeszedł w krzyk. - Powinieneś za wszelką cenę zamknąć jej usta aż do wyborów! Potem będziemy mogli swobodnie się z nią rozprawić!

- Wielce szlachetnie - zauważył Wynstan.

- Nie nabieraj mnie teraz na dżentelmeńskie maniery! - rozzłościł się Harvey. - Nie można się cackać, gdy w grę wchodzi szantaż.

- A kto mówi, że to szantażystka? - zdziwił się Wynstan.
- Ja mówię, bo to, do diabła, jest szantażystka! -
odpowiedział Harvey.

- Zwróciłem ci uwagę - wtrącił się Gary - iż depesza jest
zaadresowana na nazwisko „Farren”. Nie sądzisz, że gdyby
znała prawdziwe nazwisko Elvina, użyłaby go?

- Bardzo słuszna uwaga, Gary - powiedział Wynstan.

- Nie ma znaczenia, jak się do niego zwraca -
niecierpliwiał się Harvey. - Jeśli ma dziecko z Elvinem albo
nawet tylko udaje - bo osobiście uważam, że Elvin nie był w
stanie spłodzić dziecka - to ta spryciara ogołoci nas co do
centa. Możecie być pewni!

- Myślę, że nie wzięłaś pod uwagę jednej rzeczy -
powiedział spokojnie Wynstan.

- Jakiej? - spytał Harvey.

- O ile znałem Elvina, a zapewne znałem go lepiej niż wy,
nie sądzę, by zainteresował się tego typu kobietą.

Przez chwilę panowała cisza. Potem Harvey odezwał się:

- Wszystko to pięknie brzmi. Ale wiesz chyba, jakie mogą
być kobiety, kiedy uczepią się bogatego mężczyzny. Elvin był
pod wieloma względami jak dziecko. Nie potrafiłby
postępować z kobietą, która chciałaby go usidlić.

- Być może masz rację - niechętnie zgodził się Wynstan. -
Co chcesz, żebym zrobił?

- Chcę, żebyś jak najszybciej pojechał do Anglii i
zamknął tej kobiecie usta! - powiedział Harvey. - Uduś ją,
porwij ją, niech tylko będzie cicho do dnia wyborów! Zrób
wszystko, żeby tylko nie weszła w kontakt z jakimś
reporterem i nie zdała sobie sprawy, jak bardzo może mi
zaszkodzić.

Wynstan wyglądał na rozbawionego. Wyciągnął rękę w
kierunku dzwonka.

- Co robisz? Po kogo chcesz dzwonić? - dopytywał się Harvey.

- Muszę się czegoś dowiedzieć o Larinie, czy jak jej tam na imię - wyjaśnił Wynstan. - Na depeszy nie ma ani nazwiska, ani adresu.

- Tylko żeby nikt się nie dowiedział - powiedział szybko Harvey. - Jeśli te hieny z prasy coś wywąchają, jestem skończony!

- Mam zamiar porozmawiać z Prudencją. - powiedział Wynstan łagodnie, jakby do dziecka.. - Prudencja była z Elvinem przez cały czas, odkąd wrócił z Europy. Poza tym była w tym domu jeszcze przed moim urodzeniem. Myślę, że po tych wszystkich latach możemy mieć do niej zaufanie.

- Oczywiście, masz rację - przyznał Harvey, jakby nieco zawstydzony.

W tym momencie w drzwiach stanął kamerdyner..

- Hudsonie, poproś Prudencję, by zeszła tu na chwilę - odezwał się Wynstan. - Pewnie już wróciła z pogrzebu.

- Tak, panie Wynstanie, jest na górze.

- Chcielibyśmy z nią pomówić.

- Naturalnie, panie Wynstanie.

Kamerdyner odszedł, a Wynstan stanął przy kominku.

- Nie irytuj się tak, Harvey - powiedział po chwili. - Jesteś spocony. Każdy, kto cię zna, wie, że u ciebie to oznaka strachu.

- Tak, boję się! - przyznał Harvey. - Chcę ci powiedzieć, Wynstanie, że dla mnie to cios w plecy. Nie spodziewałem się tego po własnym bracie!

- Uważam, że niepotrzebnie się lękasz - powiedział Wynstan. - Ale ponieważ jestem ci życzliwy, Harveyu, a Elvin bardzo wiele dla mnie znaczył, jest oczywiste, iż postaram się rozwiązać ten problem.

- Nie licz się z żadnymi kosztami, żadnymi - błagał Harvey - ale spraw, by ta kobieta milczała. Tylko o to cię proszę. Spraw, by milczała!

Kiedy Prudencja weszła do pokoju, zdumiała się na widok trzech braci w gabinecie, podczas gdy cały wielki salon był wypełniony ich krewnymi i przyjaciółmi.

Była już starszą kobietą o łagodnej, szczerzej twarzy, która sprawiała, że zarówno dzieci, jak i dorośli instynktownie darzyli ją zaufaniem. Oczy miała zaczerwienione i lekko spuchnięte od płaczu.

Od kiedy tylko bracia pamiętali, ubierała się w szarą bawełnianą sukienkę ze sztywno nakrochmalonym białym kołnierzykiem i mankietami o nieskazitelnej świeżości. Dziś wyglądała dokładnie tak samo.

Przez lata jej sylwetka stała się ciężka, zauważył Wynstan, kiedy wchodziła. Poza tym prawie się nie zmieniła od czasu, kiedy Wynstan, jako mały chłopczyk, po raz pierwszy, siedząc na jej kolanach, modlił się i poznawał litery.

- Wejdz, Prudencjo - powiedział. - Potrzebujemy twojej pomocy, jak zwykle!

- Co takiego się stało? - spytała Prudencja, spoglądając na braci.

- Chcemy, abyś opowiedziała nam, co wiesz o kobiecie imieniem Larina - odparł Wynstan.

- Była przyjaciółką pana Elvina - rzekła Prudencja bez wahania.

- Jakiego rodzaju przyjaciółką? - niecierpliwie spytał Harvey.

- Poznał tę kobietę w Szwajcarii - odpowiedziała Prudencja. - Po powrocie otrzymał od niej parę listów i wiem, że na nie odpisywał.

- Gdzie one są? Gdzie są te listy? - spytał Harvey. - Przynieś je tu natychmiast!

- Nie mogę, panie Harveyu - odpowiedziała Prudencja stanowczo.

- A to dlaczego?

- Ponieważ pan Elvin je spalił.

- Spalił?! - wykrzyknął Harvey.

- Tak, kilka dni przed śmiercią powiedział do mnie: „Prudencjo, myślę, że powinienem uporządkować moje rzeczy. Podaj mi moją szkatułkę”.

- Co to była za szkatułka? Prudencja spojrzała na Wynstana.

- Pan ją pamięta, panie Wynstanie.

- Owszem, sam mu ją podarowałem - powiedział Wynstan. - Miał wtedy chyba piętnaście lat. Powiedziałem mu wówczas, że każdy mężczyzna powinien mieć takie miejsce, w którym mógłby chować listy, by nikt inny ich nie przeczytał. - Przerwał i uśmiechnął się dodając: - To było po tym, jak mama znalazła moje listy od dziewczyny, której bardzo nie lubiła.

- Musiało jej zabrać sporo czasu przeczytanie listów od wszystkich twoich dam serca - zażartował Gary.

- Proszę, mów dalej, Prudencjo - powiedział spokojnie Wynstan.

- Podałam mu szkatułkę do łóżka. Wyjął z niej kilka wierszy, które pisał od czasu do czasu. Czytywał mi je niekiedy. Spojrzał na nie i powiedział: „Spal je, Prudencjo!” - Dlaczego? - spytałam. Są takie piękne, panie Elvinie. Zatrzymamy je. Może kiedyś ktoś je wydrukuje. - „Właśnie tego się boję. Bo jeśli to zrobią, to nie z chęci zrozumienia tego, Co starałem się wyrazić” - odpowiedział. „Spal je, Prudencjo!”

- Więc cóż miałam zrobić, spaliłam. - Prudencja bezradnie rozłożyła ręce.

- Co jeszcze było w szkatułce? - spytał Wynstan,

- Listy, które przechowywał wiele lat, nawet jeden czy dwa od pana, kilka od matki i te od młodej damy.

- Skąd wiedziałaś, że są od niej? - zapytał Wynstan.

- Po powrocie tylko od niej dostawał listy - odpowiedziała Prudencja. - Był bardzo szczęśliwy, kiedy przychodziły. Powiedział kiedyś: „Nie sądzisz, że Larina to ładne imię, Prudencjo? Według mnie jest piękne”.

Harvey spojrzał wymownie na Gary'ego.

- A jak brzmi jej nazwisko, Prudencjo - spytał.

- Nie wiem, panie Harveyu.

- Musisz przecież coś wiedzieć.

- Nie, pan Elvin nigdy nic mi o niej nie mówił. - Ale pan Renour będzie wiedział.

- Renour? Dlaczego on będzie wiedział? - zapytał zdziwiony Harvey.

- Ponieważ pan Elvin pisał do niej i powinna być adnotacja w rejestrze korespondencji.

- Właśnie! - wykrzyknął Wynstan. - Zapomniałem, że mamy taką księgę! Tam znajdziemy jej adres!

- Oczywiście - zgodziła się Prudencja.

- Prudencjo, bądź łaskawa powiedzić Renourowi, by przyniósł księgę - powiedział Wynstan. - Dziękujemy ci, Prudencjo.

- Mam nadzieję, że panom pomogłam - rzekła Prudencja, spoglądając na braci. Odczekawszy chwilę, powiedziała: - Dziękuję, panie Harveyu, za piękne słowa podczas mszy. Jestem przekonana, że pan Elvin byłby zadowolony.

Łzy napłynęły jej do oczu, więc szybko odwróciła się i wyszła z pokoju.

- Piękne słowa! - powiedział pogardliwie Harvey. - Ciekaw jestem, co by powiedziała, gdyby знаła prawdę.

- Niewątpliwie uczyniłeś z Elvina skrzyżowanie archanioła Gabriela ze świętym Sebastianem - zauważył Wynstan.

- Tym bardziej nie powinniśmy zdejmować go z piedestału! - warknął Harvey.

- Przestań się złościć! - poprosił Gary. - Wynstan obiecał, że pomoże, a jeśli on już się na coś decyduje, zawsze dopina swego.

- Dziękuję! - powiedział Wynstan rozbawiony. Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Hudson.

- Prudencja powiedziała mi, że chce pan zajrzeć do książki korespondencji, panie Harveyu - powiedział. - Niestety, pan Renour nie wrócił jeszcze z cmentarza, więc sam przyniosłem.

- Bardzo dziękuję, Hudsonie. Harvey wziął księgę i zaczął ją szybko kartkować.

- Nie miałem pojęcia, że wysyłamy tyle listów! - powiedział. - Od wniesionego przez nas udziału poczta powinna nam płacić dywidendę!

Żaden z braci nie zareagował. Niecierpliwie czekali na to, co znajdzie w książce.

- Jest! - wykrzyknął w końcu. - Panna Larina Milton, Eaton Terrace 68, Londyn, Anglia.

- Przynajmniej wiemy, gdzie mieszka! - powiedział Gary.

- I pewnie chcecie, żebym zobaczył się z nią jak najszybciej? - powiedział Wynstan zrezygnowanym głosem. - Pojadę, ale muszę powiedzieć, że jest to dla mnie wyjątkowo niewygodne. Jutro dostarczą mi nowy samochód. Poza tym zamierzałem zająć się treningiem nowej pary koni do polo przed początkiem sezonu w maju.

- Koni do polo! - jęknął Harvey z nutą potępienia w głosie.

- Mam pomysł! - odezwał się nagle Gary. Bracia spojrzeli w jego stronę.

- Jaki? - spytał Wynstan.

- Pomyślałem, że przecież angielska prasa będzie pisać o naszych wyborach. Nawet jeśli w Szwajcarii ta dziewczyna nie miała pojęcia, kim był Elvin, przeczyta o jego śmierci w artykułach o Harveyu. W ten sposób dowie się...

- Ile może od nas wyciągnąć! - wtrącił Harvey. -

Z każdym dniem kampanii będzie rosła jej cena.

Wynstan nie odzywał się. Harvey ciągnął dalej:

- Gary ma rację! Nie ma sensu, żebyś próbował ją unieszkodliwić w Londynie, Musisz ją wywieźć jak najdalej; Zabierz ją do Francji, Hiszpanii czy Włoch, gdziekolwiek, gdzie gazety nie są regularnie co rano dostarczane.

- Nie ma powodu, by przypuszczać, że ona już wie o prawdziwym pochodzeniu Elvina - powiedział Wynstan.

- Nie ma powodu przypuszczać, że nie wie! - odparł Harvey. - Błędem byłoby ryzykować. Poza tym Elvin, chociaż tak bardzo wychudł, od kiedy zachorował, nie przestał być do nas podobny. Mama często to powtarzała.

- Mówiła też, że Wynstan jest najprzystojniejszy! - zauważył Gary.

- Nie chcę, by miał to być powód do zazdrości - powiedział Wynstan. - Dobry wygląd też często utrudnia życie.

- Nie sądzisz chyba, że ci uwierzymy - roześmiał się Gary. - Wiesz o tym równie dobrze jak ja, iż kobiety na twój widok tracą głowę.

- Mówię wam, że często jest to obowiązek - upierał się Wynstan.

- No dobrze, wracajmy do sprawy - denerwował się Harvey. - Pomysł Gary'ego jest dobry, powinniśmy go rozważyć. Dokąd mógłbyś ją zabrać, Wynstanie?

- Zakładacie, oczywiście, że ona zgodzi się pojechać - odpowiedział Wynstan. - I pewnie chcecie, żebym to ja powiedział jej, że Elvin nie żyje?

- Właśnie że nie, mam lepszy pomysł - powiedział Harvey.

- Jaki?

- W tej depeszy ona błaga Elvina, żeby do niej przyjechał. Jasne jest, że on jej to z góry obiecał. Musi więc dotrzymać słowa.

- Co masz na myśli? - zapytał Wynstan.

Oczy Harveya zwięzły się na chwilę. Ci, z którymi robił interesy, wiedzieli, że oznacza to wyjątkowo korzystną transakcję.

- Wyślemy jej telegram od Elvina z prośbą o spotkanie w naszej willi. W ten sposób wyciągniemy ją z Londynu.

- Willa w Sorrento? - spytał Wynstan. - Mój Boże, nie byłem tam od lat!

- Grace i ja spędziliśmy tam dwa tygodnie w 1900 roku - odezwał się Gary. - Wciąż wygląda tak jak tuż po wybudowaniu, a raczej po tym, jak dziadek przywrócił jej romański blask, wydając przy tym fortunę.

- Właściwie chciałbym ją znów zobaczyć - rzekł Wynstan. - W dzieciństwie wydawało mi się, że nie ma piękniejszego miejsca na świecie.

- A więc załatwione - ożywił się Harvey. Zdecydowanie chciał już znów zająć się swoimi sprawami. - Wyślemy depeszę i podpiszemy ją za Elvina.

- I najlepiej sam zanieś ją na pocztę. Nie możemy wysłać jej stąd. Renour nie powinien o niczym wiedzieć,

- A jeśli ona nie zechce przyjechać? - powiedział Gary. - Poza tym nie można wymagać, by kobieta udawała się w taką podróż sama.

- Oczywiście, że nie - odpowiedział zniecierpliwiony Harvey. - Po co utrzymujemy to ogromne, drogie biuro w Londynie, jeśli nie do wykorzystania go w sytuacji takiej jak ta?

Jego usta zacisnęły się, po czym kontynuował:

- Można by wysłać depezę do Donaldsona, by zobaczył się z panną Milton i namówił ją do wyjazdu do Włoch. Nie ma potrzeby wysłać jej wiadomości z podpisem Elvina - dodał. - To może nam tylko zaszkodzić.

- Zgadza się - powiedział Gary.

- Donaldson przygotowuje willę na przyjazd Wynstana. Musi jak najszybciej skontaktować się z Lariną, czy jak jej tam. Jeśli on nie będzie mógł z nią pojechać, niech wyśle kogoś innego. To tylko kwestia organizacji.

Harvey przerwał wywód i spojrzał na braci, jakby szukając u nich akceptacji.

- Z pewnością jest to jakiś pomysł - powiedział Wynstan powoli.

- A może ty masz lepszy?

- Nie, nie mam, i wolałbym wyperswadować jej to w Sorrento, a nie w Londynie.

- Cieszę się, że przynajmniej wy jesteście zadowoleni - powiedział Harvey rozdrażnionym głosem. - Nie zasnę spokojnie, jeśli nie będę wiedział, iż sprawa jest załatwiona, braciszku. Mam nadzieję, że uratujesz ludzi, którzy obdarzyli mnie zaufaniem. - Harvey prawie szlochał. Wynstan roześmiał się.

- Oszczędź nam tego przedstawienia, Harveyu. Zrobię co w mojej mocy, choć musisz wiedzieć, że jest to dla mnie wyjątkowo kłopotliwe. Włóczyć się po Europie teraz, kiedy powinienem być tu na miejscu!... Ale zaraz! Co ja powiem mamie?

- O Boże! - wykrzyknął Harvey i szybko dodał: - Musimy zmyślić, że dostałeś pilną wiadomość od jednej z przyjaciółek.

- To się jej nie spodoba - stwierdził Wynstan. - Poza tym teraz, kiedy jest taka rozstrojona z powodu Elvina, jestem jej szczególnie potrzebny.

- Mama na pewno zgodzi się z tym, że sprawy serca, szczególnie twojego, muszą być najważniejsze! - rzekł Harvey z ledwo wyczuwalną nutą ironii w głosie.

- Moim zdaniem - wtrącił się Gary - w głębi duszy mama jest dumna z twoich sukcesów, Wynstanie. Jesteś potomkiem starego rodu Hamiltonów, którego członkowie, zanim musieli opuścić Szkocję, zachowywali się wobec tamtejszych dziewcząt w sposób godny potępienia.

- Muszę się zastanowić, co mam jej powiedzieć - powiedział znużonym głosem Wynstan. - Jednak, jeśli dowiem się, Harveyu, że rozpowiadasz jakieś niepochlebne rzeczy na mój temat, jak to ci się kiedyś zdarzało, przysięgam, iż powiem mamie całą prawdę.

- Przrzekam, że będę ci pomagał najlepiej, jak potrafię - odparł Harvey. - Jest jeszcze jeden ważny powód, dla którego powinieneś trzymać się z dala od Londynu. Chodzi o to, iż Tracy może zadawać kłopotliwe pytania. Nikt z nas nie chce chyba, by to jej zarozumiałe książątko wściubiało swój arystokratyczny nos w nasze sprawy i grymasiło, że Anglicy nie zajmują się tego rodzaju bzdurami.

- Ja osobiście lubię Osmunda - powiedział Wynstan. - Według mnie wcale nie jest zarozumiały. Ale zgadzam się, że Tracy nie powinna o niczym wiedzieć, jeśli w ogóle jest o czym wiedzieć. - Podeszedł do drzwi. - Mam nadzieję, że cały ten teatr okaże się tylko wytworem zbyt wybujałej wyobraźni Harveya.

- Dokąd się wybierasz? - zaniepokoił się Harvey. - Musimy przecież napisać telegram.

- Poradzicie sobie beze mnie - odparł Wynstan. - Jeśli czeka mnie podróż przez Atlantyk, co, jak wiecie, jest ostatnią rzeczą, o której mogłem teraz pomyśleć, to uważam, że należy mi się przy tym odrobina luksusu. „Kaiser Wilhelm der Grosse” odpływa jutro rano, a ja zamierzam znaleźć się na jego pokładzie.

Wynstan wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Gary i Harvey popatrzyli na siebie.

- Gratuluję, Harveyu - odezwał się Gary. - Ani przez moment nie przypuszczałem, że się zgodzi.

- Szczerze mówiąc, ja też nie - odparł Harvey. Tuż przed porannym przyplywem Wynstan znalazł się na pokładzie „Kaiser Wilhelm der Grosse” i zaraz potem statek odbił od brzegu. Zaledwie jedna trzecia kabin była zajęta. Większość pasażerów wsiadła w Nowym Jorku. „Kaiser”, którego, jak wszystkie transatlantyki, pomalowano na niebiesko wzdłuż belki utrzymującej konstrukcję; był wyposażony we wszelkie wygody i rozrywki, jakie można sobie wymarzyć dla uprzyjemnienia podróży.

Jednak bardziej niż luksusy Wynstana interesowała lista pasażerów, której kopię otrzymał od szefa stewardów.

Mimo że rezerwował miejsce w ostatniej chwili, magia nazwiska Vanderfeld sprawiła, iż znalazł się dla niego jeden z najlepszych apartamentów i tylko szef stewardów wiedział, ile wysiłku kosztowało go rozmieszczenie pozostałych pasażerów tak, by nie sprawić nikomu przykrości.

Wynstan, jako doświadczony pasażer, pochwalił kabiny i, jak zwykle na początku podróży, obdarował stewardów napiwkami, pozostawiając swojej służbie planowanie spraw w sposób dla niego najbardziej komfortowy. Usiadł wygodnie w fotelu, zamówił drinka i zagłębił się w lekturze listy pasażerów. -

Na nabrzeżu nie było nikogo, kto mógłby pomachać mu na pożegnanie. Nie lubił tego. Właściwie było mu nawet na rękę, że Harvey tak go ponaglał z wyjazdem. W ten sposób nikt, poza najbliższą rodziną, nie wiedział o tej wyprawie.

- Tylko, broń Boże, nie zadawaj się z prasą, Wynstanie - denerwował się Harvey. - Wiesz przecież, jacy oni potrafią być, kiedy czują, że dzieje się coś niezwykłego.

Wynstan jednak, znacznie bardziej niż prasą, przejmował się matką.

- Myślałam, że zostaniesz ze mną, kochanie - powiedziała pani Vanderfeld ze łzami w oczach, kiedy dowiedziała się, iż Wynstan musi niezwłocznie płynąć do Europy.

- Wiem, mam, i naprawdę bardzo pragnę być teraz przy tobie - odparł Wynstan. - Niestety przyrzekłem kiedyś przyjacielowi, że pomogę mu, kiedy będzie w potrzebie. Nadszedł czas dotrzymania tej obietnicy.

- Przyjaciel? - spytała podejrzliwie pani Vanderfeld. - Nie oczekujesz chyba, bym uwierzyła, że nie stoi za tym kobieta?

- Twoje myśli, mam, wciąż krążą wokół jednego - odpowiedział Wynstan z uśmiechem. - Musisz mieć w żyłach trochę francuskiej krwi, skoro twoją maksymą życiową jest zawsze *cherchez la femme*.

- Mam w tym swój powód - odpowiedziała pani Vanderfeld. - Myślałam, że skończyłeś już z tą francuską aktoreczką. Jak ona się nazywała?

- Gaby Deslys. Skąd o niej wiesz?

- Ja zwykle wiem o wszystkim - stwierdziła pani Vanderfeld z zadowoleniem. - I choć postanowiłeś nie mówić mi prawdy o tej swojej pilnej podróży, możesz być pewny, że prędzej czy później dowiem się o niej wszystkiego!

- Z pewnością, mam - zgodził się Wynstan. Matka przyjrzała mu się, kiedy siadał na skraju ogromnego, srebrno -

błękitnego łóżka, wiernej imitacji łoża króla Ludwika Bawarskiego.

Zasłony, serweta na stole w buduarze, poszewki na poduszki i brzegi prześcieradeł - wszystko to ozdobiono prawdziwą wenecką koronką. Wokół łoża zbudowano - coś w rodzaju balustrady oddzielającej je od reszty pokoju, tak jak to miało miejsce w sypialniach królewskich Francji i Bawarii.

- Przypuszczam - powiedział Wynstan, kiedy pierwszy raz zobaczył balustradę - że tylko księżęta krwi mają za nią wstęp.

- Wynstanie, naprawdę nie powinieneś mówić takich rzeczy! - obruszyła się matka.

Z drugiej strony jednak uwielbiała, kiedy się z nią droczył, gdy żartował na temat jej adoratorów, których - zresztą wciąż miała sporo, mimo upływających lat.

- Wiesz, Wynstanie - powiedziała, z lubością patrząc na jego piękną twarz - jesteś idealnym wcieleniem jednego z moich przodków żyjących w czasach królowej Elżbiety, który był piratem i rozrabiaką. Ten to potrafił postępować z kobietami! Zresztą, gdyby było inaczej, na nic by się nie przydał królowej.

- Ale ona i tak pozostała dziewicą - zauważył Wynstan.

- Zawsze w to wątpiłam! - odparła pani Vanderfeld, a Wynstan się roześmiał.

- Jeśli powiesz coś takiego w obecności Harveya, dostanie ataku serca! Cała jego kampania opiera się na hasłach czystości moralnej. On chce nas wszystkich pozamieniać w purytanów!

- To ostatnia rzecz, o której w ogóle mogłabym pomyśleć - powiedziała pani Vanderfeld ostro - Harvey zachowuje się jak stara baba. Zawsze taki był. Z drugiej strony chciałabym go kiedyś ujrzeć w Białym Domu.

- Ja także - rzekł Wynstan. - Taki byłby szczęśliwy. A poza tym ma lepszą prezencję od Theodore'a Roosevelta!

- Trudno nie mieć - powiedziała ironicznie pani Vanderfeld. - Ale nie jestem pewna, czy z ciebie nie byłby lepszy prezydent!

Wynstan podniósł ręce przerażony.

- Zapomniałaś, mamó, że jestem rodzinnym playboyem?

- Czy nie czas pomyśleć o ustatkowaniu się? - spytała matka. - W ciągu ostatnich kilku lat niezłe sobie używałeś życia, i bardzo dobrze. Ale nim umrę, chciałabym, zobaczyć twego potomka.

Wynstan roześmiał się.

- Piękne słowa, mamó, ale nie wyglądasz na osobę realnie myślącą o śmierci, choć od czasu do czasu napędzasz nam niezłego stracha, jak na przykład w zeszłym miesiącu. Wiesz przecież, że masz żelazne zdrowie jak twoi pionierscy przodkowie. Z pewnością dożyjesz setki!

- Choćby po to, żeby zrobić wam na złość! - rzekła pani Vanderfeld. - Dopóki żyję, jestem w stanie kontrolować całą rodzinę, szczególnie jeśli chodzi o kontakty z innymi ludźmi!

- A ja jestem wyjątkiem? - spytał Wynstan.

- Zawsze byłeś upartym chłopcem. Potrafiłeś być nawet okrutny - odparła pani Vanderfeld - ale jeśli ci na czymś zależało, potrafiłeś być słodki jak miód.

- Zawsze zależało mi na tym, co miało związek z tobą, mamó - powiedział Wynstan. - Myślę, że powodem, dla którego jeszcze się nie ożeniłem, jest to, iż dotąd nie trafiłem na kobietę choć w połowie tak. dowcipną, inteligentną i atrakcyjną jak ty, mamó.

- A jednak! - wykrzyknęła pani Vanderfeld. - Teraz jestem już pewna, że coś przede mną ukrywasz. Inaczej nie uciekałbyś się do pochlebstw. - W oczach pani Vanderfeld rozbłysły filuterne iskierki, zupełnie takie same jak u

Wynstana. - Zrób, co do ciebie należy - powiedziała - ale po powrocie opowiedz mi wszystko. W moim wieku pozostaje mi już tylko cieszyć się z uciech mojego syna.

- A może to dla urozmaicenia twoich własnych, mamó? - zapytał Wynstan, a ona znów się roześmiała.

Na pożegnanie czule pocałowała syna.

- Uważaj na siebie, kochanie - powiedziała z czułością w głosie. - Teraz, kiedy Elvin odszedł, ty jesteś moim oczkiem w głowie. Będę o tobie myślała i modliła się, byś wrócił cały i zdrowy.

- Wrócę niebawem, mamó, najszybciej, jak będę mógł.

- Pamiętaj, co mówiłam o twoim synu! - zawołała jeszcze pani Vanderfeld, gdy Wynstan był już w drzwiach.

- Na świecie jest już i tak dostatecznie wielu mężczyzn, którzy cię kochają - odpowiedział Wynstan wychodząc i znów w pokoju rozległ się ich śmiech.

Przeglądając listę trzystu trzydziestu dwóch pasażerów pierwszej klasy, Wynstan dojrzał nazwisko, które zwróciło jego uwagę. Na pokładzie znajdowali się hrabia i hrabina Glencairn.

Wynstan poznał hrabiego przed kilkoma laty. Już wtedy nie pierwszej młodości, Par zdobył sławę w towarzystwie jako niezrównany hodowca chartów wyścigowych. Mając ponad siedemdziesiąt lat hrabia złamał nogę i od tej pory musiał poruszać się na wózku inwalidzkim.

Jednak na kilka lat przedtem zdążył znaleźć sobie drugą żonę - wyjątkowo interesującą, młodą, ciemnooką Francuzkę.

W Paryżu młoda dama nie miała najlepszej reputacji. Było to dla niej nie lada osiągnięcie wprowadzić w zakłopotanie tych, którzy krytykowali jej wejście do kręgów angielskiej arystokracji.

Wynstan poznał ją pół roku temu, na kolacji u księcia - męża siostry, w jego wspaniałej rezydencji niedaleko Oxfordu.

Siedział obok niej przy stole, a ona flirtowała z nim w sposób, który powiedział mu, że oboje są mistrzami w tej najstarszej sztuce świata.

Wynstan odłożył listę i uśmiechnął się cynicznie do swoich myśli.

Podróż zapowiadała się dużo ciekawiej, niż przypuszczał.

Rozdział 3

Larina czuła się tak, jakby jej serce już przestało bić.

Nie mogła skupić myśli na niczym innym poza upływającymi minutami, godzinami i całymi dniami. Czuła, że powinna zrobić coś niezwykłego, coś naprawdę ważnego, zanim umrze. Jednak zupełnie nie wiedziała, jak się do tego zabrać.

Czuła, że jej kiedyś silna wola rozpląnęła się gdzieś. Jeszcze nigdy dotąd nie potrzebowała tak bardzo kogoś, kto wzięłby wszystkie sprawy w swoje ręce i mówił jej, co ma robić. Była tak bezradna, iż potrafiła tylko biernie czekać na odpowiedź od Elvina.

A gdyby, pomyślała nagle, Elvin był tak chory, że nie byłby w stanie odpowiedzieć na jej wołanie o pomoc?

Myśl ta tak ją przeraziła, że co godzina wyjmowała listy od niego i czytała ostatni, który otrzymała z Ameryki.

Donosił jej, iż matka jest bardzo szczęśliwa z powodu jego powrotu i że podróż zniósł nadzwyczaj dobrze.

„Myślę, że to morskie powietrze tak: świetnie na mnie podziało”, pisał. „Sprawiło, iż wciąż o tobie myślałem, a szare dni na morzu przypominały mi twoje oczy”.

Listy były krótkie. Larina wiedziała, że nawet gdyby Elvin chciał napisać więcej, byłoby to ponad jego siły.

Z listu wynikało jednak, iż czuje się lepiej. Bardzo ją to podniosło na duchu. Była przekonana, że Elvin żyje. Przecież gdyby było inaczej, dowiedziałaby się o tym.

Ponieważ po powrocie do Londynu czuła się tak przerażająco samotna, starała się przypomnieć sobie wszystko, co jej powiedział.

„Jak może pani czuć się samotna, skoro wszystko wokół żyje?”

Wspominając jego słowa i przekonując samą siebie, jak wiele muszą one znaczyć teraz, kiedy nie ma nikogo, do kogo

mogłaby się zwrócić w swej samotności, szła poprzez ulice w kierunku Hyde Parku.

Z ulgą wyszła z domu, cichego aż nie do zniesienia. Wiatr, który zauważyła dopiero po dłuższym czasie, niósł w sobie coś, co jej przypominało czyste i rześkie powietrze Szwajcarii.

Spacerowała po zielonej trawie, aż dotarła do jeziora Serpentine. Choć przez cały dzień było pochmurno, teraz nieśmiało wyjrzało słońce. Larina przysiadła na ławce nad wodą. Rozejrzała się wokół. Zauważyła, że zakwitły żonkile i czerwone tulipany, które przeżyły się na klombie jak gwardziści.

Tak bardzo pograżyła się we własnym nieszczęściu, które otoczyło ją niby mgła, że idąc przez park, nie dostrzegała niczego poza własnym strachem przed przyszłością i trudnościami w znalezieniu pracy. Udawała, iż Elvin jest tu obok niej, opowiadając, że życie jest wszędzie, a ona jest jego częścią.

- Och, Elvinie, Elvinie! - szeptała. - Pomóż mi! Pomóż mi!

Wydawało jej się, że krzyczy na cały głos. Nikt jej jednak nie odpowiadał. Tylko wiatr rozdmuchiwał suche liście, pozostałe jeszcze od jesieni, i poruszał gałązkami, na których pojawiły się już pierwsze zielone pączki.

Podmuchy wiatru marszczyły tafłę jeziora i przyginały do ziemi żółte główki żonkili.

"Ja jestem częścią tego świata, a on jest częścią mnie", powiedziała do siebie Larina. Ale były to tylko słowa, których nie potrafiła do końca zrozumieć.

Nagle ujrzała na wodzie światło. Było prawie oślepiające. Żonkile stały się złote jak samo słońce i prawie mogła dostrzec, jak trawa rośnie jej pod stopami.

Była w tym intensywność, magia i boskość. Było to lśnienie, które rozjaśniło niebo i jej duszę. Larina była jego częścią, a ono było częścią niej!

Kiedy pragnęła zatrzymać jego piękno i siłę, by poczuć je każdym porem skóry, odczuć jego realność, światło zniknęło.

Było to wrażenie tak złudne, tak ulotne, że kiedy minęło, wydawało jej się, iż musiała to być iluzja. Lecz jednocześnie była pewna, że to się stało.

Teraz naprawdę zrozumiałam słowa Elvina, pomyślała.

Próbowała przywołać promieniowanie. Słońce wciąż odbijało się w wodzie, jednak było to światło zupełnie odmienne od tego sprzed chwili.

Może z czasem to wszystko stanie się łatwiejsze do zniesienia, pocieszała się Larina.

Kiedy wracała do domu, wspomnienie magicznej chwili rozjaśniało jej umysł. Podniosło ją na duchu, dodało jej skrzydeł, jednak nie było w stanie ukoić smutku. Wzmogło jedynie tęsknotę za Elvinem.

W ciągu następnych dni wspomnienie nie przygasało. Larina podsycala je w sobie, lecz nie potrafiła przywołać ekstatycznego uniesienia. Była zdolna myśleć tylko o chwili, w której jej serce przestanie bić, a oddech na zawsze pozostanie w piersi. Mogła tylko wzywać Elvina w myślach, tak jak sam ją o to prosił, i modlić się, by odpowiedział na jej depeszę. Tylko Elvin mógł powstrzymać jej przerażenie, które wiedziała, że ją ogarnie, kiedy przeminie dwadzieścia jeden dni.

Jeśli nie przyjedzie natychmiast, będzie za późno, a nawet jeśli przybędzie, spędzą razem bardzo mało czasu.

Wydawało jej się niewiarygodne, że to, co mówiła w Szwajcarii, miało okazać się prawdą. „Niewykluczone, że umrę przed panem”, powiedziała wtedy Elwinowi, ale nie mówiła tego poważnie. To była tylko rozmowa. Lecz teraz,

kiedy wiedziała, że nie przeżyje Elvina, okazało się, iż w przeciwieństwie do niego, nie jest przygotowana stawić czoło śmierci.

„Pomóż mi, pomóż mi!” - krzyczało jej serce.

Kiedy otworzyła drzwi domu, poczuła że w jego pustce jest coś przerażającego. Przygnębiły ją odrapane drzwi, wytarty dywan na schodach, a przede wszystkim panująca wszędzie głucha cisza.

Ani ona, ani matka nie dbały o to mieszkanie. Obie z bólem serca opuszczały przestronny, wygodny dom w Sussex Gardens po drugiej stronie Parku.

Kiedy doktor Milton zaraził się jakimś wirusem od pacjenta i nieoczekiwanie po krótkiej chorobie zmarł, okazało się, że dom naprawdę do niego nie należał. Matka i córka odkryły też z niepokojem, iż doktor zostawił bardzo niewiele pieniędzy.

Co prawda mieszkając w dobrej dzielnicy Londynu, wśród zamożnych ludzi, doktor Milton prowadził bardzo dochodową praktykę. Był to wszakże człowiek wielkiego serca. Dlatego leczył też biedotę ze slumsów Paddingtonu. Nie brał od nich ani grosza, a często nawet rozdawał im leki i różne inne drobiazgi, których sami nie byliby w stanie sobie sprawić.

Wielu z jego ubogich pacjentów przyszło na pogrzeb, przynosząc wzruszające małe bukiety. Długo jeszcze wspominali „dobrego doktora” i serce, które im okazywał.

Mimo wszystko było to skromną pociechą dla żony i córki, którym nie zostawił zbyt wiele na dalsze życie.

Matka pograżyła się w rozpacz, więc Larina musiała sama zatroszczyć się o jakiś kątek dla nich.

Uznała, że dobrze byłoby trzymać się z daleka od miejsc, gdzie matka przeżywała chwile małżeńskiego szczęścia. Udała się zatem na południe od Parku, w okolice Belgravii, i tam znalazła niedrogi dom do wynajęcia. Ten na Eaton Terrace był

naprawdę tani, choć niestety ciasny, duszny i nieładny, nawet mimo mebli, które przywiozły ze sobą.

- Wiem, że to głupie z mojej strony - wyznała pani Milton po kilku tygodniach - ale trudno mi nazywać to miejsce domem.

Larina zdawała sobie sprawę; że jeszcze trudniejsze było dla niej pogodzenie się z rolą wdowy i życie bez mężczyzny, który opiekowałby się nią.

Przez całe życie pani Milton była rozpieszczana i kochana. Nie odczuwała potrzeby niezależności ani nie interesowała się tak modną ostatnio emancypacją kobiet.

- Wcale nie mam ochoty głośować, kochanie - powiedziała kiedyś do męża. Larina akurat była w pobliżu i słyszała rozmowę. - Zupełnie mi wystarcza, kiedy w razie potrzeby ty wytłumaczysz mi sytuację polityczną. Szczerze mówiąc, wolę rozmawiać na inne tematy.

- Zdaje mi się, że nigdy nie będziesz nowoczesną kobietą - odpowiedział doktor Milton z uśmiechem.

- Chcę po prostu być twoją żoną - powiedziała pani Milton, patrząc na męża z miłością.

Byli oboje tak szczęśliwi, że aż czasem Larina czuła się niepotrzebna. Mimo to wiedziała, iż ojciec bardzo ją kocha. A po jego śmierci matka przyłgnęła do Lariny całym sercem, co utwierdziło ją w przekonaniu, że jednak ktoś jej potrzebuje.

Teraz jednak została sama i po tym pełnym radości życiu z rodzicami bardzo źle znosiła samotność.

Właściwie to nawet dobrze, że niewiele czasu mi zostało, myślała z goryczą. Nie przygotowano mnie do życia w świecie, w którym kobieta musi radzić sobie sama.

Przypomniała sobie o tym, jak w drodze do sir Johna Coleridge'a planowała znaleźć pracę sekretarki. Pomysł był dobry, ale Larina zdawała sobie sprawę z ogromnego bezrobocia. W tej sytuacji trudno było liczyć na to, że

ktokolwiek zatrudni kobietę, skoro o to samo miejsce ubiegali się też mężczyźni.

Rozdrażniona tymi myślami, Larina przeszła do salonu, by popatrzeć na „skarby”, które mama tam przechowywała. Zapragnęła znów zobaczyć intarsjowaną szkatułkę, w której mama trzymała swoje hafty, małe francuskie biureczko między oknami, na którym stały zdjęcia ojca i jej.

Delikatnie dotknęła chińskich ornamentów na obramowaniu kominka, które tata zamówił kiedyś, by sprawić mamie prezent gwiazdkowy, i które mama uwielbiała.

Patrząc na nie, zauważyła, że chiński porcelanowy pastuszek miał utraconą dłoń. Zezłościło ją, iż lokatorzy byli tacy nieostrożni i na dodatek nie naprawili szkody. Natychmiast jednak stwierdziła, że to i tak nie ma najmniejszego znaczenia.

Mama przecież nie wiedziała, że cenne pamiątki jej małżeństwa zostały zniszczone, a ona sama wkrótce też nie będzie ich oglądać.

„Co mam zrobić z tym wszystkim?” - nagle spytała samą siebie z przerażeniem. „Nie mogę tak po prostu umrzeć, nie mówiąc nikomu o tych przedmiotach”.

Próbowała przypomnieć sobie jakiegoś znajomego, któremu mogłaby się zwierzyć. Jednak, choć rodzice mieli wielu znajomych w Sussex Gardens, jej, zgodnie z powszechnym zwyczajem, nie wolno było brać udziału w przyjęciach rodziców. Była nieśmiała, więc nie miała przyjaciółek wśród tych niewielu dziewcząt, które kiedyś poznała. Lecz mama wciąż jej powtarzała, że kiedy dorośnie, wszystko się zmieni.

- Musimy wydać bal dla Lariny - wspomniała kiedyś mężowi. - Już teraz powinieneś zacząć oszczędzać, Johnie, ponieważ kiedy nasza córka skończy osiemnaście lat,

zamierzam ubierać ją dość ekstrawagancko. Szczególnie na wieczorne przyjęcia.

- I pewnie powiesz też, że chciałabyś przedstawić ją na dworze! - odparł doktor Milton.

- Dlaczegoż by nie? - spytała pani Milton. - Ja w tym wieku byłam już przedstawiona.

- Twoja rodzina żyła w nieco innych warunkach.

- Wszystkie panny Courtney były prezentowane na dworze - powiedziała matka Lariny z godnością.. - Nie będę się czuła w porządku wobec Lariny, dopóki nie znajdzie się w Buckingham Palace, by pokłonić się królowi.

Po czym uśmiechnęła się do córki, mówiąc:

- Jeśli uznają, że nie jestem odpowiednią osobą, by cię zaprezentować, poproszę o ta twoją matkę chrzestną, lady Sanderson. Zawsze przysyła ci prezent na gwiazdkę. Mimo że mieszka daleko na wsi i rzadko się widzujemy, wiem, iż wciąż jest naszą przyjaciółką.

Niestety chrzestna matka zmarła w następnym roku. Pani Milton bardzo rozpaczała po stracie przyjaciółki, która tak wiele dla niej znaczyła.

Tak więc nie było już lady Sanderson, do której można byłoby się teraz zwrócić. Po spędzeniu roku w Szwajcarii, a jeszcze poprzedni przeżywszy w żałobie po ojcu, Larina zauważyła, że z trudem przypomina sobie nazwiska osób, które bywały w domu w Sussex Gardens.

Poza tym, pomyślała, kto chciałby spotykać się z człowiekiem, który pragnie tylko pocieszenia? Ludzie nie potrafią mówić o śmierci. Larina zdawała sobie sprawę, że przede wszystkim ona sama nie będzie umiała przełamać nieśmiałości, by mówić o wyroku, który wisiał nad nią jak miecz Damoklesa.

Poradzę sobie z tym sama, pomyślała w nagłym przyływie dumy. Nie pozwolę sobie na narzekania i uzalanie

się nad sobą, jak miały zwyczaj to robić pacjentki jej ojca. Przypomniała sobie, jak ojciec powiedział kiedyś:

- Mam już dość marudnych kobiet!

- Co masz na myśli mówiąc „marudnych”? - spytała matka z uśmiechem.

- Tych, które cierpią bardziej niż ktokolwiek inny. Nie trzeba dodawać, że są to zawsze te najbogatsze. Biedne martwią się o podstawy, o codzienną egzystencję i są dzielne w obliczu śmierci.

- One mają odwagę - powiedziała miękko pani Milton.

- Właśnie to mi się w nich podoba - powiedział doktor. - Co prawda nie wszyscy z nich to dobrzy ludzie, niektórzy mówią nawet, że to łotrzy, ale przynajmniej mają charaktery. Tych bezbarwnych lalusiów nie mogę znieść!

„Nie wolno mi narzekać... muszę być dzielna”, powtarzała sobie Larina. „Chciałabym, żeby papa mógł być ze mnie dumny”.

Usiadła na sofie, by zastanowić się, co ma dalej robić. Właściwie mogłaby się wziąć za szycie, wiele mebli wymagało naprawy. Ale z drugiej strony po co?

W tym momencie rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi. Mogła go słyszeć całkiem wyraźnie w pustej ciszy domu.

Któż to może być? - zastanawiała się; nagle zaświtała jej myśl, że to może depesza od Elvina.

Zerwała się z sofy. Jej oczy świeciły blaskiem, którego nie było w nich, zanim zaczęła zbiegać po schodach.

Gwałtownie otworzyła drzwi. Spodziewała się zobaczyć gońca z poczty, lecz zamiast niego w drzwiach stał elegancki pan w średnim wieku, w meloniku na głowie.

Larinie wydawało się, że to jakiś wysoki urzędnik, na przykład ze służby państwowej, jakich wielu przychodziło do ojca po poradę.

- Czy tutaj mieszka panna Larina Milton? - spytał.

- To ja. - Larina dostrzegła w jego oczach błysk zdziwienia, jakby nie spodziewał się, iż ona otworzy drzwi. Było jej niezręcznie przyznać, że jest w domu sama, więc dodała: - Niestety, służąca wyszła!

- Czy mógłbym z panią porozmawiać, panno Milton? - zapytał mężczyzna.

Kiedy się pojawiła, zdjął melonik. Jego przyprószone siwizną skronie sprawiły, że wydał się Larinie bardzo nobliwy. Jednocześnie jednak nie miała ochoty wpuścić go do domu.

- Co pana do mnie sprowadza? - spytała.

Przemknęło jej przez myśl, że może to jakiś komiwojażer. Wiedziała, że często najbardziej zaskakujący ludzie włóczą się od drzwi do drzwi, wciskając polisy ubezpieczeniowe czy drogie towary.

- Mam wiadomość od pana Elvina Farrena - odpowiedział mężczyzna.

Wszelkie podejrzenia natychmiast ją opuściły.

- Bardzo proszę, niech pan wejdzie - powiedziała szybko.

Nieznajomy wytarł starannie buty i wszedł do środka. Był dobrze zbudowany i z trudem przecisnął się za Larina do wąskiego holu, gdzie poczekał, aż ona zamknie drzwi.

- Proszę do salonu, na górę - dodała Larina. Pan Donaldson położył kapelusz na krześle i zaczekał, aż Larina go poprowadzi.

Weszli do salonu, który wyglądał dziś całkiem sympatycznie, pomimo wypłowiałych zasłon i zniszczonego dywanu. Być może sprawiły to promienie popołudniowego słońca, którym udało się przedostać przez wąskie okna.

- Zechce pan usiąść - poprosiła grzecznie.

- Nazywam się Donaldson, panno Milton - powiedział mężczyzna, siadając, na sofie. Larina przystawiła sobie fotel.

- Ma pan jakieś wieści od pana Farrena? - zapytała ożywiona.

- Pan Farren poprosił mnie, bym skontaktował się z panią - zaczął pan Donaldson. - O ile wiem, pani bardzo prosiła pana Farrena o spotkanie.

- Tak, bardzo pragnę tego spotkania - odpowiedziała i dodała - jeśli to możliwe...

- Pan Farren zasugerował, byście spotkali się w Sorrento.

- W Sorrento?! - wykrzyknęła Larina. - We Włoszech?

- Tak, panno Milton. Rodzina pana Farrena ma tam willę. Pan Farren prosił mnie, bym przywiózł tam panią jak najszybciej.

Larina spojrzała na niego zdumiona.

- Czy to on zaproponował, abym odbyła tę długą podróż, by z nim się zobaczyć?

- On będzie musiał przebyć jeszcze dłuższą drogę, z Ameryki - odparł pan Donaldson. - Zapewne pan Farren uznał, iż nie będzie to dla pani zbyt duży wysiłek.

- Ależ nie, oczywiście że nie! - powiedziała Larina. - Nie chodzi o to, że to zbyt daleko. Po prostu sprawił mi pan tak ogromną niespodziankę!

- Wie pani, gdzie leży Sorrento, panno Milton?

- Oczywiście - odpowiedziała Larina. - Niedaleko Neapolu. Ojciec często opowiadał mi o Neapolu. Interesował się Pompeją i Herkulanum.

- Zdaje się, że dokonano tam wielkich odkryć - rzekł pan Donaldson.

- Owszem - odpowiedziała Larina machinalnie. Była oszołomiona tym, co właśnie usłyszała. Sądziła

bowiem, że gdyby Elvin mógł dotrzymać swej obietnicy, przyjechałby do Londynu. Powiedział jej kiedyś, iż zawsze, kiedy bywał w Londynie, zatrzymywał się w hotelu „Claridges”. Larina wyobrażała sobie, że będzie mogła

odwiedzić go w jego apartamencie, a nawet, iż Elvin poczuje się tak dobrze, że sam odwiedzi ją w domu. Ale Sorrento?! Tego zupełnie nie potrafiła sobie wyobrazić.

- Oczywiście, pan Farren nie naraziłby pani na samotną podróż - powiedział pan Donaldson. - Zaproponował, bym albo sam towarzyszył pani, albo też wynajął kogoś.

Larina milczała. Pan Donaldson mówił dalej:

- Być może powinienem wyjaśnić pani, że odpowiadam za interesy pana Farrena w Londynie, gdzie ma swoje biuro.

- Biuro? - zdumiała się Larina. - A po cóż mu biuro?

Zapadła cisza. Po chwili pan Donaldson odpowiedział:

- Pan Farren prowadzi rozliczne interesy. Nie tylko w Stanach, ale i w Europie. My mu w tym pomagamy.

- Ach, tak, rozumiem.

Pomyślała, że Elvin musi być dość zamożny, skoro pozwolił sobie na wynajęcie letniego domu w Szwajcarii. Wiedziała, iż poza nią i matką, pozostali pacjenci doktora Heinricha płacili słone rachunki. W każdym razie biuro i własny interes sugerowały niemałe dochody. Ale jakoś troska o materialną stronę życia nie pasowała jej do wizerunku Elvina.

Pan Donaldson mówił dalej rzeczowo i z ożywieniem:

- Jeśli mogę coś zaproponować, panno Milton, to proszę zostawić wszystko mnie. Postaram się zapewnić pani jak największy komfort podróży. Proszę mi tylko powiedzieć, kiedy najwcześniej może pani wyjechać.

- Najwcześniej? - powtórzyła Larina nieprzytomnie.

- Pan Farren uważa, że powinna pani przybyć do Włoch jak najprędzej. Nie wiem dokładnie, jak szybko jemu uda się tam dotrzeć.

Przez chwilę panowała cisza. W końcu Larina spytała:

- Może mi pan powiedzieć, ile to... mniej więcej... może kosztować? - Czowała się zakłopotana, zadając to pytanie.

- Przepraszam, że nie wyrażam się dość jasno - powiedział pan Donaldson. - Pojedzie pani do Włoch jako gość pana Farrena. W depeszy jest to jasno powiedziane. Ja zajmę się wszystkim.

- Ależ... nie sędzę, bym mogła na to pozwolić... - zaczęła Larina, lecz głos uwiązł jej w gardle.

Czy w ogóle powinna protestować? Jeśli Elvin chciał, by przyjechała do Sorrento, mogła to zrobić tylko wtedy, jeśli ktoś za nią zapłaci. W banku nie zostało jej już nawet na bilet. Byłoby z jej strony bezsensowne stwarzać jakiegokolwiek trudności, skoro Elvin okazał tyle dobroci i serca, odpowiadając na jej prośbę.

Zastanawiała się po wysłaniu depeszy, czy nie powinna była jakoś trafniej wyrazić swych myśli. Jednocześnie była pewna, że Elvin ją zrozumie. I teraz było dla niej zupełnie oczywiste, iż tak się stało. Przybywał jej na pomoc, tak jak przyrzekał. Dlatego musi zastosować się do każdego jego życzenia.

Pan Donaldson przyglądał się jej.

- Jedyne, o co panią proszę - powiedział po chwili - to odpowiedź, kiedy może pani wyruszyć.

Larina rozejrzała się bezradnie po pokoju, w końcu odparła:

- Mogłabym jechać natychmiast, gdyby nie jedna sprawa.

- Co takiego, panno Milton?

- Muszę sprzedać wszystkie przedmioty, które są w tym domu - powiedziała, - Potrzebuję pieniędzy... w Sorrento będę przecież potrzebować trochę nowych ubrań.

Zauważyła zdziwienie na jego twarzy, więc wyjaśniła:

- Widzi pan, mieszkałam w Szwajcarii, gdzie właśnie poznałam pana Farrena. Nosiliśmy tam grube ubrania, ponieważ to miejsce jest wysoko położone i nawet latem wieczory bywają chłodne. A w Sorrento będzie ciepło.

- O, tak - zgodził się pan Donaldson. - Właściwie już w kwietniu, kiedy ruszymy, będzie gorąco.

- Tak myślałam - powiedziała Larina.

- W zupełności rozumiem, że potrzebuje pani letnich sukien - powiedział pan Donaldson. Uśmiechał się przy tym, przez co wydawał się nieco bardziej ludzki niż na początku. - Mam żonę i trzy córki, które rzadko rozmawiają o czym innym niż stroje, więc wiem, jakie to ważne.

Larina uśmiechnęła się.

- Zatem, skoro pan rozumie, może mógłby mi pan pomóc. Nie będę już potrzebować żadnego z przedmiotów z tego domu, więc chcę je wszystkie sprzedać.

- Chce pani opuścić ten dom, więc dokąd pani wróci z Sorrento? - zapytał pan Donaldson.

- Tak... zamierzam... wyjechać.

- Hm... meble można wystawię na aukcję albo nawet spróbować sprzedać przez pośrednika, ale to potrwa.

Rozejrzał się po pokoju i powiedział:

- Czy mógłbym rzucić okiem na resztę domu, panno Milton?

- Ależ oczywiście - zgodziła się Larina. Zerwała się z fotela, by oprowadzić pana Donaldsona.

Niestety, nie było zbyt wiele do oglądania.

Mahoniowy zestaw mebli w sypialni mamy, choć bardzo ładny, był zupełnie bezwartościowy. W jej pokoju żadna rzecz nie była warta więcej niż kilka funtów. Jedyne stół i krzesła w jadalni były porządne; ojciec twierdził, że pochodziły od Hepplewhite'a. Co prawda były teraz niemodne.

Znajdowało się tam kilka obrazów, na które, jak się wydawało, pan Donaldson zwrócił większą uwagę.

W końcu znaleźli się w gabinecie. Pana Donaldsona zupełnie nie zainteresowały rzędy książek na półkach więc szybko wyszli z pokoju.

- Obawiam się, że to już wszystko - rzekła Larina, jakby chcąc się usprawiedliwić. - W kuchni, na dole nie ma właściwie nic. Widzi pan, od śmierci taty, nie mogliśmy sobie pozwolić na służbę. - Zaczerwieniła się, kiedy to powiedziała, sądząc, iż mogło mu się wydać dziwne, że skłamała na początku.

- Mieszka tu pani sama? - spytał. Larina skinęła głową.

- Nie chciałbym, żeby musiała pani dłużej tak żyć, panno Milton. Żadnej z moich córek nie pozwoliłbym na to. Wydaje mi się, że im szybciej uda się pani do Sorrento, tym lepiej!

Przerwał na chwilę, potem dodał z uśmiechem:

- Naturalnie, nie może pani jechać bez ładnych toalet. Myślę, że mogę rozwiązać ten problem.

- W jaki sposób? - zapytała Larina.

- Dam pani teraz sto funtów. Podczas pani nieobecności sprzedam te wszystkie przedmioty. Jeśli dostaniemy ponad sto funtów, po powrocie wypłacę pani resztę.

- A jeśli otrzymamy mniej? - spytała Larina z obawą.

- Nie sędzę - odparł pan Donaldson. - Po prostu trzeba znaleźć odpowiednich ludzi, a to zawsze Wymaga czasu. Niektóre meble, jak na przykład biurko w salonie, są dość wartościowe, a ten mały stolik w jadalni jest wart jakieś piętnaście funtów.

- Może powinien pan najpierw poradzić się, zanim się zdecyduje - zaproponowała Larina z niepokojem.

- Cóż, zabawię się w hazardzistę - uśmiechnął się pan Donaldson i usiadł przy biurku, przy którym Larina także często siadała. Był to mebel dość ciężki, nie miał w sobie nic z elegancji biurka matki, które stało na górze.

- Wypiszę dla pani czek. Będzie pani mogła go jutro zrealizować. - Pan Donaldson wyjął z kieszeni książeczkę czekową. - Zdaży pani kupić wszystko w ciągu trzech dni?

- Tak, na pewno - powiedziała Larina.

- W tym czasie ja zarezerwuję miejsce na statku z Dover do Calais i w pociągu do Rzymu, a potem Neapolu.

- Nie mogę w to wszystko uwierzyć! - wykrzyknęła Larina.

- Dam pani znać, o której przyjadę po panią w czwartek. Mam wrażenie, że będzie to wcześnie rano.

Nie mam nic przeciwko temu. Pan Donaldson wypisał czek.

- Jeśli zechce pani skontaktować się ze mną wcześniej, znajdzie mnie pani pod tym adresem.

Chciał wyjąć z kieszeni wizytówkę, lecz w ostatniej chwili zmienił zamiar i zapisał adres na kawałku papieru.

- Proszę wezwać posłańca, a zjawię się tak szybko,, jak to możliwe.

- Jestem pewna, że niczego nie będę potrzebować, będę zbyt zajęta zakupami - odparła Larina.

- Oczywiście - uśmiechnął się pan Donaldson. - Życzę miłej zabawy. Choć sądzę, że nie będzie pani potrzebować zbyt wyszukanych kreacji. Pan Farren nie czuje się najlepiej, więc zapewne nie będziecie państwo zbyt wiele się bawić.

- Nie, oczywiście, nie - odpowiedziała Larina.

- Ogrody willi są przepiękne - powiedział pan Donaldson.
- Ludzie mówią, że są najpiękniejsze w całych południowych Włoszech. Sama willa też jest wspaniała! Kiedyś należała do słynnego rzymskiego senatora. Ale spodziewam się, iż pan Farren wszystko pani opowie osobiście.

- Mam wrażenie, że śnię! - powiedziała Larina. - Gdyby pan wiedział, ile to wszystko dla mnie znaczy...

Przerwała nagle. Zbyt wiele intymnych uczuć zdradziła już temu obcemu człowiekowi.

- Rozumiem - rzekł pan Donaldson. - Ja też często tak się czuję, kiedy jestem z panem... - zawahał się, jakby nie wiedział, jakiego nazwiska ma użyć - Farrenem i jego braćmi.

- Podeszedł w kierunku drzwi. - Proszę mi wybaczyć, panno Milton - powiedział - ale muszę jeszcze załatwić wiele spraw przed czwartkiem. Zostało już mało czasu. Larina odprowadziła go do drzwi.

- Do widzenia, panie Donaldson, Dziękuję, bardzo dziękuję - pomachała mu na pożegnanie.

- Do widzenia, panno Milton - odpowiedział poważnie.

Wracając Larina zauważyła, że pan Donaldson wsiadł do samochodu stojącego w dole ulicy, w którym czekał szofer. Patrzyła zaskoczona.

Samochód!

W Londynie było ich zaledwie kilka, budziły powszechne zdziwienie, a często nawet niepokój.

Elvin nigdy nie wspominał o samochodach i Larina zupełnie nie wyobrażała go sobie za kierownicą tego brzydkiego pojazdu, który wzbija tumany kurzu i drażni konie.

- Kiedy przyjdzie dzień, że będę musiał jeździć do pacjentów samochodem - słyszała, jak często powtarzał jej ojciec - rzucę praktykę. Jak można tak zakłócać ludziom spokój! Dla niektórych może się to skończyć nawet atakiem apopleksji!

- Tak, a przy tym jakie to brudne i śmierdzące! - dodała matka Lariny.

- Świat zwariował na punkcie szybkości - denerwował się pan Milton - szybsze pociągi, szybsze statki, samochody szalejące po drogach, przejeżdżające dzieci, psy. Jak to wszystko się skończy?

- No właśnie, jak - westchnęła pani Milton. - Dla mnie nie ma nic miłszego niż spokojna jazda wygodnym powozem.

Ale w tajemnicy Larina zawsze pragnęła wsiąść do samochodu. Zerkając jeszcze w stronę pana Donaldsona,

żałowała prawie, że nie może się znaleźć teraz u jego boku. Już sam odgłos silnika wydawał jej się podniecający.

Lecz gdy zamykała drzwi, uświadomiła sobie, iż od tej chwili wszystko wydawało się ekscytujące. Jak to w ogóle jest możliwe, że za trzy dni jedzie do Włoch?

Italia, którą zawsze pragnęła zobaczyć, o której tyle się uczyła, czytała i rozmawiała z ojcem.

No i Sorrento!

Nie śmiała powiedzieć o tym panu Donaldsonowi, ale Sorrento szczególnie ją interesowało, gdyż to właśnie tutaj Odyseusz oparł się kuszeniu Syren. Zatkanął swoim towarzyszom uszy woskiem i polecił przywiązać się do masztu okrętu, by nie ulec Syrenim głosom.

Ze wszystkich książek, które dzięki ojcu przeczytała, najbardziej zaciekały ją te o Grekach.

Doktor Milton szczególnie interesował się odkryciami archeologicznymi w Pompei i Herkulanum, a także grobowcami, które ostatnio odkryto w Egipcie. Nie przeszkadzało mu to jednak podsuwać córce książki o religii i historii wszystkich starożytnych cywilizacji.

Dzięki temu Larina wiedziała, że Sorrento leży w Zatoce Neapolitańskiej, której okolice zamożni Rzymianie upodobali sobie do budowy swoich letnich willi. Przed Rzymianami ziemie te były skolonizowane przez Greków, którzy wznieśli na szczycie wzgórza świątynię Ateny.

Ze wszystkich lektur te o cywilizacji greckiej fascynowały Larinę najbardziej. Próbowwała przejąć od ojca sympatię do bogów asyryjskich i babilońskich, lecz ci wydawali jej się pozbawieni subtelności, a nawet wulgarni. Z kolei bóstwa egipskie, a szczególnie ich zwierzęce cechy, były według niej groteskowe.

Grecy nie mieli tak wspaniałych monarchów jak egipcscy faraoni, nie mieli też życiodajnego Nilu ani nie stworzyli

piramid. Mimo to, według Lariny, cywilizacja grecka miała w sobie coś, czego brakowało innym kulturom - swoistą jasność, którą uosabiał bóg Apollo.

Jako bóg światła, niebiańskiego promieniowania, każdego ranka przemierzał nieboskłon. Niezwykle męski, emanujący światło i życie, miał dar uzdrawiania wszystkiego, czego dotknął, budzenia wszelkiego życia i przeciwstawiania się potędze ciemności.

Dla Lariny stał się bardzo realny.

Nawet Grecy widzieli w nim nie tylko słońce, ale też idealnego mężczyznę. Larina także stworzyła sobie jego własny obraz. Był dla niej słońcem i księżycem, wszystkimi planetami, gwiazdami i całą Drogą Mleczną. Był błyskiem fal i blaskiem oczu. Ze wszystkich bogów, o których czytała, on był najbardziej szczodry, wszechogarniający i zsyłający największe błogosławieństwa.

Larina uwielbiała jego wiecznego towarzysza - delfina - najpiękniejsze ze wszystkich stworzeń. Często chodziła do zoo i przyglądała się delfinom lśniącym, jak sam Apollo, blaskiem, który rozjaśniał cały świat, a przede wszystkim ludzkie umysły. -

Zwierała się ze swych myśli ojcu, wiedząc, że najlepiej ją rozumie.

- Gdy podróżowałem po Grecji - opowiadał ojciec - zauważyłem, że nocą, kiedy Apollo znika, Greków ogarnia smutek. Doprawdy nie znam drugiego takiego narodu, który by trzymał tak wiele palącego się światła w swoich domach.

Uśmiechnął się do swoich wspomnień i mówił dalej:

- Nawet w najbardziej słoneczne dni Grecy palą lampki, choć z trudem zdobywają do nich olej.

Znów przerwał na chwilę, by potem dodać, tym razem poważniej:

- Światło jest ich ochroną przed złem ciemności. „To Apollo jest tym światłem”, powiedziała Larina do siebie. Wiedziała, że nawet jeśli nie uda jej się odwiedzić Grecji przed śmiercią, przynajmniej w Sorrento jej stopa stanie na ziemi, gdzie czczono kiedyś Apollina. Była podekscytowana tym, że to nie Elvina spotka w Sorrento, lecz Apolla, bohatera jej dziecięcych marzeń, postać, która w jakimś sensie stała się częścią jej świadomości. Wraz z Apollinem Grecy dali światu nie tylko kult doskonałego ciała,“ ale. i wnikliwego umysłu, który każe wierzyć, że wiedza i rozum nie znają granic.

Jednak było mało czasu na wspomnienia i przemyślenia o Apollu. Musiała zrobić zakupy. Pierwszy raz w życiu postanowiła pozwolić sobie na ekstrawagancję i myślała o tej przyjemności bez poczucia winy.

Następnego ranka wstała bardzo wcześnie i natychmiast poszła do banku. Zrealizowała czek od pana Donaldsona i podjęła pozostałe skromne oszczędności, które tak szybko stopniały od jej przyjazdu do Londynu. „Dziesięć funtów zatrzymam na napiwki, a resztę mogę wydać”, powiedziała sobie.

Nie było nadziei na jej powrót z Sorrento. Tam szybko upłynie jej te dwadzieścia jeden dni. Potem nie będzie już potrzebowała pieniędzy.

Żałowała, że nie spytała pana Donaldsona bardziej szczegółowo o ubranie, lecz pomyślała, iż on chyba niewiele więcej mógłby jej powiedzieć. Wiedziała, że w klimacie słonecznym nosi się rzeczy białe lub w jasnych kolorach. Niestety w jej garderobie bardzo mało było takich właśnie sukni. Za te sto funtów zdecydowana była zrobić najlepsze wrażenie na Elvinie i okazać się godnym gościem Willi, o której tak entuzjastycznie mówił pan Donaldson. Było to trudne, gdyż nie miała czasu szyć na zamówienie.

Najlepsi londyńscy krawcy przygotowywali odrębne modele dla każdego klienta, jednak wymagało to kilku przymiarek i trwało co najmniej dwa lub trzy tygodnie.

Najlepsze stroje matki, oszczędzane na specjalne okazje, uszyła krawcowa z Hanover Square. Mimo to nie były to bardzo drogie kreacje, gdyż żona lekarza nie mogła nosić się ekstrawagancko.

Larina poszła najpierw do Petera Robinsona na Regent Street, gdzie sprzedawano gotowe stroje.

Znalazła tam dwie jasne sukienki, które mogły być dopasowane do jej rozmiaru na następny dzień. Były ładne, uszyte z lekkiego muślinu i niezbyt drogie, a poza tym - jedyne w całym sklepie, które nie wymagały zbyt dużych przeróbek w biuście.

- Jest pani bardzo szczupła - powiedziała ekspedientka, upinając nadmiar tkaniny.

- Tak. I wiem, że nie jest to zbyt modne - odparła Larina z uśmiechem.

- Na pewno z wiekiem nabierze pani okrągłych kształtów - usłyszała coś w rodzaju pocieszenia.

Ostatnio w Anglii bardzo popularna była sylwetka, którą wylansował Amerykanin Charles Dana Gibson. Zamieszczane w czasopiśmie jego rysunki pięknych dziewcząt stojących w wyraźnym pochyleniu ku przodowi wprowadziły modę na „Okrągłe S Gibsona”.

Larina wiedziała, że nigdy nie będzie miała obfitych piersi ani bioder, tak teraz modnych, że podkreślanych fałdami spódnic i dyskretnymi poduszkami.

Jedyna rzecz, której na pewno nie zamierzała kupić, to wysoki usztywniony kołnierz, szalenie niewygodny, ale noszony teraz przez większość egzaltowanych dam.

Larina wybierała suknie ozdobione miękkim muślinem wokół szyi, który kończył się kokardą z przodu albo z tyłu. Było to może skromne, ale przynajmniej nie napuszone.

Byłoby mi zbyt duszno podczas upałów, pomyślała, czując się nieco winna, że nie ma ochoty być supermodna.

Kiedy zastanawiała się, gdzie powinna kupić swoje suknie wieczorowe, przypomniała sobie bardzo atrakcyjne modele Paula Poireta, które, będąc w Szwajcarii, oglądała z matką w *The Ladies Journal*. Poniżej zdjęć było napisane: Ten francuski projektant próbuje zmienić trend damskiej mody, proponując wdzięczny, lekki wygląd. Jego nowe pomysły i kreacje budzą sensację w Paryżu i w Londynie.

Nie zaszkodzi popatrzeć! - pomyślała Larina. Wiedziała, że sklep Poireta znajdował się przy Berkeley Street i z poczuciem zupełnej lekkomyślności, zamiast pojechać autobusem, wzięła dorożkę.

W innej sytuacji nie miałaby śmiałości przekroczyć progu luksusowego sklepu zupełnie sama, jednak teraz, kiedy nie było przed nią żadnej przyszłości, nabrała niebywale odwagi.

Jeśli ludzie będą się dziwić jej zachowaniu, nie ma to znaczenia! Jeśli będą ją krytykować, nie będzie musiała zbyt długo tego słuchać. Nawet jeśli zrobi coś szokującego, za dwa tygodnie, kiedy jej już nie będzie, wszyscy o tym zapomną.

Śmiało, nie przejmując się nieco zaniedbanym wyglądem, Larina weszła do sklepu i spytała o kilka wzorów sukni.

- W tej chwili nie mamy zbyt wielu modeli, proszę. pani - powiedziała wyniosła vendeuse. - Nowa kolekcja pana Poireta przybędzie z Paryża dopiero w przyszłym tygodniu. Obecnie mamy w sprzedaży tylko kilka modeli.

- W sprzedaży! - wykrzyknęła Larina.

Oznaczało to, że stroje były gotowe i można było je dopasować do jej miary. A więc nie będzie musiała długo czekać na odbiór zamówienia. Pomyślała, że to był wspaniały

pomysł, istne zrzączenie losu, iż zdobyła się na tyle odwagi, by przyjść do salonu Poireta.

Opuściła sklep z dwiema sukniami wieczorowymi i dwiema dziennymi, nie licząc stroju na podróż.

Kiedy wyjaśniła vendeuse, że wybiera się w piątek do Włoch, być może dzięki podnieceniu w głosie albo też świeżej urodzie, a może pewnej bezradności, której zresztą sobie nie uświadamiała, ekspedientka, zrezygnowała ze sztywnej pozy i okazała Larinie życzliwość, a nawet ciepło. Odrzucając ostatecznie wszelkie bariery, zapytała:

- Ile pieniędzy może pani przeznaczyć?

- Mam prawie sto funtów - odpowiedziała Larina.

Razem rozplanowały wydatki. Tyle na kapelusze, a tyle na buty.

Właściwie będzie potrzebny tylko jeden kapelusz z szerokim rondem chroniącym przed południowym słońcem. Wstążeczki będzie można dowolnie zmieniać w zależności od koloru sukni.

Butów zaś powinna mieć dwie pary: białe na dzień i satynowe czółenka do toalet wieczorowych.

Rękawiczki? Wystarczą te, które już ma. Resztę może wydać na cudowne, niepowtarzalne, urocze suknie, które, jak zauważyła vendeuse, pan Poiret projektował chyba specjalnie na jej figurę.

Nie lubił bowiem „zaokrąglenia Gibsona”. Jego suknie były opływowe, harmonijnie smukłe, w sam raz dla Lariny.

Pierwsza suknia, którą wybrała, była biała, uszyta z szyfonu, a druga blad różowa, przywodząca na myśl kwiat migdału.

Do wieczorowych sukni dołączone były "szyfonowe szale, opadające płynną linią, która Larinie kojarzyła się z podmuchem wiatru w wysokiej trawie.

- Pięknie pani w nich wygląda, zapewniam panią! - wykrzyknęła vendeuse, kiedy dopasowywano ostatnią suknię.
- Dostarczymy wszystko w środę wieczorem.

Patrząc w lustro, Larina zdawała sobie sprawę, że nigdy w żadnej sukni nie wyglądała lepiej. Stroje od Poireta dodawały blasku jej jasnym włosom i szarym oczom, w których czasami pojawiała się leciutka domieszka zieleni. Podkreślały też delikatność jej karnacji.

- Pani jest taka uprzejma - powiedziała impulsywnie do vendeuse. - Wprost nie mogę uwierzyć, że zdobyłam się na odwagę, by przyjść do państwa sama.

- Ależ to była prawdziwa przyjemność! - odpowiedziała szczerze vendeuse. - Żałuję tylko, że nie mogę pojechać z panią i zobaczyć jej w tych strojach.

- Och, ja także żałuję - odrzekła Larina.

- No cóż, przynajmniej wiem, jak bardzo będzie panii podziwiana - powiedziała vendeuse - to też wielka przyjemność!

Larina uśmiechnęła się. Była pewna, że Elvin będzie ją podziwiał i dla niego chciała wyglądać jak najpiękniej.

Pamiętała jego drobne komplementy. Pamiętała też najważniejszy ze wszystkich - to, że chciał, by była z nim, kiedy jego „duch będzie opuszczał ciało”.

A jednak to nie jego duch będzie ulatywał w nieznane, lecz jej.

W Sorrento odejdę do krainy światła, a nie ciemności, pomyślała Larina. Z Elvinem - nie będę się bała.

Rozdział 4

Wynstan podróżował z Paryża do Rzymu, a potem do Neapolu w nie najlepszym nastroju, właściwie był nawet zdenerwowany.

Jak się spodziewał, rejs na „Kaiser Wilhelm der Grosse” upłynął mu na rozrywkach z ponętą hrabiną Glencairn.

Już pierwszego wieczoru, kiedy zjawił się w jadalni, przekonał się, że hrabina nie straciła nic ze swego powabu.

Jej ciemne oczy rozbłysły na jego widok, a usta wydeły się prowokacyjnie. Na długo przed końcem wieczoru oboje wiedzieli, że przeżyją tu affaire de coeur, której Francuzi oddają się z taką lekkością, jakby to była zaskakująca niespodzianka.

Wynstan, który obcował z kobietami najróżniejszych narodowości, uważał Francuzki za najbardziej wysublimowane, a jednocześnie nowoczesne w miłości. Bowiem Francuzki traktowały miłość tak jak epikurejczycy nową, nieznaną potrawę. Smakowały ją ostrożnie, bez pośpiechu, tak by rozkoszować się wszystkimi odcieniami jej smaku i poznać cały bukiet zapachów.

Angielki zachowywały się według Wynstana zbyt serio w sprawach miłości. Niezmiennie zadawały pytania w rodzaju: „Będiesz mnie zawsze kochał?”. „Czy czujesz się tak po raz pierwszy w życiu?” Dla nich miłość to zawsze coś stałego, a nie tylko przelotny kaprys, uniesienie, które szybko mija, zostawiając jedynie uroczne wspomnienie.

Yvette Glencairn była wielce doświadczona w starej jak świat sztuce uwodzenia mężczyzn. Wynstan, przekonany, że zna wszystkie tajniki tej gry, był zachwycony, kiedy odkrył jej nowe reguły. Natychmiast je sobie przyswoił i włączył do swego repertuaru.

Ponieważ była Francuzką, potrafiła sprytnie czarować kilku mężczyzn jednocześnie. Zawsze pamiętała, by być

słodką jak miód dla swojego męża. Angielki często o tym zapominały, kiedy wdawały się w jakiś przelotny romans, ot tak, pour passer le temps.

Hrabia Glencairn powitał Wynstana z przyjemnością. Rozmawiał z nim o koniach i o dawnych dobrych czasach, kiedy jego, charty zdobywały medale na wyścigach. Rozważali i dyskutowali także, kto wygra Derby lub inne najbardziej prestiżowe wyścigi sezonu w Anglii.

Wynstan siadał przy stole Glencairnów przy posiłkach, a oni często przychodzili do jego kabiny po obiedzie lub kolacji.

Ale później, kiedy hrabia i pozostali pasażerowie udawali się na nocny spoczynek, Yvette, odziana w skąpą i prześwitującą nocną koszulę, uchylała drzwi kabiny, w której czekał już Wynstan.

Była kusząca, ekscytująca i potrafiła dać Wynstanowi wprost nieopisane szczęście. Kiedy błagała, by został z nimi w Paryżu, wiele wysiłku go kosztowało, by oprzeć się pokusie i nie opóźnić o parę dni przyjazdu do Sorrento.

Z przyjemnością myślał o wszystkich przyjaciółach i przyjaciółkach, których mógłby spotkać w Paryżu o tej porze roku. Właśnie zakwitałyby kasztany na Polach Elizejskich, kosze kwiaciarek pełne byłyby fiołków parmeńskich, w powietrzu unosiłby się zapach wiosny, a u „Maxima” byłoby weselej niż kiedykolwiek.

Kiedy ostatni raz był w Paryżu, sporo czasu spędził, o czym w tajemniczy sposób dowiedziała się matka, z następczynią grandes cocottes Parisiennes dziewiętnastego stulecia, promienną Gaby Deslys.

Była to osoba, o której mówił cały Paryż. Wynstan . i wszyscy pozostali jej wielbicielowie byli absolutnie pewni, że Gaby zostanie kiedyś gwiazdą teatralną pierwszej wielkości. Nie była piękna, co zwykle pociągało Wynstana u kobiet. Lecz jej twarz, delikatna jak u cherubinka, oczy, spoglądające

gorąco i kusząco spod ciężkich powiek, pąsowe usta - zmysłowe i zawsze ozdobione szczerym uśmiechem, sprawiały, że Gaby nie można było porównać z żadną inną kobietą.

Była głośna, ekstrawagancka, czasem nawet wulgarna. Wyglądała jak rajski ptak nie tylko na scenie, gdzie ukazywała swe wdzięki przysłonięte prawie wyłącznie piórami i perłami, lecz także w restauracji, a nawet W sypialni!

Gaby emanowała żywotnością i dziwną zmysłowością, które sprawiały, że im bardziej była ekstrawagancka i wyzywająca, tym bardziej wszyscy ją uwielbiali.

Od chwili, kiedy się pojawiła, uważano ją za uosobienie Paryża. W zeszłym sezonie, kiedy występowała w Londynie, krytycy pisali o niej la Vie Parisienne.

Byłoby miło zobaczyć się z Gaby ponownie, pomyślał Wynstan. Wiele innych osób też powitałoby go z otwartymi ramionami. Ale obiecał Harveyowi, że powstrzyma Larinę Milton, nim ta wyrządzi szkodę, bo kampania wyborcza w Ameryce nabierała już rozpędu.

„Kaiser Wilhelm der Grosse" nie płynął tak jak zwykle z Nowego Jorku do Southampton, to jest pięć dni, dwadzieścia dwie godziny i czterdzieści pięć minut. Zła pogoda sprawiła, że rejs przedłużył się o czterdzieści godzin.

Minęła kolejna doba, nim Wynstan opuścił Cherbourg. Dopiero późną nocą ósmego kwietnia dotarł do Paryża.

Był to najszybszy sposób; by dostać się do Rzymu; ale był zadowolony, kiedy stwierdził, że może zostać na noc w Paryżu, zanim wsiądzie do ekspresu następnego ranka.

Niestety ekspres odjechał bez niego. Nie mogło być inaczej, skoro wrócił do apartamentu w hotelu „Ritz" o szóstej nad ranem, spędziwszy szampańską noc z przyjaciółmi.

Gaby, cała w piórach i klejnotach, tańczyła na jednym ze stołów u „Maxima" i kiedy Wynstan zabierał ją do hotelu,

wiedział, że żadną miarą nie zdąży na pociąg, który odjeżdżał o szóstej czterdzieści pięć z Gare de l'Est.

Tak się złożyło, że następny ekspres do Rzymu odjeżdżał dopiero następnego dnia. Owszem, mógł jechać wlokącym się pociągiem osobowym, z wieloma przesiadkami, ale w ten sposób nie byłby na miejscu wiele wcześniej.

Miał wyrzuty sumienia. Ale zaraz wytłumaczył sobie, że w Sorrento nie ma wścibskiej amerykańskiej prasy, a żeby nieco uspokoić damę serca Elvina, wystarczy obdarować ją okrągłą sumką.

Wynstan dużo myślał o Larinie podczas podróży. Doszedł do wniosku, że Harvey się mylił i że to niemożliwe, by Larina była matką dziecka Elvina.. Było to zupełnie do Elvina niepodobne. Choć właściwie, dlaczego nie?

Do tej pory Wynstan sądził, że w życiu Elvinie było kobiet. Lecz z drugiej strony bracia nie mieli ze sobą kontaktu przez długie okresy.

Kiedy przebywali razem, łączyła ich przyjaźń, bliskość, jakiej nie było między Wynstanem a pozostałymi braćmi. Ale przecież Elvin tak często wyjeżdżał za granicę, że mógł odkryć w sobie zainteresowania, o których Wynstan nie miał pojęcia.

Zawsze wydawało mu się, że Elvin ma w sobie coś z sir Galahada.

Już jako dziecko był wątpliwy i chorowity, ale także znacznie bardziej odczytany niż reszta rodziny i kiedy rozmawiał z Wynstanem, zazwyczaj dotyczyło to psychologii lub filozofii. Rzadko poruszali współczesne, bardziej trywialne tematy.

Nie znaczyło to wcale, że Elvin nie interesował się kobietami lub nie miał o nich pojęcia.

Z depechy Lariny wynikało niezbicie, że ta kobieta coś znaczyła w życiu Elvina.

Na przykład, co takiego on jej obiecał i co pisał w listach? Jedyne odpowiedzi, jakie przychodziły mu na myśl, były nie do przyjęcia.

Kiedy Wynstan w końcu zbliżał się do Neapolu, czuł, że ogarnia go wściekłość. Jeśli ta kobieta skrzywdziła Elvina, udusi ją!

Elvin był kimś niezwykłym w jego życiu. Nie zniósłby, gdyby ktokolwiek zranił lub zniesławił go. To dlatego zgodził się pojechać do Europy, nie z powodu historycznego strachu Harveya, że ktoś pokrzyżuje jego wyborcze plany.

Wynstan był życzliwy najstarszemu bratu, co nie przeszkadzało mu dostrzegać jego bezwzględności, egotyzmu, niezaspokojonej żądzy władzy i bycia kimś ważnym.

Nie krytykował brata, tolerował go po prostu takim, jaki był. Jednak we wszystkim, co dotyczyło Elvina, jego uczucia były bardzo odmienne. Elvin był częścią jego serca, czego Wynstan nigdy nie zdradził przed nikim.

Cały idealizm Wynstana był skrzętnie skrywany pod maską cynizmu i rezerwy, która tak porywała kobiety.

Ponieważ nie mogły go zdobyć, ujarzmić i uczynić swym niewolnikiem prześladowały go zapamiętałe i nieustępliwie.

Zawadiacki błysk, który tak często pojawiał się w jego błękitnych oczach, doprowadzał kobiety do obłędu. Tymczasem dla Harveya i Gary'ego, Wynstan był człowiekiem zagadkowym, którego zdolni byli nawet oczernić, ponieważ nie potrafili go zrozumieć.

„Wynstan to zwykły playboy! Myśli tylko o tym, jak się zabawić”, mawiał często Harvey, sam wiedząc, że to nieprawda.

Wynstan nie pasował do rodziny i jego matka wiedziała o tym. Dlatego sama często mówiła o nim z absolutnym przekonaniem „wyjątkowy”. Wszelkie reguły, jakie stosowała wychowując pozostałe dzieci, nie przystawały do Wynstana.

Pociąg miał dojechać do Neapolu po południu. Już rano, kiedy Wynstan przesiadał się w Rzymie, odczuł śródziemnomorski upał.

W wagonie sypialnym służący Wynstana przygotował mu do przebrania biały jedwabny garnitur i ładną płócienną koszulę. Wyglądał w tym stroju jeszcze bardziej elegancko niż zwykle.

Wynstan kupował swoje garnitury w Londynie, koszule w Paryżu, buty we Włoszech, a spinki do mankietów u Tiffany'ego w Nowym Jorku. Jednakże nosił się z taką naturalną elegancją, że ludzie właściwie nie zauważali jego strojów, a tylko jego samego.

Już siedem lat minęło od czasu, kiedy ostatni raz był w Neapolu i odwiedził willę dziadka w Sorrento.

Wysiadłszy z pociągu w Neapolu, uprzytomnił sobie, że to miasto, zwane „diabelskim rajem”, ma w sobie coś tajemniczego. Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji, pomyślał, że jest to jedno z niewielu miast przedchrześcijańskich, które nie zniknęło, lecz przetrwało w swoim zewnętrznym wyglądzie w. nowoczesnym świecie.

Na stacji czekał na niego posłaniec, poinformowany o jego przyjeździe przez pana Donaldsona.

Kiedy wyszli z zatłoczonego i hałaśliwego dworca, posłaniec powiedział przepaszająco:

- Scusi, signor, nie miałem dość czasu, by załatwić samochód. - Zauważył, że Wynstan nachmurzył się nieco, więc szybko dodał: - Sądziłem, że wygodny powóz, signor, z szybkimi końmi, będzie dużo odpowiedniejszy niż niewygodne auto, które i tak pewnie by się zepsuło po drodze do Sorrento.

Było coś tak szczerego w jego słowach, że Wynstan uśmiechnął się tylko.

- Nie spieszy mi się - powiedział.

Kiedy odjeżdżał, zostawiając swego służącego z bagażem w następnym, jadącym za jego, powozie, pomyślał, że w istocie to prawda. Nie musi pędzić do Sorrento i czekających tam na niego problemów. Teraz, kiedy Wspaniałe konie wiozły go przez piękne miasto, zaczął odpoczywać i rozglądać się po okolicy.

Domy z wyszukanymi portykami, Castel dell'Oro, barokowe, kościoły, Piazza Plebiscito, pałace, splendor emanujący z tego miasta, wszystko to przypominało mu o spuściznie Greków, o ludziach, którzy w 730 roku przed Chrystusem osiedlili się w Kurne.

Jednak to, o czym zapomniał, poza olśniewającym pięknem tego miasta, jego wąskich schodów wznoszących się pod niebo, alejek, podziemnych komnat i portu, wypełnionego okrętami i małymi łódkami, to było niepowtarzalne powietrze Neapolu. Odetchnął głęboko i pomyślał, że dzięki niemu rozpoznałby to miasto nawet z zamkniętymi oczami.

Było w nim coś, czego nie znalazłoby się nigdzie indziej na świecie. Powietrze Neapolu nieodparcie przywodziło Wynstanowi na myśl wrażenie, jakie odniósł, zobaczywszy po raz pierwszy w życiu morze. Była w nim bowiem ta sama przejrzysta świetlistość.

Wkrótce, gdy znaleźli się za miastem, oczom Wynstana ukazał się Wezuwiusz, którego zalesione zbocza wynurzyły się niespodziewanie z przybrzeżnej równiny, wznosząc się wysoko nad drogą, którą podróżował.

Wynstan oparł się wygodnie na miękkiej poduszce i zapomniał o bożym świecie. Teraz istniały dla niego tylko kwiaty, krzewy, kwitnące drzewa i malownicze małe wioski, w których, jak się zdawało, połowa mieszkańców nie ma nic innego do roboty, jak tylko wygrzewać się w słońcu i sączyć wino. Iz których nieuchronnie dobiegają dźwięki muzyki.

„Jak mogłem być tak głupi i nie przyjeżdżać tu częściej?”
- wyrzucał sobie Wynstan i żałował, że po przybyciu do willi nie będzie w niej sam.

Ponieważ poczuł nagłą niechęć do stawiania czoła czemukolwiek, co mogłoby zakłócić samotne rozkoszowanie się błękitem morza, lazurem nieba i urokiem pulsującego powietrza, zatrzymał się w Castellamare di Stabia. Usiadł w ogrodzie przed małą gospodą i zamówił butelkę wina z tutejszych winnic.

Woźnica był zachwycony. Szybko zawiesił koniom worki z obrokiem i zniknął w gospodzie, gdzie spodziewał się znaleźć kompanów.

Wynstan wiedział, że czekał go teraz najprzyjemniejszy fragment podróży i pomyślał, iż może szklaneczka wina wzmocni jego podziw dla piękna tego, co jako dziecko uważał za drogę do El Dorado.

Zawsze dziwiło go, że jego dziadek, uważany przez większość ludzi za porażającego oschłością dyktatora, miał wyobraźnię, która pozwoliła mu stworzyć coś tak pięknego jak ta willa, w której dożył ostatnich lat swego życia.

Dziadek odbudował ten gmach dokładnie tak, jak prawdopodobnie wyglądał on w czasach Rzymian. A pozostały po nich jedynie fragmenty przepięknej mozaikowej posadzki, kilka kolumn, fragmenty murów, no i oczywiście fundamenty.

Opierając się na pozostałościach i zbierając w okolicy wszystko, co w jakiś sposób mogło kojarzyć się z willą, starszy pan Vanderfeld stworzył istną Świątynię Piękna, która nie miała sobie równej w całej Italii. Co więcej, i co zaskoczyło rodzinę bardziej niż wszystko inne, stworzył ogród - przybytek marzeń i miłości.

Było to możliwe tylko dzięki przenikliwości umysłu i niezwyklej fantazji i Wynstan często myślał, gdy dorósł, że

pod tym względem dużo bardziej przypominał właśnie dziadka niż ojca. Dziadek miał w sobie poezję, którą przekazał Elwinowi i jemu, a której zabrakło Harveyowi i Gary'emu.

Wynstan dopił wino, więc nie pozostawało mu nic innego, jak tylko udać się w dalszą drogę. Kiedy szedł do powozu, towarzyszyły mu pełne podziwu spojrzenia ciemnookich signorines, zebranych wokół fontanny we wsi.

Wody Castellamare di Stabia zyskały sławę już w czasach rzymskich, a ich źródło, znajdujące się w grocie w górach, było znane na długo przed pojawieniem się tu Rzymian.

Powóz jechał teraz brzegiem morza, które błyszczało złotem w świetle zachodzącego słońca. W okolicy willi Arkadia góry ustępowały miejsca żyznej Peano di Sorrento. Był to naturalny taras położony jakieś trzysta stóp nad poziomem morza, przechodzący w ostry klif, który wpadał do Zatoki Neapolitańskiej.

Wynstan pamiętał, że dziadek kazał zbudować specjalne schodki prowadzące do morza i prywatnego molo, gdzie spodziewał się znaleźć swoją motorówkę.

Łódź tę zbudowano specjalnie dla niego w Monte Carlo. Wynstan wysłał tam depeszę, w której zażyczył sobie, by przetransportowano ją do Sorrento tuż przed jego przybyciem. Nie mógł się doczekać, by zobaczyć to cudo. Miał już wiele motorówek, ale ta miała być wyjątkowa. Specjalnie sam ją projektował. Miał nadzieję, że będzie mógł wypróbować ją w zatoce.

Dolina wokół Sorrento tonęła w bujnej zieleni urozmaiconej tylko bielą murów willi i kolorową majoliką wież i kopuł kościołów. Wszędzie rosły drzewka pomarańczowe i cytrynowe, które ugiwały się pod ciężarem owoców. Rosła tam także winorośl, figowce, drzewa wiśniowe i orzechowe, granaty i kwiaty tropikalne.

Konie skrzyły w kutą w żelazie bramę, którą dziadek skopiował z jednego ze słynniejszych pałaców Neapolu.

Wrota były wspaniałe, wprost kapiące złotem. Z obu stron strzegły ich dwa kamienne sępy. Ich miejscem był niegdyś ogród starożytnej świątyni, o której z czasem zapomniano i której pozwolono popaść w zniszczenie. Po obu stronach fontanny, otoczonej żółtymi azaliami, prowadził podjazd do willi. Przed drzwiami frontowymi wybudowano taras otoczony balustradą, po której pięły się pędy róż i geranium.

Ależ tu jest piękniej, niż sądziłem! - pomyślał Wynstan, wysiadając z powozu, przed którym już czekali służący.

W holu panował przyjemny chłód. Wynstan popatrzył na wzór na posadzkę, który był wierną repliką mozaiki z Herkulanum. Marmurowe kolumny, pokryte malowidłami sklepienie, widok z okien, wszystko to przypominało mu najpiękniejsze dni, jakie tu przeżył.

Pamiętał, że jako mały chłopiec uwielbiał biegać po pokojach, śmiać się i bawić z echem, które wspaniale niesło jego dziecięcy głos wśród marmurowych ścian., i posadzek. Złote słońce zalewające ogród rozgrzewało go i dodawało mu sił tak, że czuł się swobodny i wyzwolony. Później nigdy już nie czuł się tak jak wtedy.

- Jak minęła podróż, signor? - zapytał Włoch w średnim wieku, który okazał się być nadzorcą służby.

- Bardzo miło, dziękuję - odpowiedział Wynstan.

- Zechce się pan odświeżyć, a może napije się pan wina, signor?

- Dziękuję, nie teraz - odparł Wynstan. - Gdzie jest panna Milton?

- Znajdzie ją pan w ogrodzie, signor. Signorina przybyła tu trzy dni temu. Całe dni spędza w ogrodzie, tak bardzo ją urzekł - bellissimo! Miło nam, że tak jej się tu podoba!

- Znajdę ją - powiedział Wynstan.

Bez nakrycia głowy wyszedł na zewnątrz wprost do królestwa kolorów. Wznoszące się ku szczytowi wzgórza tarasy po prawej stronie willi wyglądały jak wiszące ogrody Babilonu.

Powietrze było przesycone wonią tuberoz, bzów i lili, a trawa pod drzewkami oliwkowymi aż roiła się od hiacyntów. Reszta ogrodu tonęła w tulipanach, peoniach i żonkilach.

Drzewa migdałowe, które zakwitwały najwcześniej, zgubiły już płatki i teraz trawa pod nimi była zasłana białoróżowym kobiercem. Gałęzie drzewa Judasza były szkarłatne na tle nieba, szczodrzenie spływały kaskadą niczym złoty deszcz na znajdującą się nie opodal żółtą chmurę mimozy.

Wynstan rozejrzał się wokół i pomyślał, że zachodzące słońce upodobniło azalie do wzbijających się w niebo płomieni.

Poszedł przed siebie, niemal instynktownie kierując się do jedyne miejsce, gdzie o tej porze dnia mogła przebywać Larina Milton.

Każdy mieszkaniec willi o zachodzie słońca wspinał się krętymi kamiennymi schodami do wiszących ogrodów, gdzie, wysoko ponad willą, na wychodzącym głęboko w morze cyplu, wznosiła się starożytna świątynia.

Dziadek Wynstana odkrył, że wybudowali ją Grecy. Odrestaurował ją, nie zdając sobie sprawy, jakiego boga w niej niegdyś czczono.

Później, na rok przed śmiercią, podczas powiększania ogrodu odkopano statwę bogini.

Czas i pogoda sprawiły, że marmur nabrał czystej białej barwy, a deszcz i słońce dodały mu połysku, tak że statua przypominała niemal żywą kobietę. Nie była nawet bardzo zniszczona, brakowało jej jedynie dłoni, a rysy twarzy stały się mniej wyraźne, lecz jej piękno i wdzięk zapierały dech w piersiach.

Rzeźbiarz przedstawił ją w luźnej szacie spływającej z bioder. Smukła linia piersi i kibici zachowała się nie uszkodzona, co powodowało, że każdy, kto na nią spoglądał, zastygał w zdumieniu, iż tak doskonałe piękno w ogóle może istnieć.

- To Afrodyta! - oznajmił dziadek na widok posągu. - Bogini piękna, miłości i płodności!

- Skąd dziadek to wie? - zapytał Wynstan.

Miał wtedy około piętnastu lat i odczuwał wielką satysfakcję, że dziadek rozmawia z nim jak z dorosłym mężczyzną.

- Wystarczy spojrzeć. Kim innym może być taka piękność? - odparł dziadek. - Narodziła się z piany morskiej. Stała tu, w swojej świątyni, spoglądając na morze, zsyłając szczęście i dostatek wszystkim, którzy składali jej cześć,

Wynstan długo jeszcze przyglądał się bogini, którą dziadek ustawił na marmurowym cokole.

Po obu stronach posągu kazał też zasadzić lilie, które, jak twierdził, były dla takiej bogini najodpowiedniejsze.

- Dlaczego akurat lilie? - dziwił się Wynstan.

- Ponieważ lilia, chłopcze, jest symbolem czystości - odparł dziadek. - Dla Greków bogini miłości nie była matroną o obfitych piersiach, lecz młodą dziewczicą wyłaniającą się z fal.

Przerwał, by popatrzeć na posąg Afrodyty. Głowa bogini była zwrócona na prawo. Mimo że rysy twarzy były zamazane, z łatwością można było je sobie wyobrazić. Mały prosty nosek, duże niewinne oczy i miękko zaokrąglone usta.

- Grecy wyobrażali sobie swoje boginie jako dziewice - kontynuował starszy pan Vanderfeld. - Były dla nich symbolem świeżości, czystości i nadziei takiej jak tu, którą niesie każdy nowy dzień.

Zauważył, że Wynstan stoi zasłuchany, więc dodał:

- Afrodyta miała piękne szare oczy i każdego mężczyznę urzekła niewinnością. Niosła ze sobą piękno i doskonałość. Ci, którzy ją czcili, nigdy nie potrafili już zachwycić się niczym innym.

Pan Vanderfeld uśmiechnął się do chłopca.

- Kiedy dołączyła do Zgromadzenia Nieśmiertelnych, bogowie ucichli z zachwytu i, jak pisał Homer, każdy z nich marzył, by ją poślubić i zabrać ze sobą.

Wszystko to, co powiedział dziadek, powróciło w pamięci Wynstana właśnie teraz. Wchodząc po kamiennych stopniach na górę, pomyślał, że kiedy się postarzeje, to byłoby miejsce, gdzie chciałby dokończyć życia i gdzie chciałby umrzeć. .

Tymczasem, mimo iż tak wiele czasu i energii poświęcił na poszukiwanie miłości, nigdy nie znalazł kobiety, która przypominałaby Afrodytę z opisu dziadka. Te, które kochał i które jego kochały, nigdy nie zdołały nawet tknąć czegoś tajemniczego w jego sercu, co zrodziło się wiele lat temu, kiedy dziadek mówił mu o miłości.

Wynstan żył w ciągłym zauroczeniu kolejnymi kobietami. Jednak zawsze, prędzej czy później, przychodził moment, w którym przekonywał się, że już ich nie potrzebuje, że przestały dla niego cokolwiek znaczyć. Były jak motyle nieustannie unoszące się nad kwiatami, piękne, ale nie istniejące dłużej niż do rana, kiedy ich miejsce zajmują następne, równie kolorowe i nietrwałe jak one same.

Niebo z każdą chwilą stawało się bardziej lśniące, zachodzące słońce błyszczało coraz mocniej i jego promienie były coraz bardziej jaskrawe, oślepiające, że wprost trudno było na nie patrzeć. Na samym szczycie, tuż przed świątynią, Wynstan zdał sobie sprawę, że miał rację, sądząc, iż tu właśnie znajdzie Larinę Milton.

Oparta o marmurową balustradę stała zwrócona w stronę morza. W oślepiającym blasku słońca Wynstan mógł dojrzeć

jedynie zarys jej sylwetki spowitej w białą suknię. W jej jasnoblond włosach światło migotało jak maleńkie języczki ognia.

Musiała usłyszeć kroki Wynstana na mozaikowej posadzce świątyni, gdyż nagle poruszyła się. I przez jeden niewiarygodny moment Wynstanowi zdawało się, że stoi przed Afrodytą!

Larina była rozczarowana, kiedy po jej przyjeździe do Arkadii okazało się, że Elvina jeszcze nie ma, ale zachwyciła ją droga z Neapolu i nieprawdopodobne piękno willi.

Opiekun, który jej towarzyszył, sympatyczny starszy pan, okazał się byłym nauczycielem. Po drodze z wielką jasnością przedstawiał jej historię każdego miejsca, które mijali.

Z całej Italii jednak najbardziej upodobał sobie Wenecję i Larinie trudno było sprowadzić rozmowę na jej ulubiony temat, bowiem towarzysz podróży najchętniej opowiadał o urokach San Marco lub tragedii upadku Wenecji.

Niemniej jednak opowiedział jej wiele pięknych mitów i legend o południowej Italii i kiedy podróż dobiegła końca, z żalem się z nim żegnała.

- Czy pan natychmiast wraca do Anglii? - spytała zdziwiona.

- Czekają na mnie w Londynie, panno Milton.

- Zatem bardzo panu dziękuję za opiekę.

- Dla mnie to była prawdziwa przyjemność - odpowiedział. - Mówię zupełnie szczerze! Nieczęsto trafia mi się podróżować z kimś tak inteligentnym i tak kochającym antyk!

- Już widzę, że willa jest oszałamiająco piękna - powiedziała Larina, kiedy wjeżdżali na dziedziniec.

Starszy pan opowiedział jej historię restauracji tego miejsca zgodnie z oryginalnym projektem.

- Pan e... e... Farren zadał sobie wprost niezwykły trud, zasięgając opinii ekspertów na temat każdego pokoju, posadzki i każdego fragmentu sufitu.

Larina zauważyła już przy innych okazjach, że kurier robi dostrzegalną pauzę, zanim wypowie nazwisko, i zastanawiała się, dlaczego wszyscy mieszkańcy willi wydają się mieć problem z wymówieniem słowa „Farren”. Może to dlatego, że zaczyna się na „F”, pomyślała. Niektórzy ludzie mają trudności z „F” tak jak inni z „Th”. Jednak wydało jej się dziwne, że zarówno pan Donaldson, jak i kurier mieli podobny kłopot.

Jednak wszystkie te wątpliwości szybko ustąpiły miejsca podnieceniu, jakie wywołało piękno domu i ogrodu. Ogród był bowiem zjawiskiem niepowtarzalnym. Larina nie przypuszczała, że coś tak nieskończenie pięknego może w ogóle istnieć.

Mimo że nigdy wcześniej nie potrafiła wyobrazić sobie Apollina, tutaj przyszło jej to bez trudu i niecierpliwie pragnęła porozmawiać o tym z Elvinem. Była pewna, że Elvin wie dużo więcej niż ona o „bogu jasności”, „przyjacielu Zeusa”, „dawcy muzyki i pieśni”.

Nic, co Grecy kiedykolwiek stworzyli, myślała Larina, nie mogło być cudowniejsze od boga, który miał moc rozpędzania ciemności i oświecania ludzkiej duszy boskim światłem.

Już pierwszego wieczoru po przybyciu do willi Larina posłuchała rady służby i udała się do świątyni, by podziwiać tam zachód słońca. Oglądając tę wspaniałość, niemal uwierzyła, że naprawdę widzi Apolla w blasku słońca, które zamieniło morze w złoto, a góry i plażę w coś, czego nie da się opisać słowami.

Kiedy słońce powoli zanikało za górami i zaczął zapadać zmierzch, Larina poczuła wysoko w powietrzu przedziwne, tajemnicze drzenie, jakby trzepot srebrnych skrzydeł i turkot

srebrnych kół. Oto, w jaki sposób Grecy przekonują się o obecności Apollina, pomyślała, i była pewna, że w tej chwili bóg jest blisko niej.

Był to inny rodzaj ekstazy od tej, której doznała nad jeziorem Serpentine, kiedy poczuła wokół siebie puls życia. Tym razem było to coś poza nią samą. Lecz było tak doskonale i subtelne, że chciała to pochwycić i zatrzymać w sobie.

Z zapadnięciem zmroku Apollo odszedł, lecz Larina nie była w stanie przestać o nim myśleć.

Następnego dnia już nie czuła się samotna. Była obsługiwana przez życzliwych jej, uśmiechniętych włoskich służących, którzy obserwowali ją swymi błyszczącymi ciemnymi oczyma i za wszelką cenę starali się, by była zadowolona.

Kiedy tak spacerowała po ogrodzie, słuchając dźwięcznego bzyczenia pszczół i śpiewu ptaków, zdawało jej się, że to chóry niebieskie grają specjalnie dla niej. Przez cały wieczór marzyła o Apollu.

W bibliotece znalazła książki o mitach i legendach Greków i Rzymian, w których nie brakło wzmianek o boskim młodzieńcu. Były to jednak tylko słowa, Larina zaś mogła odczuwać wszechogarniającą obecność bóstwa. Wystarczyło, by wyszła do ogrodu Arkadii, w którego wyczekującej ciszy wyczuwała jakby obecność tajemnicy, która niebawem zostanie ujawniona.

W jednej z książek przeczytała fragment z Pindowa, który potem nieświadomie powtarzała, spacerując wśród kwiatów:

Komu jednak los zdarzył świeże zwycięstwo,
Ten z radości i wielkiej nadziei
W norę na skrzydłach cnót się wzbija.

(Przekład Mieczysława Brożka)

Tylko Apollo, nikt inny, myślała, mógłby wzbijać się w górę. Kiedy ciepły morski powiew muskał jej włosy i policzki, czuła, że mogłaby nawet z nim porozmawiać.

Ponieważ nie chciała stracić ani chwili z zachodu słońca, ani pierwszych gwiazd ukazujących się na niebie, wcześniej przebrała się do kolacji. Włożyła białą sukienkę, jako że różową nosiła poprzedniego wieczoru. Zarzuciwszy biały szyfonowy szal na ramię, nieświadomie upodabniając się do greckiej piękności, udała się do świątyni. Tu zatrzymała się, czekając niczym aktorka na scenie na podniesienie kurtyny.

Tego dnia zachód wydawał się jeszcze cudowniejszy niż wczoraj. Złoto było bardziej złote, purpura bardziej purpurowa, błękit miał w sobie więcej błękitu, a cała przyroda promieniała jak wyspa Delos w dniu, kiedy - jak głosi legenda - bogini Leto wydawała na świat syna Apolla.

Larina nie potrafiła wyzwolić się z tej ekstazy. Wydawało jej się, że muzyka, którą słyszała przez cały dzień, wciąż rozbrzmiewa w jej uszach.

Usłyszała za sobą kroki, więc odwróciła głowę. Jej oczy wciąż przepelnione były słońcem, lecz mimo to w zaułku świątyni dojrzała stojącego mężczyznę. Kiedy promienie słońca rozświetliły jego twarz, pomyślała z nagłym drgnięciem serca, że oto stoi przed nią Apollo!

Przez dłuższy czas panowała cisza. Nie była to cisza uciążliwa, którą pragnęłoby się przerwać; po prostu jakby natura zastygła w bezruchu, a Ziemia przestała się kręcić.

- To pani jest panną Milton?

Kiedy dźwięk jego głosu zanikł, zauważył, że Larina ma trudności z odpowiedzią. Wreszcie powiedziała nieco drżącym głosem:

- T... tak... kim... pan... jest?

Wynstan podszedł bliżej i wówczas zrozumiał, dlaczego przez chwilę wydało mu się, że zobaczył Afrodytę.

Dziewczyna było bardzo drobna i smukła, prawie tak jak posąg stojący tuż za nią. Długa do kostek suknia i pofałdowany szal do złudzenia przypominały greckie szaty. Był to strój niemodny, a jednocześnie zadziwiająco odpowiedni. Po prostu nie sposób było wyobrazić ją sobie w czymkolwiek innym.

Kiedy Wynstan zbliżył się do nieznajomej, zobaczył, że jej zwrócone na niego oczy są szare, włosy - zaczesane gładko nad owalnym czołem - przypominają złoto, lecz nie ma już w nich płomiennych błysków sprzed kilku chwil.

Była niepodobna do żadnej z kobiet, które Wynstan znał. Emanowała z niej godność i niewinność, coś, czego nie umiał wyjaśnić nawet samemu sobie. Zdawała się częścią świątyni, ogrodu, a nawet słońca, które właśnie pogrążyło się w morzu.

- Jestem bratem Elvina - mam na imię Wynstan.

- Czy Elvin jest tutaj? - W jej głosie brzmiała niecierpliwość i tajemnicze pragnienie.

- Niestety, nie. Jestem kimś w rodzaju zwiastuna. Zapadła cisza, jakby oboje nie wiedzieli, co powiedzieć.

W końcu Wynstan zapytał:

- Mam nadzieję, że nie czuła się pani zbyt samotnie. Jak wiem, przyjechała pani trzy dni temu.

- Nie, nie czułam się samotna. Tu jest tak pięknie, tak niewiarygodnie cudownie!

- I ja tak uważam - powiedział Wynstan. - Kiedy byłem chłopcem, spędzałem tu wakacje z dziadkiem.

- Nie rozumiem, dlaczego Elvin nic mi nie powiedział o tym miejscu?

- Nie jestem pewien, czy w ogóle kiedykolwiek tu był.

- Jak to? Dlaczego?

- Już w dzieciństwie Elvin był chorowity. Mama nie chciała wysyłać go w podróż w obawie, by się zanadto zmęczył.

- Co za szkoda! - powiedziała Larina. - Na pewno byłby zachwycony! Myślę, że miałby mi wiele do powiedzenia o sprawach, o których tak mało wiem.

- A może ja mógłbym odpowiedzieć na pani pytania? - spytał Wynstan.

- Właściwie to nie są pytania - odpowiedziała Larina.

Nagle, jakby czując, że za wiele powiedziała, szybko spytała:

- Pan przyjechał z Ameryki?

- Tak.

- Czy Elvin ma się na tyle dobrze, by przyjechać? Nie mogłam uwierzyć, kiedy pan Donaldson powiedział mi, że Elvin chce się ze mną tu spotkać.

- Nie była pani pewna, że Elvin przyjedzie? - spytał Wynstan.

Larina popatrzyła w stronę morza. Wynstan poczuł, że to pytanie wprawilo ją w zakłopotanie.

Było coś, czego Wynstan nie mógł zrozumieć. W depeszy pisała jasno: „Przyjedź do mnie, jak obiecałeś”. Dlaczego więc teraz dziwi ją, że Elvin postanowił dotrzymać obietnicy?

- Pani poznała Elvina, kiedy był w Szwajcarii? - zapytał po chwili.

- Tak, byliśmy razem w sanatorium.

- Pani też była pacjentką?

- Nie, byłam tam z matką.

- Mam nadzieję, że mama ma się lepiej.

- Mama nie żyje.

- Bardzo mi przykro - powiedział Wynstan. - To się stało po wyjeździe Elvina?

- Tak, dwa tygodnie później.

- Musiał to być dla pani szok. Choć może spodziewała się pani tego?

- Nie. Miałam nadzieję, że mama wyzdrowieje. Doktor Heinrich to wspaniały lekarz.

- Owszem, słyszałem - zgodził się Wynstan.

- Jeśli Elvin czuje się lepiej, jak pisał po powrocie do Nowego Jorku, to tylko dzięki doktorowi Heinrichowi.

- Tak, oczywiście.

Słońce zniknęło, już ostatecznie za horyzontem, był to właśnie moment zmierzchu, kiedy niebo nabierało jasnoblękitno - purpurowej barwy. Zabłyły pierwsze gwiazdki. Jeszcze ledwo widoczne, lecz coraz wyrazistsze wraz z pogłębianiem się ciemności.

Larina spojrzała na morze. Jej mały prosty nosek wyraźnie rysował się na tle nieba.

Wynstan znów zastanawiał się, czy ona naprawdę istnieje. Było w niej coś niematerialnego, eterycznego, co przypominało mu jego chłopięce marzenia o Afrodycie.

Larina spojrzała na niego i odezwała się:

- Spodziewam się, że chce pan wrócić do domu. Zbliża się pora kolacji, a pan na pewno jest głodny po podróży.

Wynstan miał wrażenie, że Larina mówi jedno, a równocześnie myśli o czymś zupełnie innym. Przeszli po marmurowej posadzce świątyni do schodów prowadzących w dół ogrodu.

- Ostrożnie! - ostrzegł Wynstan. - Ścieżka jest bardzo stroma i łatwo się pośliznąć.

Ale było jeszcze na tyle jasno, że dość dobrze widzieli drogę.

Zapadający zmierzch sprawił, że krzewy azalii przemieniły się w pachnące cienie, a smukłe cyprysy ostro rysowały się ponad ich głowami.

Larina, w błyszczącej ciepłym blaskiem sukni, wydawała się poruszać instynktownie, bez obawy, a jednocześnie tak lekko i wdzięcznie, że Wynstanowi, który szedł za nią,

zdawało się, iż prawie płynie. Przed sobą widzieli ciepłe, zapraszające światło willi. Z przyjemnością weszli do holu.

- Jeśli pani pozwoli - powiedział Wynstan z kurtuazją - pójdę się przebrać. To nie potrwa długo.

- Zaczekam w salonie - odpowiedziała Larina. Przeszła przez wykładany marmurem hol do dużego salonu z kwadratowymi oknami wychodzącymi na zatokę z jednej, a ogród z drugiej strony. Znajdowało się tu wiele wspaniałych mebli, które zachwyciły ją ponownie za każdym razem, gdy wchodziła. Czowała, że wybrano je nie tylko dlatego, iż były cenne, lecz także dlatego, że zdawały się wprost stworzone dla tego miejsca.

Oczywiście nie pochodziły z czasów rzymskich, lecz były doskonale stylizowane na antyk. Ich piękno jednak zdawało się być dziedzictwem przeszłości, nie miało nic wspólnego z przelotnymi kaprysmi mody.

W pokoju, którego powietrze było przesycone zapachem lilii, pełno było fragmentów greckich i rzymskich rzeźb, zapewne odkrytych w okolicy. Między innymi była tu głowa, według podejrzeń Lariny, należąca do gladiatora, i wyszczerbiona waza, która, mimo ubytków, zachowała klasyczne proporcje i niezwykłą urodę. Znajdowały się tu urny i talerze, była też marmurowa rączka dziecka; ślad jego istnienia przetrwał o wiele dłużej niż ono samo. Larina wyobraziła sobie, jak z dziecka wyrastał dorosły człowiek, który potem postarzał się i zmarł.

Wszystko to było fascynujące, lecz teraz, po raz pierwszy od przyjazdu do willi, Larina nie zauważała otoczenia, usiadła i pogrążyła się w myślach o mężczyźnie, którego poznała i który zapewne był współwłaścicielem tego wspaniałego gmachu. Pan Donaldson twierdził, że willa należy do rodziny, to znaczy do Elvina, jego trzech braci, siostry i matki.

Jakie to dziwne, myślała Larina, że oni tak rzadko tu bywają, a Elvin nigdy nie widział tego przepychu, który na pewno wprawiłby go w zachwyt. Jakże mógłby wtedy nie odczuć, że ogród przepelniony jest życiem? Tak samo jak morze i niebo. Jakżeby go zachwycił ten przejrzysty błękit, piękniejszy, niż można sobie wyobrazić! Wtedy, jakby przez cały czas jej myśli ciągnęły ją w tym kierunku, wspomniała o bracie Elvina i o tym, jak przez jeden niewiarygodny moment pomyślała, kiedy go ujrzała, że to musi być Apollo. Z twarzą oświetloną zachodzącym słońcem wyglądał dokładnie tak, jak zawsze wyobrażała sobie, że mógłby on wyglądać. Jego twarz emanowała pięknem i siłą. Regularne rysy, głęboko osadzone oczy, jasne włosy odsłaniające kwadratowe czoło mogłyby służyć za model każdemu posagowi Apolla, które Larina widziała na ilustracjach.

Kiedy doszli do holu, zdała sobie sprawę, że Wynstan jest podobny do Elvina lub raczej, z racji wieku, Elvin jest podobny do niego. Lecz Elvin był wychudzony, wycieńczony chorobą, podczas gdy jego brat zdawał się tryskać zdrowiem i witalnością.

Nie sądziłam, że mężczyzna może być aż tak przystojny! - pomyślała Larina.

Gdy podszedł do niej w świątyni, poczuła neodpartą chęć, by paść przed nim na kolana i oddać mu cześć, tak jak Grecy czcili dawcę światła.

Pomyślała, że trudno jej będzie rozmawiać z nim naturalnie, mówić o sprawach trywialnych, na przykład o jego podróży z Ameryki lub jej z Londynu. Z drugiej strony jednak mogłoby mu się wydać bardzo dziwne, gdyby zamiast tego mówiła o jego życiu na Olimpie, o tym, jak rządzi światem dzięki potędze piękna.

Sądziłyby, że jestem szalona, pomyślała Larina, uśmiechając się. Wiedziała, iż musi być bardzo, bardzo ostrożna w rozmowie z Wynstanem.

Rozdział 5

Wynstan zszedł na śniadanie do jadalni, której sufit i ściany ozdobione były płaskorzeźbami rzymskich imperatorów, odnalezionymi w czasie renowacji willi. Podczas gdy służący uwijali się przynosząc posiłek, obserwował oświetlony słońcem ogród i cieszył się, że nie musi być teraz w Nowym Jorku.

Myślał o Harveyu; zastanawiał się, jak mu idzie, i nagle olśniło go, że wczoraj był przecież dzień wyborów! Mógł wyobrazić sobie te tłumy, zamęt, rwetes, zdenerwowanie i gorycz klęski niedoszęłego prezydenta.

Wynstan czuł, że choć Harvey był dobrej myśli, Theodore Roosevelt jednak wygra i zostanie wybrany na drugą kadencję. Owszem Roosevelt miał wrogów, lecz jednocześnie ludzie cenili go za stabilność, którą reprezentował. A właśnie owo poczucie stabilności liczyło się szczególnie w tych wyborach.

Jeśli Harvey przegrał, przynajmniej nie mógł tego przypisać kłopotom spowodowanym przez Larinę. Myśląc o niej, Wynstanowi trudno było wyobrazić sobie, że Larina może wyrządzić komukolwiek krzywdę.

Obserwując ją wczoraj przy kolacji, doszedł do wniosku, że była odmienna od wszystkich dotychczas spotkanych kobiet. Wyróżniała się nie tylko wyglądem, który nieodparcie kojarzył mu się z posągiem Afrodyty, lecz i zachowaniem, szczególnie wtedy, gdy byli sam na sam.

Kiedy Wynstan, przebrawszy się do kolacji, zszedł do niej do salonu, zdał sobie sprawę, że Larina jest prawdziwą damą i że wielkim nietaktem było narażać ją na daleką podróż bez żadnej opieki.

Harvey był tak przekonany, że Larinie zależy tylko na pieniądzu i że to zuchwała, prosta dziewczyna, która uczepiła się Elvina, a raczej jego majątku, że Wynstanowi

trudno było pogodzić się z faktem, iż różni się od wizerunku, który stworzył brat. Mimo wszystko wydało mu się niezwykle, że przyjęła zaproszenie Elvina. Mogła przecież odmówić albo uprzeć się, by jechała z nią dama do towarzystwa.

Wynstanowi nawet przez myśl nie przeszło, że kiedy poszedł się przebrać do kolacji, Larina myślała dokładnie o tym samym. Tyle tylko, że ona zupełnie nie odczuwała potrzeby żadnej opiekunki, skoro w willi miał na nią czekać Elvin. Tęskniła za nim, bardzo wiele dla niej znaczył, lecz nigdy nie myślała o nim tak jak o innych mężczyznach, przed którymi przestrzegała ją matka lub w których obecności czasami czuła się skrępowana. .

Mimo że myślała o Wynstanie jak o bogu, był on wciąż mężczyzną, a jego męskość czasem nawet ją przerażała.

Kiedy dwadzieścia minut później Wynstan pojawił się w salonie w swoim wieczorowym ubraniu, Larina pomyślała, że żaden mężczyzna nie może być bardziej elegancki i atrakcyjny niż on.

Nie powinnam być tutaj sama, pomyślała. Mama byłaby przerażona!

Ale wtedy przyszło jej na myśl, że Wynstan, jako Amerykanin, nie zdaje sobie sprawy, iż postąpiła wbrew przyjętemu zwyczajowi. A zresztą nawet jeśli tak jest w istocie, myślała, cóż z tego?

Zasiedli do wykwintnego posiłku.

Wkrótce po przyjeździe Larina przekonała się, że szef kuchni Arkadii jest prawdziwym kulinarnym artystą. Zanim Wynstan zjawił się w willi, oczywiście nawiązała kontakty z miłymi Włochami, którzy jej tu oczekiwali. Z lubością opowiadali jej o kuchni włoskiej i byli szczęśliwi, że bardzo jej smakuje.

Larina dowiedziała się, iż Neapol zawsze słynął ze spaghetti, podawanego na wiele sposobów, na przykład Maccheroni alla Napoletana, to znaczy spaghetti z sosem ze specjalnych pomidorów o kształcie śliwek, posypane tartym serem.

Jednak najbardziej smakowały jej świeże ryby. Włoski lokaj zaproponował, by odwiedziła targ rybny, gdzie można zobaczyć najróżniejsze owoce morza, od srebrzystobłękitnych małych anchovis po ogromne ośmiornice.

Szef kuchni przyrządzał przepyszne trigla, czyli czerwone cefale, a także spigola, czyli rodzaj śródziemnomorskiego okonia, zupełnie w Anglii nieznanego.

Wynstanowi zaserwowano na śniadanie tonna, czyli tuńczyka z grilla, udekorowanego wymyślnie scampi, czyli krewetkami. Właśnie nakładał sobie porcję ze srebrnego półmiska, kiedy od strony ogrodu weszła do jadalni Larina.

Miała na sobie jedną ze swych delikatnych muślinowych sukni od Poireta, jasnozieloną jak pierwsze wiosenne pączki. Jej włosy przypominały Wynstanowi poranne promienie słońca.

- Wczesnie pani wstaje! - wykrzyknął, zrywając się od stołu.

- Od dawna już nie śpię - powiedziała Larina melodyjnym głosem. - Nie chciałabym stracić... ani chwili.

Było coś w jej słowach, a może w sposobie, w jaki je wypowiedziała, że Wynstan popatrzył na nią uważnie.

Służący odsunął krzesło i Larina usiadła naprzeciwko Wynstana, który właśnie rozmyślał o tym, że bardzo długo rozmawiali ze sobą zeszłego wieczoru.

To, że kobieta słuchała go wpatrzona w niego szeroko otwartymi oczami, było dla niego zupełnie nowym przeżyciem. Żadna kobieta nie traktowała go, jakby był

źródłem całej mądrości - natomiast wszystkie próbowały zwrócić jego uwagę na siebie.

Po flirtach z Yvette Glencairn, która nie potrafiła powiedzieć „dobry wieczór” bez sugerowania czegoś między wierszami, Wynstan zauważył, że wpatrzone w niego szare oczy Lariny prowokowały go do elokwencji, o jaką nawet siebie nie podejrzewał. Tematem ich rozmów była naturalnie willa, Grecy, którzy tu kiedyś żyli i Rzymianie, którzy przyszli po nich.

Wynstan opowiadał jej, jak dziadek przypadkiem odkrył to miejsce, szukając czegoś, gdzie mógłby wypocząć; jak obsesyjnie pragnął odbudować tę starą budowlę i jak specjaliści z całych Włoch przyjeżdżali udzielać mu rad.

Larina siedziała zasłuchana. Kiedy Wynstan opowiadał o tym, jak dziadek przetrząsnął cały kraj w poszukiwaniu odpowiednich mebli, obrazów i rzeźb do domu i ogrodu, nagle wykrzyknęła:

- To musiało być bardzo kosztowne!

Wynstan poczuł się nagle, jakby ktoś zatrzasnął mu drzwi przed nosem. A więc ona myśli o pieniądzach! - pomyślał. Do tego stopnia dał się ponieść wspomnieniom, że ujawnił aż nadto dobitnie, iż wydatki nie odgrywały żadnej roli tam, gdzie chodziło o rodzinę.

Harvey drwiłby z niego, że opowiada bzdury, ale ponieważ czuł, iż musi jakoś wyjaśnić, co uprzednio powiedział, odparł:

- Siła robocza była wtedy we Włoszech tania. Dziś oczywiście byłoby to znacznie droższe.

- Naturalnie - powiedziała Larina. - Pomyślałam, że pański dziadek miał wiele szczęścia, skoro udało mu się kupić tyle cennych antycznych przedmiotów i uratować je przed zaginięciem lub zniszczeniem przez tych, którzy nie potrafiliby ich uszanować.

Wynstan uśmiechnął się cynicznie i powiedział:

- Te przedmioty znaczą dla nas bardzo wiele, a jest między kogo je podzielić.

Zauważył, że Larina pogrążona we własnych myślach, wcale go nie słucha.

- Zawsze marzyłam, żeby mieć jakąś grecką rzeźbę - powiedziała. - Kiedyś w Londynie widziałam na wystawie fragment rzeźby - marmurową stopę. Na pewno pochodziła z Grecji. Niestety była zbyt droga.

- Być może tu znajdzie pani coś, co się jej spodoba - powiedział Wynstan. - W tych biednych wioskach i gorszych dzielnicach Neapolu często można znaleźć skarby, o których wartości ich właściciele nawet nie mają pojęcia.

Oczy Lariny zabłysły na chwilę, lecz potem powiedziała, tonem, który wydał się Wynstanowi dziwny:

- Teraz już... za późno!

Po kolacji rozmowa przeciągnęła się prawie do północy i dopiero gdy zegar wybił dwunastą, Larina przestraszyła się, że Wynstan może posądzić ją o brak taktu.

- Pan jest na pewno zmęczony - powiedziała zażenowana!
- Podróż musiała być męcząca, powinnam była wcześniej zaproponować, abyśmy udali się na spoczynek.

Wynstan nie odpowiedział. Owszem, był zmęczony, lecz nie podróżą, a dwiema nocami w Paryżu. Poza tym czuł się winny, że przez swoją chęć beztroskiej zabawy, przedłużył samotny pobyt Lariny w Arkadii. Mógł sobie wyobrazić, że większość znajomych mu kobiet czułaby się nadzwyczaj oburzona takim zachowaniem, lecz Larina nie wydawała się zmartwiona czy zdenerwowana. Przeciwnie, wydawało się, jakby była w willi od zawsze.

- Sądzi pan, że Elvin dziś przyjedzie? - spytała.

- Być może - odpowiedział Wynstan ostrożnie. - Tak bardzo się pani niecierpliwi?

- Tak, muszę go zobaczyć... i to szybko!

Powiedziała to w taki sposób, że Wynstan popatrzył na nią zdziwiony. Nie skończywszy śniadania, Larina wstała od stołu i podeszła do okna.

Harvey ma rację! Ona na pewno spodziewa się dziecka! - pomyślał Wynstan - Lecz gdy spojrzął na jej drobną figurę i smukłą talię, wydało mu się to bardzo mało prawdopodobne.

Nie tylko figura Lariny zastanawiała Wynstana. Było coś w jej oczach i wyrazie twarzy, co powodowało, że czuł, iż Larina po prostu musi być czysta i niewinna.

To ja jestem głupcem, a ona mnie nabiera! - pomyślał Wynstan i znów zabrał się do śniadania.

Trudno było sobie wyobrazić, żeby tak obyty z kobietami mężczyzna mógł dać się oszukać komuś tak młodemu i niedoświadczonemu jak Larina. Jednak, chcąc być uczciwym wobec siebie, musiał przyznać, że stawiałby fortunę na to, iż jest taka, jaka zdaje się być. Była w niej jakaś niewinność, nieskazitelność, która znów przywodziła mu na myśl Afrodytę. Z drugiej strony jednak fakty mówiły same za siebie: Larina była podenerwowana, ponieważ Elvin nie przyjeżdżał.

Nie mógł wiedzieć, że Larina, spoglądając na ogród, myślała właśnie, iż zostały jej jeszcze dwa dni życia.

Czas płynął tak szybko od momentu, kiedy pan Donaldson odwiedził ją w Londynie. Podniecenie podróżą za granicę i oczarowanie willą po przyjeździe sprawiły, że prawie zapomniiała o tym, iż ziarnka piasku w klepsydrze nieubłaganie spadają. Dziś był trzynasty. Zostało jeszcze jutro, a potem... Oddech zamarł jej w piersiach.

Trudno było zrozumieć, w jaki sposób sir John mógł tak dokładnie przewidzieć datę. Jednak w jego sposobie mówienia, w powadze gestów było coś, co absolutnie

przekonywało Larinę, że doktor jest całkowicie pewny swej diagnozy.

Czuła, jak w piersiach kołatało jej przerażone serce. A gdyby tak przestało bić właśnie teraz, kiedy patrzy na przepiękne kwiaty i unoszące się nad nimi motyle? Natychmiast pocieszyła się, że oprócz reszty dzisiejszego dnia zostały jej dwa następne, by zachwycać się pięknem świata. Postanowiła nie zniszczyć uroku tych chwil strachem. Z trudem odwróciła się od okna i podeszła do stołu.

- Jeśli Elvin powiedział, że przyjedzie... wiem, iż dotrzyma słowa - powiedziała bardziej do siebie niż do Wynstana.

- A co też on pani obiecał? - spytał Wynstan, siląc się na obojętność.

Larina długo milczała, aż w końcu wyszeptała:

- Że przyjedzie do mnie... kiedy go o to poproszę.

- A dlaczego tak go pani potrzebuje?

Wynstan nie patrzył na Larinę. Wydawał się bardzo zajęty smarowaniem kromki bułki masłem. Zapadła cisza. Wreszcie Larina rzekła:

- Jest coś... o czym muszę mu powiedzieć.

- A nie może pani powiedzieć tego mnie? Jeśli ma pani jakiś kłopot, myślę, że mógłbym pomóc pani go rozwiązać.

- Nie... Ależ nie! - Larina wykrzyknęła gwałtownie. Kiedy Wynstan spojrział na nią uważnie, dodała:

- Tylko Elvin... mnie zrozumie. Dlatego tak bardzo... niepokoję się, że nie przyjeżdża.

Wynstan stwierdził, że nie ma sensu dłużej jej męczyć. Być może nawet udałoby mu się coś z niej wyciągnąć, ale nie chciał być nieuprzejmy. Była jeszcze taka młoda, w pewnym sensie nawet dziecinna, że nie mógłby znęcać się nad nią, tak jak chciał to zrobić Harvey. Był pewien, że prędzej czy później delikatnością i taktem wydobędzie z niej jej tajemnicę.

- Właśnie myślałem, czy nie zechciałaby pani przejść się ze mną na molo i obejrzeć motorówkę - powiedział łagodnym tonem.

- Motorówkę?! - wykrzyknęła Larina. - Nigdy nie widziałam motorówki!

- A jednak one istnieją! - powiedział Wynstan z uśmiechem. - A tę wykonano specjalnie dla mnie. Larina słuchała z zainteresowaniem, więc mówił dalej:

- Kapitan William Newman, który dwa lata temu przepłynął Atlantyk z zachodu na wschód w motorówce o niezwyklej nazwie „Abiel, Abbott Low”, jest moim przyjacielem.

- Nigdy o nim nie słyszałam - powiedziała Larina.

- Amerykanie bardziej pasjonują się jego wyczynami niż Anglicy - odparł Wynstan. - Jednak niewątpliwie było to wielkie wydarzenie, gdyż motorówka była napędzana silnikiem parafinowym o mocy zaledwie dwunastu koni mechanicznych.

- I pan ma podobną łódź? - spytała Larina.

- Nie aż tak dużą - odparł Wynstan. - W istocie moja jest znacznie mniejsza. To co, pójdziemy ją obejrzeć?

- Och, tak! Z przyjemnością. Czy zaczeka pan na mnie, pobiegnę tylko po kapelusz.

- Oczywiście - odpowiedział Wynstan.

Larina wybiegła z pokoju podniecona. Patrzył za nią zaintrygowany wyrazem jej oczu.

Obiektami wszystkich jego miłostek były kobiety dojrzałe, wysublimowane, o wysokiej pozycji towarzyskiej, szalenie pewne siebie i swoich wdzięków. Larina zaś nie była pewna siebie, a sposób, w jaki patrzyła na niego, sprawdzając, czy nie powiedziała lub zrobiła czegoś złego, wydawał mu się pociągający. Poza tym była taka młoda.

Mimo to ich wieczorna rozmowa przekonała go, że

Larina jest nie tylko bardzo odczytana, ale też inteligentna. Mógł przecież spodziewać się banalnej, płytkiej rozmowy z młodą panią albo też flirtu z kokietką, ot, jak to bywa między mężczyzną a kobietą. Przekonał się jednak, że uwaga Lariny nie była skoncentrowana na nim; był dla niej jedynie źródłem informacji, kimś, kto może jej wyjaśnić pewne sprawy. Cały jej umysł był pochłonięty mitologią, bogami i boginiami, którzy byli dla niej bardziej realni niż żywi ludzie.

Mimo to kiedy biegła teraz do niego podekscytowana, trzymając w dłoni duży słomkowy kapelusz, wyglądała jak dziecko, które właśnie dowiedziało się, że jedzie na wycieczkę.

Wynstan poprowadził ją przez ogród w dół do wąskich, wyżłobionych w skale schodków. Schodząc Larina podziwiała małą skalistą zatoczkę z falochronem i molo, do którego stała przycumowana motorówka. Była mniejsza, niż się spodziewała. Nie wiadomo dlaczego wydawało jej się, że wszystkie maszyny wyposażone w silnik muszą być ogromne.

Podeszli bliżej. Wynstan spojrzał na łódź z zachwytem.

Miała bardzo zgrabny, opływowy kształt, przednia część była wydłużona i Larina pomyślała, że właśnie tam znajduje się silnik. Pośrodku łodzi było miejsce dla sternika, a za nim mała kabina ze stolikiem i dwiema wyściełanymi ławeczkami, które można było łatwo rozłożyć do spania.

- Oto „Napier Minor” - powiedział Wynstan. - Firma, w której go skonstruowano, jest pewna, że „Napier” zwycięży w pierwszy raz organizowanym w tym roku wyścigu przez Kanał.

- Wydaje się zbyt mały, by przepłynąć Kanał.
- Za to bardzo łatwo się go prowadzi.
- Pan sam stanie u steru? - spytała Larina zaskoczona.

- Mam taki zamiar - odparł Wynstan. - Lubię sam dosiadać moich koni wyścigowych, prowadzić moje samochody, a nawet mój pociąg!

Larina roześmiała się.

- Każdy mały chłopiec chciałby prowadzić pociąg - powiedziała.

Nie mogła przecież wiedzieć, że Vanderfeldowie naprawdę byli właścicielami prywatnej kolei i Wynstan często sam prowadził pociąg.

Ponieważ Wynstan zdał sobie sprawę, że znów wyraził się niezręcznie, ponownie skierował rozmowę na łódź, pokazując jej, iż wykonano ją ze smołowanego drewna cyprysowego na podkładzie dębowym.

- Czy silnik też jest parafinowy? - spytała Larina z nadzieją, że nie powiedziała jakiegoś głupstwa.

- Dokładnie taki jak w tej, która przepłynęła Atlantyk.

- Możemy wypłynąć nią w morze?

- Właśnie chciałem to zaproponować - odparł Wynstan. - Dokąd chce pani popłynąć? Może do Pompei?

Twarz Lariny zaróżowiła się z podniecenia,

- Naprawdę możemy tam popłynąć?

- A dlaczegoż by nie? - odparł Wynstan. - Poza tym w ten sposób dotrzemy tam dużo szybciej, niż gdybyśmy jechali samochodem.

Uśmiechnął się do Lariny i dodał:

- Mam wrażenie, że jak wszyscy turyści, nie wyobraża sobie pani być we Włoszech i nie zobaczyć Pompei. Możemy zatem połączyć obowiązek z przyjemnością.

- I przejażdżka łódką i wizyta w Pompei to przyjemność! - powiedziała Larina.

- Muszę wypróbować łódź, nim za nią zapłacę.

- Papa zawsze mówił, że płacenie za coś, co do czego nie jest się w pełni przekonany, jest niemądre.

- Pani ojciec był niewątpliwie bardzo rozsądnym człowiekiem - zgodził się Wynstan.

Uruchomił silnik, odcumował łódź i stanął u steru, Larina stanęła obok i łódź zaczęła powoli wypływać na środek zatoczki.

- To wspaniałe, podniecające! - wykrzyknęła, kiedy przepływali przez ustęp w falochronie. - Nigdy nawet nie marzyłam, że będę pływać motorówką! Jak szybko możemy nią płynąć?

Pomyślała, że byłaby to następna rzecz, która nie spodobałaby się ojcu, gdyż była związana z prędkością.

Ojciec na pewno z przyjemnością powiosłowałby sobie po zatoczce, tymczasem oni byli już na pełnym morzu i Larina mogła po raz pierwszy zobaczyć Zatokę Neapolitańską od strony morza. Białe zabudowania Neapolu, okoliczne wioski, wieże kościołów, porośnięte winem strome klifowe zbocza - wszystko to wprawiło ją w zachwyt, którego nie sposób opisać słowami.

Na horyzoncie królował Wezuwiusz, skąpany w słońcu, a mimo to w jakiś sposób ponury i przerażający. Z jego stożkowatego krateru unosiła się cienka smuga, dymu. Larina popatrzyła na nią ze strachem. Wynstan, jakby czytając w jej myślach, zapytał:

- Boi się pani, że nastąpi podobna katastrofa do tej z roku 79 naszej ery?

- Czytałam o tym - odparła Larina - ale zupełnie czym innym jest zobaczyć na własne oczy miejsce, w którym to się stało.

Wciąż jeszcze o tym myślała, kiedy po około godzinie wpływali do portu Torre Annunziata, gdzie zacumowali łódź.

Larina i Wynstan wspięli się po stromym wybrzeżu na górę i wynajęli powóz do Pompei. Kiedy dojechali na miejsce,

natychmiast opadła ich chmara przewodników, natarczywie zachwalając swoje usługi.

- W dzieciństwie bardzo często tu przyjeżdżałem - powiedział Wynstan. - Chciałbym sprawdzić, jak wiele jeszcze pamiętam. Myślę, że wystarczająco, by panią zainteresować!

- Nie chciałabym uronić nic z tego, co usłyszę - odpowiedziała Larina, a Wynstan roześmiał się.

Przeszli do Forum. Tam, wśród fragmentów kolumn, Wynstan opowiedział Larinie o najświetniejszych czasach Pompei, o jej okresie przemysłowego i handlowego rozkwitu.

Dzięki przymierzu z innymi włoskimi miastami Pompeja przeciwstawiła się Rzymowi i przetrwała dziewięć lat oblężenia. Jednak po otwarciu bram, kiedy mieszkańcy nie byli w stanie dłużej walczyć, w mieście pojawili się rzymscy weterani i doprowadzili do jego silnej romanizacji.

- Wspomniał pan o przemyśle - wtrąciła Larina. - Co też tu produkowano?

- Dziś może się to wydać zabawne - odpowiedział Wynstan - ale mieszkańcy Pompei mieli swoją specjalizację eksportową - popularny gatunek sosu rybnego. Handel winem był ważną dziedziną ich gospodarki. A później, podobnie jak Herkulanum, Pompeja stała się kurortem zamożnych Rzymian.

Spacerując oglądali świątynie przy Forum i willę kapłanki Eumachii, która wślawiła się tym, że często odwiedzała baraki gladiatorów.

- W barakach - powiedział Wynstan - znaleziono dowody, że zginęły tam sześćdziesiąt trzy osoby. Wśród nich była też kobieta. Jej luksusowa biżuteria sugerowała, że nie mieszkała tam, lecz przyszła jedynie odwiedzić swojego kochanka - gladiatora!

- To musiało być przerażające - powiedziała szeptem Larina.

- Drgania skorupy ziemskiej odczuwano już od dłuższego czasu - mówił dalej Wynstan. - Dwudziestego drugiego sierpnia ustały. Niebo było błękitne i bezchmurne. Tylko w powietrzu unosiła się jakaś dziwna, niby zwiastująca coś złego cisza.

Larina wzdrygnęła się. Było coś niesamowitego w tym, że zwykli, przeciętni ludzie krzatali się wokół swoich codziennych spraw, nie zdając sobie sprawy z tego, co ma się z nimi stać.

- Ranek dwudziestego czwartego był upalny - kontynuował opowieść Wynstan - niebo było pogodne i ludzie przestali się bać.

Rozmawiając znaleźli się przy minach amfiteatru, w którym mogło kiedyś zasiąść dwadzieścia tysięcy widzów. Wynstan rozejrzał się wokół.

- Wszyscy właśnie przygotowywali się do południowego posiłku, kiedy nagle nastąpiło silne trzęsienie i coś w rodzaju grzmotu. - Popatrzył przed siebie. - Ludzie przerwali swoje zajęcia, by spojrzeć w kierunku Wezuwiusza, którego wierzchołek dosłownie pękł i zaczął wypluwać kłęby ognia.

Larina patrzyła przestraszona na smugę dymu unoszącą się w niebo. Wynstan opowiadał tak sugestywnie, że miało się wrażenie, iż dym w każdej chwili może zamienić się w płomień.

- Powstała wielka, podobna do grzyba chmura - mówił Wynstan. - Potem nastąpiła seria eksplozji i wielkie głązy strzeliły w niebo. - Przerwał, a po chwili dodał: - I nagle zaczął padać deszcz pomieszany z lawą, popiołem, odłamami skalnymi i kurzem, który szybko zamienił się w błoto. Ptaki spadły na ziemię. W ciągu kilku minut słońce zniknęło i piękny jasny dzień przemienił się w najczarniejszą noc.

Wynstan popatrzył na zatokę.

- Morze było wzburzone, wysokie fale waliły o brzeg.

- A co było z ludźmi? Jak reagowali? - spytała Larina.

- Myślę, że przerażeni rzucili się do ucieczki. Pompeje zamieszkiwało wtedy dwadzieścia tysięcy ludzi. Ponad dwa tysiące straciło tego dnia życie, zostali zasypani lawą, błotem i popiołem. W ciągu kilku chwil miasto zostało żywcem pogrzebane.

- Nie mogę znieść myśli, że ludzie nawet nie mieli czasu na ucieczkę! - wykrzyknęła Larina.

- Wydaje mi się, że zginęło dużo więcej osób, niż twierdzą archeolodzy - powiedział Wynstan.

- Być może był to szybki sposób... umierania - wyszeptała Larina. - Po kilku chwilach grozy stracili świadomość.

- Dla mnie to straszna śmierć! - powiedział twardo Wynstan. - Kiedy nadejdzie mój czas, chciałbym, tak jak Grecy, umierać w słońcu.

- Ja też tego pragnę.

W głosie Lariny było coś tak gwałtownego, że Wynstan znów spojrzał na nią uważnie.

- Biedactwo! Tak to panią zdenerwowało - powiedział łagodnie. - A myślałem, że lubi pani rozmyślać o przeszłości.

- Zupełnie co innego, jeśli ma się do czynienia ze świątyniami, budowlami, posągami bogów, którzy są... nieśmiertelni - odpowiedziała Larina. - To byli zwyczajni ludzie i zupełnie nie spodziewali się śmierci. Dlatego wpatrywanie się w miejsce ich tragedii wydaje mi się wyjątkowo nietaktowne.

- Jeśli ktoś umiera, czy to nie wszystko jedno gdzie i jak? - spytał Wynstan.

- Nie wiem... - odpowiedziała Larina. - Ale... to przerażające... ta myśl, że krzyczeli i... walczyli... o życie!

W jej głosie i wyrazie twarzy było tyle przerażenia, że Wynstan położył dłoń na jej ramieniu i powiedział:

- Nie warto tak się przejmować. To wszystko wydarzyło się tak dawno. Ani pani, ani ja nie wybieramy się na tamten świat. Będziemy jeszcze żyć długie lata. Lepiej chodźmy obejrzyć świątynię Jowisza. Czy może ją pani sobie wyobrazić wypełnioną widzami oczekującymi na spektakl? A właśnie tutaj odbywały się spektakle teatralne, zanim zbudowano amfiteatr.

Widział, że Larina z trudem zdobyła się na odpowiedź. - Z tego, co czytałam o rzymskich spektaklach, trudno mi sobie wyobrazić, by mogły być wystawiane w świątyni!

Wynstan roześmiał się.

- Ma pani rację! Ale Rzymianie byli bardzo pragmatyczni. Mieli kiepską wyobraźnię i stworzyli religię, która w zupełności zaspokajała ich potrzeby.

- Jadąc tutaj... myślałam trochę... o Rzymianach. Jednak doszłam do wniosku, że Grecy dużo bardziej mnie pociągają - powiedziała Larina.

A w szczególności jeden, pomyślała, zwany Apollem.

- Mnie także - zgodził się Wynstan. - Rzymianie nie odczuwali tej mistycznej potrzeby kultu ani miłości do bogów jako wszechpotężnych, nadludzkich istot. A jednak ich Jowisz miał w sobie pewien majestat.

- Uważam, że był okrutny! - sprzeciwiła się Larina. - Rolą Jowisza było przecież ostrzegać ludzi i karać ich. Do tego służyła mu moc gromowładna!

- Rzymianie byli ludźmi okrutnymi, stworzonymi do walki - odparł Wynstan. - A Jowisz był bogiem walczącym. Dlatego musiał mieć posłuch.

Larina nic nie odpowiedziała.

Wyszli ze świątyni. Spacerowali wąskimi uliczkami, które niegdyś zapewne tętniły życiem, a dziś tylko straszyły ruinami domów..

Obejrzeni pełen turystów dom lutnistki i zaczęli przepychać się przez tłum do wyjścia.

- Zastanawiam się nad tym, co pan mówił o okrucieństwie Rzymian - powiedziała Larina. - Myślę, że przyczyną tego jest fakt, iż nie czcili piękna. Ich boginie w niczym nie przypominają greckich.

- To prawda - zgodził się Wynstan. - Byli okrutni nawet dla westalek, które składały śluby czystości. Te, które łamały przysięgę, karano biczowaniem. Biczowaniem na śmierć.

- Och, nie! - wykrzyknęła mimowolnie Larina.

- Później to nieco złagodzą - mówił dalej Wynstan. - Biczowano je i zamurowano żywcem w grobowcu.

- Nic dziwnego, że Rzymianie budzili strach w całej Italii.

- Niech się pani tak bardzo nie martwi o westalki - uśmiechnął się Wynstan. - W ciągu jedenastu wieków zaledwie dwadzieścia złamało przysięgę i doświadczyło takiej kary. Ale jeśli zdarzyło się któreś z nich dopuścić do zgaśnięcia świętego ognia, czekała ją chłosta!

- Może lepiej porozmawiajmy o pięknych bogach Grecji - poprosiła Larina - którzy, jak pisał Homer, „zasmakowali szczęścia wiecznego jak oni sami”.

- Koniecznie musi pani kiedyś odwiedzić Grecję. Wynstan zauważył, że gdy to mówił, jakiś dziwny wyraz pojawił się na twarzy Lariny. Nie rozumiał tego. Zastanawiał się, czy ona myśli o tym, że nie stać jej na podróż, lecz w jakiś sposób przeczuwał, iż chodzi tu o coś więcej.

Nic mu nic odpowiedziała i on także nie chciał już więcej dociekać.

Wrócili do Torre Annunziata. Nie poszli jednak prosto do motorówki, lecz Wynstan zabrał Larinę do małej restauracyjki przy nabrzeżu.

Usiedli przy jednym ze skąpanych w słońcu stolików i natychmiast pojawił się przy nich kelner.

- Czego sobie państwo życzą? - zapytał.

- Proszę zamówić za mnie - powiedziała Larina błagalnie.

Na początek Wynstan wybrał antipasto z wędzoną szynką i świeżymi figami. Potem jedli Zuppa di pesce, czyli słynną zupę rybną - przysmak południowej Italii. Jest to rodzaj bouillabaisse przyrządzony z różnych składników, w zależności od pory roku.

Następnie podano im Abbacchio al tornio - typowe rzymskie danie - pieczeń z jagnięcia, przyprawiona czosnkiem i rozmarynem.

- Nie mogę już nic więcej zjeść! - zaprotestowała Larina na prośbę, by spróbowała jeszcze specjalnego neapolitańskiego deseru.

Kelner jednak namówił ją, by zakończyła posiłek brzoskwinia w białym winie. Nie mogła też odmówić wypicia kawy, skoro Wynstan zachwalał, że kawa w Neapolu jest najlepsza na świecie.

Pili wino z tutejszych winnic. Larina była zawiedziona, że nie było to Vesuvino, które uprawiano na stokach Wezuwiusza.

- Niestety z czasem jego jakość bardzo się pogorszyła - wyjaśnił Wynstan - podobnie jak Falerno, do dziś produkowanego w winnicach Flegraganu. Starożytni bardzo je chwalili, lecz mój gust jest trochę inny od klasycznego.

Nalał Larinie wina i powiedział:

- To jest Epomea. Pochodzi z wyspy Ischia.

Było przepyszne. Jasnóżółte, zdawające się zawierać w sobie coś z otaczającego ich słonecznego blasku. Dość długo

siedzieli w restauracji, nim w końcu znaleźli się w motorówce, by udać się w drogę powrotną.

- Jutro zabiorę panią na Ischię - powiedział Wynstan. - To jedna z moich ulubionych wysp. Musimy też oczywiście pojechać na Capri.

- To byłoby cudowne! - odpowiedziała Larina.

A równocześnie zastanawiała się, czy w ogóle kiedykolwiek zobaczy Capri. Miała uczucie, że znajduje się w pociągu ekspresowym, który coraz bardziej się rozpędza, a ona w żaden sposób nie może go zatrzymać.

„Nie wolno mi myśleć o przyszłości”, mówiła do siebie. „Muszę żyć każdą chwilą, każdą sekundą. Muszę jak najwięcej zmieścić w tym czasie, który mi jeszcze pozostał”.

Narastał w niej strach. Kiedy po powrocie do willi okazało się, że Elvina jeszcze nie ma, poczuła, iż ogarnia ją panika, którą z trudem udało jej się opanować.

Wynstan był dla niej taki miły i dobry, że nawet zaczęła zastanawiać się, czy nie powiedzieć mu prawdy. Stwierdziła jednak, że nie jest w stanie mówić o własnej śmierci z nikim innym, tylko z Elvinem.

Nikt inny by jej nie zrozumiał. Wynstan najwyżej okazałby jej współczucie. Na pewno powiedziałby, że to niemożliwe, starałby się dodać jej złudnej nadziei, a to byłoby jeszcze gorsze. Woląла już raczej stanąć twarzą w twarz z prawdą.

Zeszłej nocy długo modliła się przed snem; nie o życie, lecz o odwagę. „Nikt, kto wierzy w Chrystusa, nie może obawiać się śmierci”, upominała siebie samą. Lecz w praktyce zachowanie logicznego myślenia w obliczu zbliżającej się śmierci było bardzo trudne.

Wszystko, co zawsze przerażało ją w związku ze śmiercią - trupa czaszka, akcesoria pogrzebu: czarne woalki i opaski z krepy żałobników - wszystko to wydawało się krążyć koło niej

jak złowróźbne ptaki. Pomyślała, że po jej śmierci nikt nawet nie zapłacze ani, nie włoży czarnych szat.

Podobnie jak Wynstan ona też chciałaby umrzeć w pięknym słońcu. Byłaby to wspaniała „podróż ducha w zaświaty”.

Gdyby Elvin był przy niej i trzymał ją za rękę, nie bałaby się. Wyobrażałaby sobie, że unosi się w błękitne niebiosa, wprost w ramiona Apolla, który objąłby ją mocno. Pocieszała się, że kiedy kończy się życie na ziemi, znika też wszelki strach.

- O czym pani myśli? - spytał Wynstan, wyrrywając ją z zadumy.

Siedzieli na tarasie przed willą i popijali chłodne, orzeźwiające napoje, które przyniósł służący. W powietrzu unosił się odurzający zapach kwiatów.

- Myślałam o... śmierci! - powiedziała Larina, nie, siląc się na delikatność sformułowań.

- To Pompeja tak panią zdenerwowała - powiedział Wynstan. - Proszę o tym zapomnieć. Jutro zobaczy pani przepiękną Ischię. Tam także jest wulkan, ale jeszcze nigdy nie wybuchł. Są tam też bujne winnice, gaje oliwkowe, lasy sosnowe i cudowne kasztanowce. Posiedzimy, napijemy się tamtejszego wina i porozmawiamy o życiu.

- To będzie cudowne! - powiedziała Larina.

Ale Wynstan zauważył w jej oczach jeszcze cień smutku. Pochylił się bliżej i zapytał głosem, któremu nie oparłaby się żadna kobieta:

- A może jednak opowie mi pani o swoich kłopotach?

Larina potrząsnęła przecząco głową.

- Czekam na Elvina.

- A jeśli on w końcu nie przyjedzie?

Larina spojrzała na niego zaskoczona, więc wyjaśnił, ostrożnie dobierając słowa:

- Mógł na przykład rozchorować się w podróży. Mógł uznać, że to jednak dla niego zbyt duży wysiłek. W końcu to bardzo daleko.

- Tak, naturalnie, myślałam o tym, ale pan Donaldson zapewnił mnie, iż Elvin wysłał depeszę, że na pewno przyjedzie.

- I bardzo to panią ucieszyło?

- Niczego bardziej nie pragnęłam. Tylko być w tej chwili z Elvinem.

- Dlaczego właśnie w tej chwili? - Larina nie odpowiedziała, więc Wynstan spytał jeszcze raz: - Zadałem pani pytanie, Larino. Dlaczego właśnie teraz?

Zapadła cisza. W końcu Larina odpowiedziała:

- Tak się wyraziłam? Myślałam o byciu tutaj... byciu razem. To miałam na myśli.

Wynstan miał wrażenie, że Larina nie mówi prawdy. Nagle odezwała się głosem pełnym napięcia:

- On musi przyjechać! Gdyby cokolwiek mu przeszkodziło, wysłałby depeszę i do dzisiaj by doszła. Na pewno przyjedzie jutro, prawda?

W jej głosie było tyle napięcia, tyle rozpaczy, że Wynstan spojrział na nią zaskoczony. Nawet jeśli nosiła w sobie dziecko Elvina, dlaczego tak pilnie chciała się z nim widzieć. Jeśli planowała zmusić go do małżeństwa, było na to jeszcze dość dużo czasu przed narodzinami dziecka.

A jeśli to wcale nie chodzi o dziecko, to właściwie o co? Ponieważ Larina była już bliska płaczu, Wynstan powiedział uspokajająco:

- Może jutro dostaniemy jakąś wiadomość od Elvina. Dziś jednak nie możemy już nic zrobić.

- Tak, nic - powiedziała Larina z wysiłkiem. - Ależ jestem głupia! To wszystko dlatego, iż tak bardzo zależy mi na tym spotkaniu... Czuję, że pan mnie zrozumie.

Wynstan nic nie rozumiał. Nie było jednak sensu przyznawać się do tego teraz. Nie był pewny, czy dobrze robi, nie nalegając bardziej, nie dowiadując się nic o listach od Elvina, a przede wszystkim - o tym, co Larina pragnęła mu powiedzieć. Trudno mu było jednak, rozmyślnie mącić jej radość i patrzeć, jak wyraz jej twarzy zmienia się z promiennego na jakiś nieokreślony, lecz wydający się bliski przerażeniu.

Kiedy potem spokojnie rozmawiali na inny temat, Larina zaczęła stopniowo odzyskiwać równowagę, a gdy wieczorem szli przebrać się do kolacji, była już roześmiana.

Kolacja znów była wspaniała. Po jej skończeniu przeszli do salonu, gdzie Wynstan chciał pokazać Larinie zdjęcia dokumentujące, jak wyglądała willa, zanim dziadek zarządził jej odbudowę -

Kiedy szukał albumów, nagle przed domem rozległ się tętent koni i turkot powozu. Podeszedł do okna, które wychodziło na ogród i zobaczył ogromny powóz, który zatrzymał się przed drzwiami frontowymi. Wsiadło z niego kilka osób, wśród nich kobieta ubrana w elegancką wieczorową suknię.

- Kto to jest? - spytała Larina. - Czy to może Elvin?

- Nie - odparł Wynstan. - To goście. Myślę, że nie powinni pani tu zastać. Trudno by było im wyjaśnić, dlaczego nie ma przy pani damy do towarzystwa.

Larina spojrzała na niego i powiedziała bez wahania:

- Tak, ma pan racje! Pójdę na górę. W tym momencie, zauważył, że służba wpuściła już gości do domu. Wynstan nie uprzedził ich, a Włosi, ze swej wrodzonej gościnności, wpuściliby każdego, kto by się zjawiał.

- Zobaczą panią - powiedział do Lariny. - Proszę pójść do ogrodu, a ja szybko się ich pozbędę.

Larina bez słowa przebiegła przez salon i wymknęła się do ogrodu.

Na niebie pojawiły się już gwiazdy, wschodził księżyc i dzięki temu nie było ciemno.

Musiała tylko przejść przez taras, by znaleźć się przy drugich drzwiach do willi. Korciło ją, by podejść bliżej, lecz zawahała się.

Skierowała się na dróżkę prowadzącą do świątyni. Kiedy była już poza zasięgiem światła z salonu, znów się zatrzymała, by zejść ze schodów między azalie. Przysiadła na trawie tak, że krzewy sięgnęły jej powyżej głowy. Poprzez kwiaty mogła dojrzeć światło wylewające się przez okna salonu na taras i zastanawiała się, czy uda jej się choćby w przelocie zobaczyć gości Wynstana.

Była ich ciekawa. Nawet bardzo ciekawa!

Wynstan czekał w salonie. Z korytarza dobiegały go ożywione głosy. Pierwsza weszła do salonu hrabina Spinello, którą poznał w Rzymie, a w zeszłym roku spotkał także w Monte Carlo.

Była ciemnowłosa, pełna życia i bardzo piękna. Z błyszczącymi diamentami wokół szyi i w uszach zdawała się gwiazdą, kiedy biegła przez salon do Wynstana.

- Wynstan - a więc to prawda! - wykrzyknęła uroczą łamaną angielszczyzną. - Słyszałam, że przyjechałeś, ale nie dawałam temu wiary!

- Cudownie znów cię widzieć, Nicole - odpowiedział Wynstan. - Ale kto powiedział ci, że tu jestem?

- Nie wiedziałeś, że całe Sorrento mówi tylko o tym, iż Vanderfeldowie po latach znów otworzyli swą willę? Że przyjechał Vanderfeld molto bello? Kto to może być, jeśli nie ty?

- No właśnie, kto? - odpowiedział Wynstan z uśmiechem.

Przywitał się z bratem hrabiny i z dwoma pozostałymi mężczyznami, którzy jej towarzyszyli.

- Jak się masz, Antonio? - spytał. - Miło, że znów cię widzę.

- Nie wierzyłem, lecz miałem nadzieję, że tu będziesz - odpowiedział Antonio. - Kiedy trzy lata temu kupiliśmy willę po drugiej stronie Sorrento, powiedziano nam, że Vanderfeldowie nigdy nie odwiedzają takich niemodnych miejsc.

- Musi być bardzo modne, skoro tu mieszkacie! - rzekł Wynstan.

- Nie mówiłam wam, że on zawsze ma rację? - spytała hrabina dwóch czekających na przedstawienie ich Włochów. - Koniecznie musisz nas odwiedzić, Wynstanie - powiedziała. - I to jak najszybciej. Może nawet jutro na kolacji. Chuck przyjeżdża z Rzymu - pamiętasz Chucka? Byliście razem w college'u.

- Chuck Kennedy? Oczywiście, że pamiętam - powiedział Wynstan. - Ale co do kolacji, dam wam znać jutro.

- Jeśli nie jutro - to może pojutrze - nalegała hrabina. - Nie przyjmuję żadnej wymówki. Chcę, żebyś obejrzał naszą piękną willę; choć naturalnie, nie można jej porównać z waszą!

- A jak twoja motorówka, Antonio? - spytał Wynstan. - Właśnie przywieziono mojego „Napiera Minora”.

- I jak się sprawuje? - spytał Antonio.

- Dziś go wypróbowałem. Coś wspaniałego! - odpowiedział Wynstan.

- Przestańcie już mówić o motorówkach - powiedziała stanowczo hrabina. - Porozmawiajcie o mnie! Wynstan jest miłością mojego życia i nie zamierzam tolerować jego predylekcji do urządzeń mechanicznych!

- Czy mam ci powiedzieć, że wyglądasz piękniej niż zwykle? - spytał Wynstan. - Zapewne właśnie to chcesz usłyszeć?

- Oczywiście, że tak! - uśmiechnęła się. - Tylko ty możesz mówić tak miłe komplementy i nawet jeśli są nieszczerze, wierzy się w nie.

- Dlaczego miałabyś wątpić w moją szczerłość? - spytał Wynstan.

- Ponieważ ten twój lekki grymas ust, twoje spojrzenie zadają kłam wszystkiemu, co mówisz - odpowiedziała. - Wszystko jedno, wierzę w to, w co chcę wierzyć. Dzięki temu jestem szczęśliwa!

- Dobra filozofia - zauważył jeden z Włochów. - Może i ja powinienem ją przyjąć?

- Spróbuj - odpowiedziała. Spojrzała zalotnie, odwracając się przez ramię, i wyszła na taras.

- Ach, ten ogród! - wykrzyknęła. - U nas tuzin ogrodników stara się stworzyć podobny, ale nigdy nie uda im się coś tak pięknego.

Wynstan wyszedł za nią i Larina widziała ich teraz stojących w świetle salonu.

Kobieta miała na sobie najmodniejszą suknię, klejnoty błyszczały wokół jej szyi i na rękach i trudno było nie zauważyć, jak zalotnie spogląda na Wynstana.

Hrabina rzuciła spojrzenie za siebie, sprawdzając, czy brat i przyjaciele nie idą do nich. Ujęła Wynstana pod ramię i odciągnęła go od otwartego okna dalej na taras, bliżej miejsca, gdzie ukryła się Larina.

- Tęskniłam za tobą, Wynstanie - powiedziała miękko. - Sądziłam, że przyjedziesz tej zimy do Rzymu. Potem modliłam się, żebyśmy spotkali się w Monte Carlo, ale znów się zawiodłam!

- Musisz mi wybaczyć - powiedział Wynstan - ale podróżowałem po Indiach i dopiero jakiś tydzień temu wróciłem do Stanów.

- I przyjechałeś tutaj. Dlaczego?

- Miałem swoje powody - odparł Wynstan wymijająco. - Teraz, kiedy willa znów tętni życiem, żal mi, że nie przyjeżdżałem tu wcześniej.

- Ale będziesz tu jeszcze przyjeżdżał - a przede wszystkim jesteś tu teraz! Musimy się często widywać.

- Twój mąż też przyjechał? - spytał Wynstan.

- Jest we Florencji. Dlatego jest tak wspaniale! - Zbliżyła twarz do twarzy Wynstana.

Larina pomyślała, że hrabina oczekuje od niego pocałunku. Siedziała wśród azalii, oszołomiona tym, co widziała.

Nigdy nie wyobrażała sobie, że dwoje ludzi może wyglądać tak atrakcyjnie. Wynstan - szeroki w ramionach i wąski w biodrach, przypominający Apolla, i hrabina z kruczoczarnymi włosami ściągniętymi gładko w kok, odsłaniającymi owalne czoło. Jej czarne oczy błyszczały w ciemności, a smukłe palce spoczywały na ramieniu Wynstana, który właśnie zerknął w stronę salonu.

- Musimy wracać.

- Dlaczego? - zapytała. - Antonio wie, że chcę z tobą być. Kocham cię, Wynstanie. Nigdy nie zapomnę tych chwil szczęścia, które razem przeżyliśmy. A ty?

- Oczywiście, że też nie.

- Jesteś mną zmęczony, czy chodzi o inną kobietę? Co za głupie pytanie! - Westchnęła ciężko i mówiła dalej: - Tak jest zawsze, kiedy w grę wchodzi ktoś inny. Zawsze, zawsze! A jednak wierzyłam, że wrócisz, bo przecież nasza miłość musi znaczyć dla ciebie tak wiele jak dla mnie.

- Nicole, jesteś piękna i pociągająca - powiedział Wynstan - ale nie możesz oczekiwać, iż uwierzę, że oprócz mnie nie było w twoim życiu tuzina innych mężczyzn.

- Tuziny - powiedziała lekceważąco hrabina - ale żadnego z nich nie można porównać z tobą. Żaden nie był tak podniecający jak ty!

- Pochlebiasz mi - powiedział Wynstan, a w jego głosie brzmiała nutka rozbawienia.

Wówczas hrabina; zmęczona rozmową, objęła Wynstana za szyję i przyciągnęła jego głowę ku swojej. Wynstan pocałował ją. Przeciagle i namiętnie. Potem objął mocno i poprowadził z powrotem do salonu.

Larina wstrzymała oddech. Nigdy przedtem nie widziała dwojga ludzi związanych namiętnym pocałunkiem. Nigdy nie widziała mężczyzny obejmującego kobietę w miłosnym uścisku. Poczula, że ogarnia ją dziwne uczucie, którego nie rozumiała.

Sposób, w jaki Wynstan pochylił głowę i jego usta spotkały usta hrabiny, bliskość ich ciał - sprawiły, że Larina poczuła, iż przed jej oczami dzieje się coś doniosłego.

Lecz hrabina była zameżna!

Larina wytłumaczyła sobie, że tak właśnie zachowują się ludzie z towarzystwa. Czytała o tym, słyszała plotki o królewskich flirtach i o zachowaniu „Towarzystwa z Marlborough House”. Ale czytać i słuchać opowieści to coś zupełnie innego, niż widzieć. A szczególnie widzieć, jak Wynstan, z którym spędziła cały dzień, całuje kobietę tak piękną i atrakcyjną jak ta na tarasie.

Ona nigdy nie będzie mogła tego przeżyć!

- Nikt nigdy nie będzie mnie tak całował! - westchnęła, a w westchnieniu tym była głęboka rozpacz.

Rozdział 6

Larina odczekała kilka chwil i podniósłszy się spomiędzy azalii, zeszła ścieżką w dół. Pobiegła przez taras i przez ogrodowe drzwi weszła do holu. Tutaj zaczynały się schody prowadzące na pierwsze piętro. Wbiegła szybko na górę do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Po raz pierwszy od początku pobytu w Arkadii, Larina nie odsłoniła zasłon, by popatrzeć na morze i światła Neapolu połyskujące w oddali albo na iskierki wokół zatoki, wskazujące, że znajduje się tam wioska rybacka albo pojedyncza zagroda. Tym razem szybko rozebrała się i położyła do łóżka.

Każdego wieczoru, przed zaśnięciem, zachwycała się . komfortem i przepychem swojej sypialni. Z balkonu rozpościerał się wspaniały widok, który Larina mogła podziwiać w ciągu dnia. Cały pokój był znacznie bardziej luksusowy niż cokolwiek, co Larina widziała w swoim życiu.

Sypialnia sąsiadowała z łazienką wyposażoną w kanalizację. Woda ściekała z wanny pod podłogę, tak jak to było u starożytnych Rzymian. Łazienka znajdująca się obok każdej sypialni w domu był to zwyczaj amerykański. Kąpiąc się w marmurowej wannie obudowanej kolorowymi płytkami wzorowanymi na tych, które zapewne zdobiły oryginalną willę, Larina lubiła wyobrażać sobie, że żyje w starożytności. Mogła udawać, iż jest żoną senatora rzymskiego albo jego córką i że za chwilę znów otoczy ją przepych i blask, które zawsze towarzyszyły Rzymianom, gdziekolwiek się znaleźli.

Dziś wieczór Larina pragnęła jedynie wśliznąć się do łóżka i w ciemnościach wmówić sobie, że im prędzej uda jej się zasnąć, tym lepiej!

Chciała jeszcze raz zobaczyć się z Wynstanem, bardzo pragnęła z nim porozmawiać, pobyć z nim sam na sam, tak jak to było, zanim pojawiła się ta włoska diamentowa piękność. Z

drugiej strony jednak nie mogłaby znieść jego widoku, wiedząc, że niedawno całował Nicole i że o niej myśli.

Nie mogła zrozumieć swoich własnych uczuć. Wiedziała jedynie, że dziwna emocja, którą poczuła, kiedy patrzyła na Nicole w objęciach Wynstana, stała się teraz ostrym bólem - bólem tak intensywnym, iż przez moment Larina myślała nawet, że to początek konania. Nawet teraz, kiedy o tym myślała, pragnęła zbiec na dół, rzucić się w ramiona Wynstana i poprosić go, by ją mocno objął.

Co miała zrobić, żeby Wynstan zrozumiał to, jak bardzo potrzebuje jego siły i odwagi? Wówczas pomyślała, że Wynstan tylko potępiłby ją za tchórzostwo;. Dzisiaj w Pompei, kiedy była tak przejęta, Wynstan ją wyśmiał. Nie rozumiał, że myśl o ludziach duszących się na śmierć pod czarną chmurą dymu i lawy przeraziła ją. Przestraszyła się, iż tak właśnie będzie się czuła w chwili śmierci.

A gdyby tak miała przeżyć horror śmierci przez uduszenie? Gdyby czuła się samotna, przerażona i nie miałaby do kogo zwrócić się o pocieszenie?

Jak miała o tym wszystkim opowiedzieć Wynstanowi? Czowała, że bliskość człowieka, który żyje myślą o śmierci znudziłaby albo nawet wywołałaby niesmak u Wynstana.

Elvin był inny. Tak długo żył z myślą o śmierci, że rozumiałby Larinę. Potrafiłby ją przekonać, że to nie ma znaczenia, że jest to po prostu uwolnienie ducha od ciała i osiągnięcie pełniejszego szczęścia i zarazem wolności.

- Chcę w to wierzyć... Chcę wierzyć! - szeptała Larina w ciemności.

Nie mogła dłużej myśleć o śmierci. Jedyne, co cisnęło jej się na myśl, to obraz Wynstana całującego Nicole, jego ramiona obejmujące ją, jego głowa pochylona nad jej twarzą.

Może mogłabym poprosić Wynstana, by pocałował mnie choć raz, zanim umrę, pomyślała Larina, zastanawiając się, czy byłby to dla niego szok, czy tylko zdziwienie.

Zawsze myślała, że kobieta nie powinna prosić mężczyzny o pocałunek, a przecież to Nicole objęła Wynstana za szyję i zbliżyła jego usta do swoich. Co wtedy czuła? Czy był to rodzaj ekstazy, zastanawiała się Larina, której ona sama nigdy nie doświadczyła?

Leżała już dość długo, kiedy usłyszała na dworze jakieś głosy i turkot oddalającego się pojazdu.

A więc odjechali! Nie było jeszcze zbyt późno i być może Wynstan spodziewał się, że Larina wróci jeszcze do salonu.

Nie mogłaby znieść jego widoku, nie dzisiaj, kiedy jego usta były jeszcze gorące od ust Nicole.

Nasłuchiwała uważnie. W willi panowała absolutna cisza. Zastanawiała się, gdzie jest teraz Wynstan; może odjechał z przyjaciółmi, by wspólnie z nimi spędzić resztę wieczoru?

Kiedy tak leżała w napięciu, z myślami chaotycznie kołaczącymi się po głowie i uczuciami, których nie rozumiała, a które mimo to były bardzo żywe, usłyszała jego kroki w holu.

Jego pokój znajdował się po drugiej stronie willi. Oznaczało to, że Wynstan szedł do niej.

Larina wstrzymała oddech, Usłyszała stukanie do drzwi.

- Kto... tam? - zapytała, choć doskonale знаła odpowiedź.
- Wszystko w porządku, Larino?
- Tak... w zupełności.
- A więc niech pani śpi spokojnie. Dobranoc.
- Dobra... noc.

Mówiła tak cicho, że Wynstan ledwie ją słyszał. Kiedy usłyszała jego oddalające się kroki, zaczęła płakać.

Nie płakała od czasu, kiedy zmarła matka. Nie uroniła nawet jednej łzy od chwili, kiedy dowiedziała się, że też musi

umrzeć. Teraz płakała z rozpacz i bezsilności, płakała nad samą sobą, ponieważ jej życie dobiegało końca i nigdy nie zdoła już poznać miłości.

Płakała tak długo, że w końcu cała poduszka była mokra od łez. Leżąc w ciemności, czuła, że wszyscy ją opuścili - Elvin, Wynstan i... Apollo.

Wynstan był całkowicie pewny, że Larina pójdzie do swojej sypialni, tak jak powiedziała. Mimo to nie chciał już dłużej przeciągać spotkania z Nicole w ogrodzie.

W zeszłym roku w Rzymie przeżył z nią dziką, burzliwą i namiętną przygodę. Jednak, nim wyjechał z Wiecznego Miasta, zdał sobie sprawę, że płomień stopniowo w nim wygasa i, jak zwykle, zaczyna się nudzić i tracić cierpliwość. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego kobieta, której wcześniej tak pożądał, nagle zaczyna go mierzić.

Drobne manieryzmy, które na początku go pociągały, teraz stały się denerwujące. Wiedział, co ona ma zamiar powiedzieć, zanim się odezwała. Jak zawsze w jego affaires de coeur, Wynstan przestawał być myśliwym, by stać się obiektem polowania.

Nicole nie była wyjątkiem.

W momencie kiedy Nicole stwierdzała, że uczucie Wynstana słabnie, zaczynała go po prostu prześladować. On zaś z coraz większym trudem spełniał jej wymagania, coraz trudniej mu było wymykać się spod jej opiekuńczych skrzydeł, nawet w samym centrum wesołego, zawsze otwartego rzymskiego towarzystwa.

Jeśli przyjmował zaproszenie od przyjaciół, Nicole też się tam pojawiała i, co w jakiś sposób było nieuniknione, tak to urządziła, że musiał odprowadzać ją do domu. Oznaczało to, że nie było dla niego ucieczki od jej zachłannych ramion i ust.

Hrabia, który zajmował się wyłącznie własnymi sprawami, rzadko bywał w domu. Miał posiadłości w

północnych Włoszech i tam wolał spędzać większość swego czasu. Nicole nie ukrywała, że jedyne, co ich łączy to fakt, iż są katolikami i dlatego rozwód nie wchodzi w grę,

Ostatnią osobą, którą Wynstan spodziewał się i chciał spotkać w Sorrento, była Nicole. Nie zamierzał przyjmować jej natarczywego zaproszenia ani sam jej zapraszać do willi. Nie oznaczało to wcale, że Nicole sama siebie nie zaprosi!

Nic tak nie męczyło Wynstana jak kobiety, które nie potrafiły przyjąć do wiadomości, że nic nie znaczący flirt raz na zawsze się skończył. Wynstan westchnął ciężko na myśl, że będzie musiał postąpić stanowczo i jasno postawić sprawę, iż nie ma najmniejszego zamiaru dłużej spełniać wszystkich życzeń Nicole.

W przeszłości zdarzyło się kilka sytuacji, kiedy musiał być bezwzględny, jednak zwykle kobiety, które kochał, stawały się jego przyjaciółkami. Bardzo lubił ten właśnie rodzaj przyjaźni, która z czasem dojrzewała i przekształcała się w coś bardzo cennego.

Niestety wiedział, że Nicole nigdy się na to nie zgodzi, Postanowił, iż napisze do niej jutro rano i odmówi przyjścia na kolację, dając jej do zrozumienia, że ich romans jest już skończony.

Pomyślał też o Larinie.

Poproszenie jej, aby wyszła, ponieważ nie powinna spotkać jego przyjaciół, nie było zbyt uprzejme. Wiedział jednak, że Nicole zwróci się do niego, używając jego prawdziwego nazwiska i zmuszając go w ten sposób do zawitych tłumaczeń, na które zupełnie nie miał teraz ochoty.

Gdzieś na dnie jego umysłu wciąż kołatała się myśl, którą poddał Harvey, że Larinie chodzi o pieniądze. Niewątpliwie bardzo jej zależało na spotkaniu z Elvinem i, bez względu na to czy chciała by ją poślubił, czy tylko zabezpieczył finansowo, błędem byłoby wyjawic, ile mogłaby z niego

wyciągnąć. Z drugiej strony jednak myśl, że Larina jest zainteresowana pieniędzmi, wydawała się Wynstanowi nieprawdopodobna. Co prawda z rozmów z nią wywnioskował, że żyła z matką w trudnych warunkach.

Larina wyjaśniła, że doktor Heinrich przyjął matkę do swego ekskluzywnego sanatorium tylko dlatego, że pan Milton także był lekarzem.

Wynstan znał Londyn na tyle dobrze, by wiedzieć, że Eaton Terrace to bardzo nędzna dzielnica.

Jednocześnie nie chciał jej zranić, choć wiedział, że mogła czuć się urażona wysłaniem jej do ogrodu, a potem do sypialni, podczas gdy on spędzał miło czas z przyjaciółmi.

Kiedy wyjechali, Wynstan pomyślał, że może Larina poszła do świątyni.

Poszedł tam przez skąpany w srebrnym świetle księżyca ogród, którego kamienne ścieżki przeobraziły się w prześwitującą szarość. Księżyc nie tylko oświetlał świat dziwnym mistycznym pięknem, ale także zdawał się napawać go ciszą i spokojem. Wynstanowi zdawało się, że w ten sposób natura pragnie mu coś przekazać. Był to ten sam rodzaj spokoju, który Wynstan odczuł tuż po śmierci Elvina.

Stało się to pewnego ranka, kiedy bracia byli sami w pokoju. Wynstan przyszedł do brata, by z nim porozmawiać. Kiedy zamierzał wstać i wyjść, Elvin wyciągnął do niego swą wychudzoną dłoń.

- Zostań ze mną, Wynstanie.

- Ależ oczywiście.

Wynstan przysiadł koło niego na brzegu łóżka.

- Chcę, abyś był przy mnie. Ty zawsze mnie rozumiałeś.

- Staralem się - odpowiedział Wynstan. Wiedział, że te słowa nic nie znaczą. Trzymając

chłodną dłoń Elvina czuł, że brat umiera i że nic nie mógł na to poradzić. Nie próbował nawet nikogo wzywać.

Pielęgniarki właśnie wyszły, a doktor miał nadejść za parę minut. Zresztą wiedział z doświadczenia, że zawsze tam, gdzie chodziło o Elvina, była to strata czasu.

Elvin i Wynstan byli sobie zawsze bardzo bliscy, od najwcześniejszych lat często ze sobą przebywali. Teraz, ściskając zimną rękę Elvina, Wynstan wiedział, że zbliża się koniec.

Elvin leżał z zamkniętymi oczyma. Nagle otworzył je i rozbłysło w nich światło.

- To... cudowne... być... wolnym! - wyszeptał. - Powiedz... - Nie dokończył. Oczy się zamknęły, a palce rozluźniły uścisk.

Wynstan siedział nieruchomo. Przez chwilę wydawało mu się, że w pokoju coś się porusza, jakby trzepot skrzydeł. Po chwili znów zapanowała absolutna cisza, tak że mógł słyszeć bicie własnego serca.

Nie potrafił rozmawiać o tych ostatnich chwilach Elvina z nikim, nawet z matką.

Długo siedział na skraju łóżka. Myślał o Elvinie, którego nigdy już tu nie będzie. Ciało, które po sobie zostawił, przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Zebrał się na nadludzki wysiłek, by wstać i znów stawić czoło światu; by powiedzieć pielęgniarkom, że ich podopieczny nie potrzebuje już ich usług. Potem wyszedł z domu, by samotnie pospacerować po Central Parku.

Po powrocie powstrzymywał się, by nie opłakiwać Elvina. Nikt, kto go kochał, nie chciał, by Elvin żył w wiecznej męce, nękany chorobą, która nie pozwalała mu nawet swobodnie oddychać. Wynstan wiedział też, choć nikomu się z tego nie zwierzył, że tak naprawdę Elvin nie umarł.

Teraz, wchodząc do świątyni, Wynstan myślał o tym, jak bardzo Elvin zachwyciłby się pięknem światła księżycy i posągu Afrodyty. Wyglądała prawie jak żywa, kiedy tak stała

na swym cokole, z liliami u stóp i głową zwróconą w stronę morza.

Wynstan przypomniał sobie, że kiedy przyszedł do świątyni po przyjeździe, Larina stała w takiej samej pozie - z głową odwróconą od niego i płomieniami zachodzącego słońca we włosach. Pamiętał też niesamowite uczucie, kiedy przez chwilę zdawało mu się, że to sama Afrodyta.

Pomyślał teraz, że to wrażenie smukłej, dziewczęcej niewinności czyniło Larinę podobną do Afrodyty. A także, że kiedy jako chłopiec wpatrywał się w posąg bogini, zawsze zdawało mu się, iż jej oczy są szare, nos mały i prosty, a zaokrąglone usta nie mają w sobie zmysłowości, za to ogromną wrażliwość.

- Bogini miłości! - powiedział Wynstan głośno. Nagle odwrócił się i wrócił do willi.

Wszedł do salonu w nadziei, że Larina, słysząc, iż goście odjechali, zeszła tam. Lecz pokój był pusty. Poszedł więc do jej sypialni, by upewnić się, że jest tam i spokojnie leży w łóżku.

Głos jej drżał, gdy mu odpowiadała. Wynstan wytłumaczył sobie, że to dlatego, iż wyrwał ją ze snu.

Wracając do swojego pokoju, zastanawiał się, tak jak i przez cały dzień, cóż to była za tajemnica, którą Larina mogła wyjawiać tylko Elwinowi.

Czując, że poprzedniej nocy zmarnowała mnóstwo swego cennego czasu, położywszy się spać wcześniej i cała we łzach, Larina wstała bardzo rano. Właśnie świtało, kiedy odsłaniała kotary w sypialni. Postanowiła obejrzeć go ze świątyni, być może ostatni już raz.

Następnego dnia musiała przecież umrzeć. Nie miała pojęcia, czy nastąpi to wczesnym rankiem, czy też późnym wieczorem. Dlatego zdecydowała, że dziś nie może zmarnować ani chwili.

Spojrzała w lustro i stwierdziła, że musi zmyć ślady wczorajszych łez, inaczej Wynstan zacznie się dopytywać.

W świetle dnia Larina jasno zdała sobie sprawę, że jej zmartwienie jest częściowo spowodowane faktem, iż widziała Wynstana całującego Włoszkę i pomyślała, jak upokarzające byłoby, gdyby kiedyś domyślił się, co ją tak zdenerwowało.

On jest dużo bardziej spostrzegawczy, pomyślała Larina, niż sądziłam, że mężczyzna w ogóle może być.

Tak często, kiedy rozmawiali, Wynstan wiedział, co Larina ma zamiar powiedzieć, zanim ona się jeszcze odezwała. A kiedy nie potrafiła znaleźć słów na to, co chciała wyrazić, on zawsze robił to za nią. I zawsze dokładnie rozumiał, o co jej chodziło.

Kiedy skończyła się ubierać, poczuła, że bardzo, niemal fizycznie za nim tęskni. Tak mało czasu jej zostało, by z nim pobyć! Zaledwie dzień dzisiejszy i może jeszcze trochę jutra! Potem jej już nie będzie, a Wynstan wróci do Ameryki i nigdy już o niej nie pomyśli.

Ponieważ nocny płacz sprawił, że Larina była blada i miała podkrążone oczy, wybrała na dziś najbardziej kolorową suknię spośród tych, które kupiła u Petera Robinsona. Była to muślinowa sukienka w delikatne białe i różowe paseczki, ozdobiona wokół szyi i ramion białą broderie anglaise. Taki sam haft ozdobił też dwie falbanki u spódnicy. Wyglądała w tym stroju bardzo młodzieńczo, jak pączek róży. Lecz nie miała czasu, by poświęcić go na refleksję.

Włosy zaczesała gładko do tyłu, w stylu, który tak atrakcyjnie przedstawiał na rysunkach Charles Gibson.

Otworzyła drzwi od sypialni i na palcach zeszła na dół, nie chcąc obudzić Wynstana, który być może jeszcze spał. Wyszła z willi i skierowała się do świątyni.

Kiedy tam dotarła, świt właśnie rozkwitał w piękny poranek. Afrodyta nie błyszczała już srebrem księżyca, które

widział Wynstan poprzedniej nocy, lecz ciepłym blaskiem pierwszych promieni słońca, sprawiającym, że do złudzenia przypominała żywą kobietę.

Larina oparła się o balustradę i patrzyła, jak morze z wolna zmienia barwę z szarej na szmaragdową, a niebo - z błękitnej na purpurową. Ranek był tak cudowny, że aż zapierał dech. Przez moment poczuła, iż gdyby miała skrzydła, uleciałaby pod niebo, by pozdrowić boga Słońca, kiedy pojawi się nad horyzontem.

W myślach powtarzała ostatnie wersy wiersza Pindara:

Człowiek marą cienia.

Ale gdy z bogów łaski

Padnie nań sławy światło,

Wspaniały blask go oblewa

I słodkie czeka życie.

(Przekład Mieczysława Brożka)

- Wspaniały blask! - powtórzyła Larina i zapragnęła wyciągnąć doń ramiona. Poczuć, jak promienie ją obejmują, niczym ramiona Apolla. Apolla czy Wynstana?

Przez moment Larina nie potrafiła ich oddzielić. Byli jednością i pragnęła bliskości ich obu.

Larina właśnie kończyła śniadanie, kiedy dołączył do niej Wynstan.

- Dzień dobry! - uśmiechnął się. - Służący powiedzieli mi, że pani bardzo wczesnie wstała. Zawstydzila mnie pani!

- Dobrze pan spał?

- Gdybym chciał użyć wymówki, powiedziałbym, że czytałem do późna - odparł. - Znalazłem książkę, która, jak sądzę, zainteresuje panią. Opowiem o niej, jak będziemy na Ischii.

- Zostaniemy tam na obiad?

- Tak właśnie planowałem - odpowiedział Wynstan. - Ale ponieważ wstaliśmy wczesnie, myślę, że może, zamiast

trzymać się brzegu, moglibyśmy wypłynąć na zatokę. Chciała pani zobaczyć, jak szybko da się pływać tą motorówką. Ja też chciałbym to sprawdzić.

- To brzmi ekscytująco! - wykrzyknęła Larina. Wynstan odwrócił się do służącego.

- Czy mechanik przejrzał silnik?

- Si, signor, właśnie to robi.

- Świetnie! - powiedział Wynstan. - Chcę z nim porozmawiać.

Wstał od stołu i powiedział do Lariny:

- Proszę przyjść, jak będzie pani gotowa. Ale nie ma pośpiechu. Muszę jeszcze omówić parę spraw z mechanikiem.

Larina poszła po kapelusz. A kiedy była już w swojej sypialni zastanawiała się, czy na otwartym morzu będzie jej potrzebny płaszcz. Stwierdziła jednak, że już teraz jest dość ciepło i wygląda na to, iż dzień będzie upalny.

Włożyła kapelusz, przy którym zmieniła wstążki z zielonych na różowe, pasujące do sukni. Pewnie wiatr je rozwieje, kiedy będziemy szybko płynąć, pomyślała, ale przecież mogę włożyć kapelusz na drogę do nabrzeża.

Wiedziała, że bardzo jej ładnie w tym stroju. Gdy miała go na sobie wczoraj, kiedy spacerowali po Pompei, Wynstan patrzył na nią z niekłamanym podziwem. Natychmiast jednak pomyślała z lekkim biciem serca, że to niemożliwe, by Wynstan się nią zainteresował, ponieważ była blondynką, a kobieta, którą Wynstan wczoraj całował jest ciemnowłosa.

Jestem pewna, że blondyni wolą brunetki, pomyślała przygnębiona i postanowiła otrząsnąć się z tych myśli. Ale przynajmniej będę z nim dzisiaj cały dzień, pocieszyła się. A potem, czy to nie wszystko jedno, kto z nim będzie?

Nie chcąc tracić ani chwili dłużej, Larina wybiegła z sypialni po schodach do ogrodu. Schodząc do nabrzeża zauważyła, że pszczoły już uwijały się wśród kwiatów, a

motyle zdawały się bardziej kolorowe niż kiedykolwiek przedtem. W dole widziała Wynstana rozmawiającego z mechanikiem przy białej, błyszczącej motorówce kołyszącej się na wodzie.

Kiedy podeszła bliżej, Wynstan odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Wszystko gotowe - powiedział. - Zobaczymy, jakie rekordy szybkości możemy teraz bić!

- Naprawdę możemy pobić rekord?

- Spróbujemy - powiedział Wynstan. - Zresztą kiedy po powrocie powiemy, że osiągnęliśmy sto mil na godzinę i tak nikt nam nie uwierzy!

- Jestem pewna, że to i tak niemożliwe - uśmiechnęła się Larina.

Wyłynęli powoli z małej zatoczki i skierowali się na otwarte morze. Wynstan stał przy sterze. Larina zajęła miejsce tuż obok i oparła się o drewniany pulpit.

Kiedy znaleźli się na otwartym morzu, zdjęła kapelusz, schyliła się i odrzuciła go na dół do kabiny.

- Nie powinna się pani opalać - powiedział Wynstan.

- Dlaczego nie? - zdziwiła się Larina.

- Ponieważ kobiety powinny mieć jasną skórę - odparł - jak wyrzeźbione w marmurze boginie.

- Nie sądzę, by moja skóra szybko się opalała - powiedziała Larina. - Zresztą teraz nie ma słońca.

Rzeczywiście. Słońce, które weszło tak przepięknie o świcie, wydawało się zanikać. Niebo na horyzoncie było szare, a na północy pojawiło się kilka złowrogich chmur..

Na pewno wiatr je rozwieje, pocieszała się Larina. Dzisiaj szczególnie trudno by jej było znieść brak słońca.

Wynstan zwiększył prędkość do tego stopnia, iż Larina miała wrażenie, że prawie lecą nad wodą.

Z dala od. bezpiecznego brzegu morze był wzburzone i to o wiele bardziej niż wczoraj. Nagle silna fala rozbiła się o dziób pędzącej łodzi i prawie uniosła ją nad wodę.

Larina spojrzała za siebie. Byli daleko od brzegu, a góry wydawały się coraz wyższe.

Na tle nieba wyraźnie rysowała się sylwetka Wezuwiusza, z niewielkim słupem dymu unoszącym się nad nim jak duch. Przed sobą Larina widziała Neapol, a za nim małą wyspę Capri.

Płynęli dalej, aż wkrótce trudno było odróżnić z dala cokolwiek oprócz konturu gór.

Było coś radośnie podniecającego w fakcie, że jest się sam na sam z morzem, z dala od wszelkich istnień ludzkich.

Nagle silnik zawarczał i stanął.

- Do diabła! - wykrzyknął Wynstan.

- Co się stało? - zapytała Larina.

Zapanowała nagła, przejmująca cisza. Łódź leniwie kołysała się na falach.

- Nie wiem, muszę sprawdzić - odpowiedział Wynstan.

Zdjął jasny letni płaszcz i tak jak Larina wrzucił go do kabiny. Podwinął rękawy koszuli i otworzył drzwiczki w podłodze, by zajrzeć do silnika.

- Wie pan, co mogło się zepsuć? - spytała Larina.

- Domyślam się - odparł. - Lecz może to być kilka elementów. Gdybym miał więcej rozumu, zabrałbym mechanika z nami.

To by wszystko zepsuło! - pomyślała Larina.

Nie mogła tego powiedzieć Wynstanowi, ale było to bardzo podniecające być sam na sam z mężczyzną! Nigdy jeszcze tego nie doświadczyła. Wiedziała też, że nie powinna była tego robić. Żadna dobrze ułożona młoda kobieta nawet nie pomyślałaby o wyprawie motorówką czy jakimkolwiek nowoczesnym pojazdem, nie wiedząc, dokąd się ją zabiera.

Larina doskonale wiedziała, że takie zachowanie oburzyłoby nie tylko jej matkę, ale z pewnością wszystkich znajomych rodziców z okresu, gdy mieszkali w Sussex Gardens.

Przypomniła sobie damy, które były zapraszane przez jej matkę w umówione dni i te, które przychodziły do ojca po poradę.

Jadalnia służyła wtedy za poczekalnię. Larina podpatrywała czasem szykownie ubrane panie w sobolach i w kapeluszach ze strusimi piórami. Siadywały przy stoliku i przeglądały magazyny, które pokojówka wykladała co rano. Czasami unosił się za nimi zapach drogich perfum, a kiedy wchodziły do gabinetu ojca, Larina słyszała tylko szelest ich jedwabnych halek pod obszernymi spódnicami.

Tak, na pewno byłyby oburzone zachowaniem Lariny, ale, skoro i tak nigdy się o tym nie dowiedzą, po co w ogóle miałyby o nich myśleć.

Wynstan, który prawie zszedł na dolny pokład, wychylił się i powiedział:

- W szufladzie w kabinie znajdzie pani papiery. Proszę mi je podać. Powinien wśród nich być plan łodzi.

Larina zrobiła, o co ją poprosił. Kiedy znalazła papiery i wyłoniła się z kabiny, by podać je Wynstanowi, zauważyła, że pogoda znacznie się pogorszyła. Łódź kołysała się teraz bardzo gwałtownie na boki, od czasu do czasu fale rzucały ją do przodu. Larina z trudem utrzymywała się na nogach, w końcu musiała chwycić się czegoś, by nie upaść.

Wynstan siedział na podłodze i studiował plan łodzi.

- Mogę w czymś pomóc? - spytała Larina.

- Jeśli zna się pani na silnikach parafinowych... Larina spojrzała w stronę, skąd przyплыnęli. Nawet gór nie było już widać. Zasłoniła je gęsta szara mgła. Po pewnym czasie zorientowała się, że to deszcz.

Kilka chwil później poczuła pierwsze krople i usłyszała ich rozpryskiwanie się o pokład. Spadały też na papiery, które oglądał Wynstan.

- To jest bez sensu! - powiedział ze złością. - Myślałem, że wiem wszystko o silnikach!

Wziął jakieś narzędzie i znów prawie zniknął pod pokładem. Tylko jego nogi zostały na zewnątrz i Larina martwiła się, że Wynstan zmoknie.

Właśnie zastanawiała się, czy zejść do dolnej kabiny, kiedy silny, prawie rwący strumień deszczu wylał się na nią tak, że w kilka chwil była przemoczona do nitki. Co więcej, łódź kołysała się niebezpiecznie z boku na bok, tak iż Larina nie miała odwagi zrobić kroku ze strachu, że się przewróci i zrani.

Jedyne, co mogła zrobić, to usiąść na pokładzie. Strugi deszczu prawie biły ją po twarzy i ramionach okrytych tylko cienkim muślinem sukni.

Minęło dużo czasu, zanim Wynstan wyszedł z pomieszczenia, gdzie znajdował się silnik.

- Nie mogę znaleźć - powiedział zirytowanym głosem. - Myślałem, że to tłoki, ale sprawdziłem wszystkie.

Larina spojrzała na niego bezradnie poprzez deszcz.

- Dlaczego nie siedzi pani w kabinie? - spytał.

- Morze było tak wzburzone, że bałam się ruszyć.

- Pomogę pani.

- Ale po co? Już zmokłam, teraz już wszystko jedno!

Wynstan uśmiechnął się do niej.

- Boi się pani?

Larina potrząsnęła głową przecząco.

- Nie. Boję się tylko, że dostanę choroby morskiej.

- To już przynajmniej jedna dobra rzecz. Może powinniśmy zacząć je liczyć. Wygląda na to, że będziemy musieli spędzić tu sporo czasu.

Zebrał pozostałe narzędzia i raz jeszcze jego głowa zniknęła pod podłogą.

Larina siedziała spokojnie. Ulewa trochę się uspokoiła, ale silny wiatr sprawił, że morze wzburzyło się jeszcze bardziej. Fale rzucały łodzią w różne strony i co pewien czas rozbijały się o rufę, rozpryskując się wokół.

Po około dwóch godzinach Wynstan znów pojawił się na pokładzie i przewyciężając kołysanie motorówki, podszedł do steru, by spróbować uruchomić silnik. Przez chwilę nic się nie działo, a potem silnik zawarczał i zgasł.

To już było coś. Larina zachecona stanęła przy boku Wynstana.

- Myśli pan, że znalazł przyczynę awarii? - spytała.

- Mam nadzieję - brzmiała odpowiedź. - Kabel się zerwał. Naprawiłem go, ale boję się, że jest za słaby.

Znów spróbował zapalić. Tym razem silnik popracował kilka sekund, zanim znów zgasł.

Wynstan jeszcze raz zszedł pod pokład i po jakichś dziesięciu minutach wrócił. Tym razem silnik zapalił na dobre. Larinie wydawało się, że oboje wstrzymali oddech, wyczekująco, ale silnik pracował normalnie.

- Naprawił go pan! Naprawił pan! - wykrzykiwała Larina.

Wynstan odwrócił się do niej z uśmiechem. Stała bardzo blisko niego. Popatrzył na nią i uśmiechnął się jeszcze bardziej. Była zupełnie przemoczona. Suknia oblepiała jej ciało tak, że wyglądała, jakby nie miała na sobie nic. Widać było jej małe piersi i smukłą linię bioder. Wiatr rozwiał jej włosy, tak że sięgały jej aż do talii, okalając jej drobną twarz i wielkie szare oczy.

- Wygląda pani zupełnie jak Syrena, która kusila Odyseusza! - wykrzyknął Wynstan. Po czym objął ją i pocałował!

Przez moment Larina czuła dotyk jego zimnych warg, a potem wstrząsnęło nią coś dzikiego, ekstatycznego jak rozwidlona błyskawica.

Wiedziała, że to było to, za czym tęskniła, czego pragnęła! Nagle wargi Wynstana stały się gorące, twarde i pożądlive.

Zaledwie przez chwilę Wynstan obejmował ją i całował, lecz Larinie wydawało się, że cały świat należy do niej, a wszystkie gwiazdy spadły na nią z nieba. Było to tak cudowne i upajające, że aż niewiarygodne, iż mogło się wydarzyć.

Wreszcie Wynstan puścił ją i powiedział zmienionym głosem:

- Mówiłem, że jesteś Syreną, Larino! Schwycił ster i powoli obrócił łódź.

Larina stała obok nieruchomo. Nie była w stanie nic zrobić, potrafiła jedynie złapać się mocno pulpitu i starać się stać pewnie. Poczwała, że znów wstępuje w nią życie. Było to podobne do uczucia, pomyślała, które ogarnęło ją, gdy dowiedziała się, że jest częścią kwiatów i wody. Tak samo, a jednak o wiele wspanialej, bardziej ekstatycznie.

- Musimy płynąć wolno - powiedział Wynstan - inaczej silnik znów zgaśnie. Obawiam się, że podróż do domu zabierze nam dużo czasu.

„To nie ma znaczenia, nic nie ma znaczenia!” - chciała powiedzieć Larina, lecz głos uwiązł jej w krtani. Mogła tylko patrzeć na profil Wynstana, kiedy spoglądał do przodu, i czuć, że jej ciało wciąż drży od jego pocałunku.

Przez pewien czas Wynstan prowadził łódź w ciszy, polem powiedział:

- O czym pani myśli?

- O pewnym wierszu - odpowiedziała Larina zgodnie z prawdą.

- Powinny to być wersy napisane przez Sofoklesa, kiedy powiedział: „Wiele jest cudów, lecz żaden nie równa się

człowiekowi!" - Mówiąc to Wynstan roześmiał się lekko. - To o mnie! Zapewniam panią, iż był to prawdziwy cud, że zreperowałem ten silnik. Jeśli dopłyniemy cali i zdrowi, to będzie cud!

- A gdyby nie udało się go naprawić? - spytała Larina.

- Pewnie dryfowalibyśmy godzinami, może nawet kilka dni, zanim ktoś by nas odnalazł. Chyba że dopłynęlibyśmy do brzegu wpław.

Larina roześmiała się i spojrzała na oddalony brzeg wciąż okryty mgłą.

- Byłoby to możliwe tylko wtedy, gdybyśmy mogli dosięść delfinów!

- Oczywiście. Gdyby bogowie wiedzieli, jak się zachować, przysłałoby nam po delfinie! - odpowiedział beztrasko.

Larina nie odpowiedziała. Po chwili Wynstan zapytał:

- Ciekaw jestem, o jakim wierszu pani myślała?

- Pański jest bardziej odpowiedni! - odparła.

- Czekam na odpowiedź - powiedział Wynstan.

Cicho i nieśmiało, ledwie przebijając się przez warkot silnika, Larina wyrecytowała fragment, który zdawał się towarzyszyć jej w myślach od samego przyjazdu do willi:

Komu jednak los zdarzył świeże zwycięstwo,

Ten z radości i wielkiej nadziei

W górę na skrzydłach cnót się wzbija

(Przekład Mieczysława Brożka)

Mimo że fragment pochodził z ody do Apolla i było to błaganie o błogosławieństwo dla zwycięzców w igrzyskach pytyjskich, idealnie pasował do Wynstana.

Nikt nie mógł mieć w sobie więcej siły i witalności niż on w tej chwili. Mokra koszula uwypuklała jego szerokie ramiona i atletyczną linię ciała, a przemoczone spodnie podkreślały wąskie biodra. Larina była przekonana, że Wynstan był

niezwykle silny i w walce żaden przeciwnik nie miał z nim szans".

- Jeśli ma pani na myśli mnie - powiedział Wynstan z uśmiechem - opuściła pani kilka ważnych wersów.

- Które? - spytała Larina.

Radość ludzka w jednej chwili wzrasta,

Tak samo i na ziemię pada

Losem trącona odwróconym

(Przekład Mieczysława Brożka)

Wynstan roześmiał się.

- Innymi słowy: pycha jest matką upadku. Warto o tym pamiętać.

- Dlaczego miałyby pan upaść? - zapytała Larina. - Jestem pewna, że nigdy się to nie zdarzy.

- Mam nadzieję, że ma pani rację - powiedział Wynstan. - Lecz wielkim błędem jest być zbyt pewnymi siebie i myśleć, że jest się niezwyciężonym.

- Ja nigdy tak nie myślałam - rzekła Larina - ale pan to co innego. Pan zawsze da sobie radę, dla pana niemożliwe jest możliwe, pan potrafi zamienić klęskę w zwycięstwo.

- Teraz znów jest pani jak Syrena, która śpiewała Odyseuszowi. Być może najbardziej niebezpieczną rzeczą, którą kobieta może zrobić - powiedział Wynstan rozbawiony - to sprawić, by mężczyzna uwierzył, że jest, niezwyciężony i nieustraszony.

Popatrzył chwilę w wielkie oczy Lariny i dodał:

- Jest to także najlepsza rzecz. Bowiem większość mężczyzn potrzebuje kogoś, kto w nich wierzy, gdyż sami boją się sobie zaufać.

- Wierzę w pana - powiedziała Larina spontanicznie.

- W jakim sensie? - spytał.

- Myślę, że zawsze zdobędzie pan to, czego pragnie.

Wierzę też, iż to, czego pan pragnie, to coś naprawdę ważnego, co pomoże innym ludziom. - Nie była całkiem pewna, o czym mówi, lecz słowa same cisnęły się jej na usta.

Zapadła cisza. W końcu Wynstan powiedział:

- Dziękuję, Larino. Pomogła mi pani powziąć decyzję co do naprawdę ważnej dla mnie sprawy.

Nie rozmawiali więcej, ponieważ Wynstan koncentrował się na sterowaniu motorówką. Poza tym znów zaczął padać silny deszcz, który zmusił Larinę do opuszczenia głowy.

Poruszali się z prędkością zaledwie trzech węzłów, więc kiedy dotarli do mołu, było już późne popołudnie. Tutaj czekał na nich mechanik. Wynstan opowiedział, co im się przydarzyło.

Podczas gdy wykrzykiwał W przerażeniu, co się działo, Larina zaczęła wspinać się po schodach do willi. Mokra sukienka utrudniała marsz, więc Wynstan bez trudu ją dogonił.

- Potrzebuje pani gorącej kąpieli - powiedział stanowczo - lecz najpierw - coś do picia!

Wzbraniała się, lecz mimo to Wynstan zaprowadził ją do pokoju, w którym na stoliku czekała już taca z różnymi alkoholami. - Zniszczę dywan! - protestowała Larina.

- Lepsze to niż zapalenie płuc - odparł Wynstan. - Proszę to wypić - do dna!

Podał jej lampkę koniaku. Larina nie chciała robić przykrości Wynstanowi, więc wypiała. Poczowała, jak gorąca fala rozchodzi się po jej gardle.

Następnie poszła na górę, gdzie pokojowa przygotowywała kąpiel. Z ulgą zdjęła przemoczone ubranie i zanurzyła się w ciepłej wodzie. Leżała tak dość długo. Potem suszyła włosy, a po paru godzinach, ubrana w wieczorową suknię, zeszła na dół, znajdując Wynstana w pokoju, którego - jak się dowiedziała - używano tylko w zimie.

Rozpalono już ogień w kominku i teraz drewno płonęło jasno, oświetlając stół nakryty do posiłku. Wynstan wstał, gdy weszła do pokoju.

- Nawet jeśli pani nie jest głodna - ja bardzo! Larina uśmiechnęła się nieśmiało. Teraz, po powrocie do willi, trudno jej było nie myśleć o tym, jak ją całował. Myślała o tym leżąc w wannie i wciąż powtarzała sobie, że nie powinna przywiązywać do tego zbyt dużej wagi. To się stało, ponieważ był tak zadowolony, że naprawił silnik, iż chciał podzielić się z kimś radością.

Ona po prostu była najbliżej.

Było to dla niej wielkie przeżycie, lecz czuła, że dla niego znaczyło nie więcej niż uściskanie dziecka lub ukołtyśnięcie go do snu. Służba wniosła przepyszne dania i Larina stwierdziła, że właściwie jest bardzo głodna.

- Czy wie pani, że już jest po siódmej? - spytał Wynstan. - Od śniadania minęło dużo czasu: Na obiad nie ma już co liczyć, więc to chyba będzie nasza kolacja!

- Nic nie szkodzi - uśmiechnęła się Larina. - I tak nigdy nie jadłam tak dużo jak tutaj.

- Bardzo chciałem, żebyśmy zjedli obiad na Ischii - powiedział Wynstan. - Popłyniemy tam kiedy indziej. Jutro będziemy ostrożniejsi i popłyniemy tylko na Capri, trzy mile stąd. Nawet jeśli znów coś się stanie z silnikiem, będzie tam mnóstwo ludzi do pomocy.

- Nie boję się - powiedziała Larina.

- Czy chce pani, abym powiedział, jak wspaniale się pani zachowała? - spytał Wynstan. - Inna kobieta marudziłaby, narzekała albo bardzo by się przestraszyła.

- Byłam przestraszona tylko na początku, ponieważ obawiałam się, że mogę dostać choroby morskiej - przygnała się Larina - byłoby to bardzo żenujące.

- I mało romantyczne! - powiedział Wynstan. Pomyślała przez chwilę, że jego oczy spoczęły na jej ustach i zarumieniła się.

Wynstan nalegał, by wypić wino do kolacji, a potem jeszcze likier.

Następnie namówił ją, by położyła nogi na dużej wyściełanej aksamitem sofie, która stała na wprost kominka, i przykrył ją futrzanym pledem.

- Już nie jest mi zimno - powiedziała Larina.

- Wciąż się martwię, czy się pani nie przeziębiła - odparł.

- Klimat śródziemnomorski potrafi być czasem niebezpieczny i zdradliwy. Zmienia się tak szybko jak nastrój kobiety.

- Wszystkie jesteśmy takie kapryśne? - spytała Larina.

- Większość tak - odparł Wynstan - lecz to właśnie czyni was tak atrakcyjnymi. Gdyby wszystkie kobiety były takie same, mam przeczucie, że byłoby to bardzo nudne.

Larina uśmiechnęła się i ułożyła wygodnie na jedwabnych poduszkach.

- Jestem zbyt zmęczona, by bawić się w zmiany nastroju dla pańskiej przyjemności - powiedziała. - Ale jutro proszę mi przypomnieć, żebym choć raz zachowała się nieobliczalnie.

Larina rozmawiała beztrąsko, lecz kiedy mówiła o "jutrze", znów na jej twarzy pojawiła się niepewność. Czy będzie z nim jeszcze jutro, by móc zachować się nieobliczalnie albo w jakikolwiek inny sposób?

- Co panią martwi? - spytał Wynstan. - Skąd pan wie, że się martwię?

- Pani oczy mówią za panią. Nie spotkałem nigdy kobiety, której wyraz twarzy tak często się zmienia, a oczy są tak wyraziste..

Pochylił się do przodu w swoim krześle.

- Proszę mi powiedzieć, co panią dręczy, Larino - poprosił. - Wiem, że ma pani problem, i nie mogę znieść strachu w pani oczach.

Larina wahała się chwilę, a potem powiedziała:

- Powiem panu jutro wieczorem.

- Obiecuje pani?

- Obiecuje...

Larina pomyślała, że do jutrzejszego wieczoru wszystko się wyjaśni i nie będzie potrzeby nic mu mówić. Jutro wieczorem będzie wiedział!

Sofa była bardzo wygodna, kominek emanował miłym ciepłem, a likier sprawił, że Larina czuła się tak, jakby unosiła się na chmurze. Musiała chyba zasnąć, ponieważ obudziły ją słowa Wynstana:

- Jest pani zmęczona. Bardzo wcześnie pani dziś wsiadła i nic nie może być bardziej wyczerpujące niż to, co przeszliśmy dzisiejszego dnia, czas, by się pani położyła.

- Nie... chcę... zostać... tutaj - zaprotestowała Larina przez sen.

- Myślę, że powinna pani zrobić to, o co ją proszę - powiedział Wynstan. - Jeśli jest pani zbyt zmęczona, by iść, zaniosę panią.

Ściągnął z niej pled i wziął ją w ramiona, zanim mogła zaprotestować.

- Dlaczego nie mógłbym pani unieść „na skrzydłach cnót”? - spytał z uśmiechem.

Larina zaśmiała się i oparła głowę na jego ramieniu. Nie sądziła, że jego uścisk może dać jej tyle szczęścia.

Była tak lekka, że wejście po schodach do sypialni nie było dla Wynstana żadnym wysiłkiem. Nogą otworzył drzwi. Kiedy wszedł, zobaczył, że jej oczy są zamknięte i znów zasnęła na jego ramieniu. Delikatnie położył ją tu łożku.

Larina otworzyła oczy i zamruczała coś, jakby protestując przed utratą bezpiecznego schronienia w jego objęciach.

- Mam zawołać pokojówkę? - spytał Wynstan.

- Nie trzeba - odpowiedziała Larina z wysiłkiem. - Poradzę... sobie.

- Mam przeczucie, że kiedy tylko wyjdę, pani znów zaśnie. Chcę, żeby pani dobrze spała, Larino, dlatego odwrócę się, gdy będzie się pani rozbierać, i kiedy będzie pani już w łóżku, otulę panią.

Larina patrzyła na niego sennym wzrokiem, kiedy podnosił ją i wprawnymi ruchami rozpinał tył sukienki.

- Niech się pani pospieszy - powiedział rozbawiony. - Inaczej znajdę panią śpiącą na podłodze!

Mówiąc to podszedł do okna, odsłonił jedną z zasłon i popatrzył na morze.

Przestało padać, lecz niebo wciąż było zachmurzone. Nie było widać gwiazd ani księżyca.

Stał zapatrzony w błyszczące w oddali światła Neapolu, że usłyszał delikatny głos:

- Jestem... już w łóżku.

Wynstan odwrócił się i podszedł do łóżka ozdobionego muślinowymi drapowaniami. Włosy Lariny odcinały się złotem na tle białych poduszek. Miała na sobie muślinową koszulkę nocną z długimi rękawami obszytymi koronką, która zasłaniała jej dłonie. Kołnier - podobnie zdobiony - ciasno okalał jej szyję.

Wynstan podciągnął kołdrę pod jej szyję, pochylił się i delikatnie pocałował Larinę w usta.

- Dobranoc, Larino - powiedział czule.

- Dobranoc... Apollo... - wyszeptała Larina, a jej oczy zamknęły się, zanim powiedziała ostatnie słowo.

Wynstan długo stał i patrzył na Larinę, potem wyłączył światło i wyszedł z sypialni.

Rozdział 7

Larina obudziła się i zobaczyła, że pokojówka odsłania zasłony.

- Która godzina? - spytała sennie.

- Wpół do dziesiątej, signorina - odpowiedziała pokojówka. - Pomyślałam, że może pani zechce zjeść śniadanie.

- Śniadanie! - wykrzyknęła Larina, siadając na łóżku.

Była przerażona, że tak długo spała. Zamierzała wstać wcześniej rano, by po raz ostatni obejrzeć wschód słońca. Przez to, że spała, straciła cenne godziny jej ostatniego dnia. Była na siebie zła, a jednocześnie czuła niepohamowaną falę podniecenia na myśl, że znów zobaczy Wynstana.

Przypomniała sobie, że wczoraj zaniósł ją do łóżka i choć prawie już wtedy spała, była całkiem pewna, iż pocałował ją, zanim opuścił pokój.

Już samo wspomnienie ich pierwszego pocałunku - na łodzi - wywoływało w niej dreszcz ekstazy, jakiej nigdy nie zaznała, a nawet sobie nie wyobrażała, że może istnieć. Była wtedy przemoczona i zmarznięta, a jednak pocałunek Wynstana sprawił, że w tym momencie jej ciało rozgorzało. Dzień przestał być szary i deszczowy, cały świat rozbłysł jakby za dotknięciem boskich palców Apollina.

Tak właśnie chciałabym umrzeć, pomyślała Larina i przypomniała sobie fragment z Homera:

Rozjaśnij niebo i spraw, by ujrzały to nasze oczy. Ukaż się nam, choćbyśmy mieli za to stracić życie,

„Światło! Musze je odnaleźć, choćbym nawet miała stracić życie”, powiedziała do siebie Larina.

Pokojówka wniosła śniadanie na tacy, na której leżała biała róża. Pachniała przepięknie. Wąchając ją Larina pomyślała, że reszta jej życia powinna upłynąć w szczęściu.

Postanowiła nie dopuścić, by Wynstan dostrzegł jej strach. Spróbuje być wesoła, śmiać się, a kiedy nadejdzie ten moment, on będzie z nią i może nie będzie jej żal umierać, ponieważ nie będzie samotna.

Szybko zjadła śniadanie, a potem weszła po marmurowych schodach do wanny, w której pokojówka przygotowała ciepłą kąpiel.

Larina zastanawiała się, czy którykolwiek z poprzednich mieszkańców willi znalazł się w takiej sytuacji jak ona - czy wiedział, że jego życie się kończy i będzie musiał zejść z tego świata.

„Nie wolno mi o tym myśleć”, powiedziała do siebie Larina. „Nie chcę., by Wynstan dowiedział się, że coś mnie dręczy”.

. Było jej miło, że Wynstan troszczył się o nią. że chciał, by wyjawiała mu swą tajemnicę. Obiecała mu, że to zrobi, wiedząc, iż nie będzie musiała wyrazić tego słowami, że to, co się stanie, będzie mówić samo za siebie.

„Jak on zareaguje?” - zastanawiała się. „Czy będzie mu żal?”

Lecz zaraz pomyślała, że zachowuje się śmiesznie. Dlaczego miałby się nią przejąć, skoro zna ją tak krótko? Był czarujący i uprzejmy, ale taki po prostu miał styl bycia. I chociaż pocałował ją, całował też piękną włoską hrabinę.

- Którą suknie pani włoży, signorina? - spytała pokojówka.

Larina nie nosiła jeszcze tylko jednej sukienki, którą kupiła u Poireta - białej, ozdobionej misterną koronką i turkusowobłękitną wstążeczką, przepasanej w talii szarfą tego samego koloru. Uważała, iż jest to najładniejsza suknia dzienna, jaką kiedykolwiek widziała, i prawie instynktownie zostawiła ją na ostatni dzień.

Wyszczotkowała włosy aż do blasku, wówczas zaczesła je gładko do tyłu i ściągnęła w niski koczek.

- Signorina jest bardzo piękna, Bellisima!

- Dziękuję! - odpowiedziała Larina, czując, że te słowa, niewątpliwie szczerze, były właśnie tym, czego teraz potrzebowała.

Zeszła na dół i mimo że nie mogła się doczekać spotkania z Wynstanem, była lekko onieśmielona.

Znalazła go w salonie, siedział przy biurku i pisał list. Na widok Lariny wstał. Jego oczy były pełne podziwu.

- Wstyd mi, że tak długo spałam - powiedziała.

- Miała pani prawo być zmęczona.

- Co będziemy... dzisiaj... robić?

To pytanie było dla niej tak ważne, że z ledwością je wykrztusiła. Bała się, że Wynstan mógł w ostatniej chwili zmienić plany.

- Obiecałem, że zabiorę panią na Capri - odpowiedział Wynstan. - O ile nie obawia się pani zaufać jeszcze mojej niegrzecznej motorówce. Mechanik zapewnia, że możemy teraz pływać godzinami, ba, całymi dniami, bez obawy, iż znów się zepsuje.

- Nie boję się - odpowiedziała Larina. - Poza tym tak bardzo pragnęłam zobaczyć Capri.

- A więc spełnimy to życzenie - powiedział Wynstan - Jeśli jest pani gotowa, możemy płynąć już teraz.

Larina spojrzała na niego podniecona.

Zniosła z góry kapelusz. Kiedy wychodzili z holu, Wynstan zabrał ze stolika błękitny parasol przeciwsłoneczny.

- Należał do mojej bratowej - powiedział. - Myślę, że powinniśmy go dzisiaj zabrać. Na Capri może być bardzo gorąco, nawet jeśli znajdziemy ustronne miejsce w cieniu drzewek oliwnych.

Larina spojrzała na niego pytająco, więc wyjaśnił:

- Pomyślałem, że moglibyśmy urządzić dzisiaj piknik. Chcę płynąć na południe wyspy, gdzie, jak wiem, nie ma żadnych restauracji. Dlatego nasz kuchmistrz przygotował kosz z najlepszymi smakołykami, jakie moglibyśmy zjeść w tak pięknej okolicy.

- To znaczy ambrozię i nektar! - roześmiała się Larina.

- Naturalnie! - odparł Wynstan. - Cóż innego mogłoby smakować bogom?

Zeszli w dół do wybrzeża w towarzystwie służącego dźwigającego wiklinowy kosz. Przy łodzi czekał już mechanik. Zapewnił Wynstana, że wszystko jest w porządku i jakakolwiek awaria nie wchodzi w grę.

- Mam nadzieję, że ma pan rację. Dziękuję! - powiedział Wynstan płynnie po włosku.

Służący ulokował kosz na dole w kabinie.

Wynstan uruchomił silnik i ruszyli z zupełnie inną prędkością od tej, z którą dowlekli się do domu poprzedniego dnia. Morze było spokojne i absolutnie gładkie. Słońce oślepiająco złote i bardzo gorące.

Capri było oddalone tylko o trzy mile od przylądka Sorrento. Kiedy zostawili go już za sobą, Larina spojrzała do tyłu i pomyślała, jak mądrze postąpił Odyseusz wznosząc na skraju przylądka świątynię Ateny.

- Wiem, o czym pani myśli. - powiedział z uśmiechem Wynstan - ale kiedy Grecy przybyli na Capri, zastali tu bardzo wiele świątyń.

- Oczywiście - wyszeptała Larina.

- Kiedy Cezar August ujrzał Capri - ciągnął Wynstan - tak bardzo się wyspą zachwycił, że wykupił ją od władz miejskich Neapolu w zamian za Ischię. Larina siedziała zaszłuchana, a on mówił:

- Tyberiusz, który przyszedł po nim, wybudował dwanaście willi dla dwunastu bogów Olimpu.

- Czy którakolwiek z nich jeszcze istnieje? - spytała Larina.

- Jedna, w ruinach, przy której trwają prace wykopaliskowe - odparł Wynstan. - Można by ją obejrzeć, ale będzie nam za gorąco. Obawiam się, że będzie się pani musiała zadowolić pięknem krajobrazu wyspy.

A był on rzeczywiście cudowny.

Kiedy zbliżyli się, Larina zobaczyła wysokie góry, z dominującym wśród nich szczytem Salerno, które wydawały się prawie błękitne. Był to błękit mistyczny, zachwycający tak, iż czuła, że musi w jakiś sposób przynależeć do bogów.

Minęli główny port Marina Grande i płynęli teraz wzdłuż ostrych skał wybrzeża. Po drodze Wynstan pokazywał Larinie liczne grotty i proponował, by je kiedyś zwiedzili.

Podziwiając głęboki błękit morza i dolomitowe skały wznoszące się nieregularnie, pocięte korytarzami przez czas w fantastyczne kształty, dotarli wreszcie na południe wyspy. Wpłynęli do małej zatoczki uformowanej przez wystające z morza skały.

- To jest Marina Piccola. Tu zostawimy łódź i dalej będziemy się wspinać - powiedział Wynstan. - Niestety nie ma tu żadnego środka transportu ani nawet drogi. Mam nadzieję, że czuje się pani na siłach?

- Oczywiście! - odpowiedziała Larina.

- Tam w górze znajdują się ogrody Augusta - powiedział Wynstan. - Ale ostrzegam - zbocze jest strome!

- Nie boję się. Przycumowali łódź, Wynstan wziął kosz z jedzeniem i poszli przez małą plażę do ścieżki prowadzącej w górę. Ścieżka była wąska i kreta, lecz niezbyt uciążliwa. Mimo to Larina była zadowolona z parasola, jako że słońce prażyło prosto na ich głowy.

Kiedy wreszcie wspięli się na szczyt, ich oczom ukazała się bujna trawa, drzewa i obfitość wielobarwnych kwiatów.

- Myślę, że doszliśmy wystarczająco wysoko - oznajmił Wynstan.

Gdy to powiedział, Larina wydała okrzyk zachwytu na widok ruin jakiejś budowli. Trzymały się w nich jeszcze dwa łuki, niegdyś niewątpliwie stanowiące część budynku.

- Czy to jest willa Augusta? - spytała.

- Tak - odpowiedział Wynstan. - Może pani sobie wyobrazić, jak tu przyjeżdżał wypoczywać, planować rozwój swojego imperium, a może nawet knuć, jak zdobyć więcej pieniędzy i niewolników wśród narodów, które podbijał!

- Niech pan nie psuje uroku tego miejsca - powiedziała Larina błagalnie. - Chcę wyobrazać sobie, że ludzie na tej wyspie byli szczęśliwi.

Piękno wyspy przeszło wszelkie jej wyobrażenia. Intensywny błękit Morza Śródziemnego, który odbijał kolor nieba, potęgował jeszcze zieleń trawy i tęczowe barwy kwiatów.

Wynstan postawił kosz w cieniu pod drzewem i położył się na trawie, podpierając się na łokciu.

- Niech pani usiadzie tu przy mnie - powiedział do Lariny, która stała, patrząc w morze. - Wyobraźmy sobie, że jesteśmy Rzymianami lub, jeśli pani woli, Grekami. Zostawimy świat, a przynajmniej to, co ludzie światem zwa, i będziemy się cieszyć tym małym rajem.

Tak, to jest prawdziwy raj, pomyślała Larina.

Spełniła prośbę Wynstana i usiadła obok niego. Złożyła parasol i zdjęła kapelusz.

Wynstan przyglądał się jej, a po chwili powiedział:

- Pani jest chyba Greczynką! Czysta grecka uroda - mały prosty nosek i te włosy, w których mieszka słońce.

- Nie będę się rewanżować komplementem!

- Wczoraj wieczorem nazwała mnie pani Apollem. Larina zarumieniła się i spuściła wzrok.

- To było przez sen - odparła.
- Ależ ja nie mam pretensji - powiedział z uśmiechem Wynstan. - Gdybyśmy byli Grekami, nawet najbardziej zwyczajnymi ludźmi, i gdybyśmy urodzili się w odpowiednim czasie, moglibyśmy wyobrażać sobie, że jesteśmy istotami żyjącymi w łasce boskiego światła.
- Czy oni rzeczywiście tak myśleli? - spytała Larina.
- Ich zwycięstwo nad Persami w bitwie morskiej niedaleko wyspy Salaminy - odpowiedział Wynstan - do tego stopnia graniczyło z cudem, iż Grecy uwierzyli, że bogowie osobiście walczyli po ich stronie.
- Kiedy to było?
- Pewnego ciepłego, słonecznego dnia, całkiem takiego jak dzisiejszy - powiedział Wynstan - we wrześniu 480 roku przed Chrystusem.
- I potem byli już wolni, wolni od groźby dominacji Persów? - spytała Larina.
- Dokładnie tak! - odpowiedział Wynstan. - Przez następne pięćdziesiąt lat żyli, budowali świątynie, tworzyli rzeźby, uprawiali malarstwo, jakby byli naturalnymi dziećmi bogów.
- Dlaczego? - spytała Larina.
- Myślę, że ich cudowna siła - odparł powoli Wynstan - pochodziła stąd, że w jakiś sposób, który myśmy zapomnieli i stracili, byli złączeni z boską mocą, którą człowiek zwie „Bogiem” lub „Życiem”.
- Sądzi pan, że ta cudowna siła pojawia się wtedy, gdy jej potrzebujemy?
- Jestem tego pewny - odparł Wynstan. - Dzięki temu dwa pokolenia Greków zdołały podbić najodleglejsze zakątki ludzkiego ducha i w ten sposób stworzyć umysłowe imperium, które zmieniło sposób ludzkiego myślenia. Wpływ tego imperium sięga nawet współczesności.

- Naprawdę? - pytała Larina.

- Ponieważ wizyta bogów miała miejsce w Grecji - odpowiedział Wynstan - umysł człowieka pracował tu szybciej, oczy widziały dalej, a ciała posiadały nieobliczalną moc.

- A dzisiaj? - spytała Larina.

- Wciąż możemy odszukać to, co potrafili odnaleźć Grecy - jeśli dostatecznie mocno będziemy próbować.

Larina wstrzymała oddech.

- Chodzi panu o to, że zawsze możemy wykorzystać tę moc „boskiego światła”, że możemy je użyć nie tylko w życiu doczesnym, ale także stać się jego częścią po śmierci?

Mówiąc to Larina zdała sobie sprawę, że Wynstan rozwiązał cały jej smutek i odpowiedział na wszystkie dręczące ją pytania.

Przez chwilę panowała cisza, po czym Wynstan powiedział:

- Blake pisał: „Tam, gdzie inni widzą tylko świt budzący się w górach, ja dostrzegam radość Synów Bożych”.

Uśmiechnął się do Lariny i dodał;

- Grecy uważali się za synów bożych. Echo ich radosnych okrzyków dźwięczy poprzez wieki. My też możemy się tak radować!

- Tego właśnie pragnę - powiedziała Larina. - Zawsze tego pragnęłam, ale dopiero dzięki panu zdałam, sobie z tego sprawę.

- Tu, na Capri, wszystko staje się jaśniejsze, prostsze niż w jakimkolwiek innym miejscu poza Grecją - rzekł Wynstan.

Położył się na trawie i patrzył na korony drzew wysoko nad głową.

- Tutaj łatwo jest wierzyć - powiedział - z dala od zgiełku cywilizacji technicznej, od przytłaczającej wielkości drapaczy

chmur. Człowiek, wznosząc budowle, umniejsza znaczenie samego siebie!

- Rozumiem, co pan ma na myśli - powiedziała Larina.

Nie było potrzeby ubierać w słowa owego przejrzystego światła. Przezroczytobłękitny blask wokół wyspy był tak znakomity i jasny, że Larina czuła, iż mogłaby wzbić się do nieba albo wskoczyć do morza i stać się ich częścią. Tu, na Capri, umysł mógł unosić się swobodnie, wszelkie problemy i strach znikwały, było tylko piękno.

Larina i Wynstan nie rozmawiali, panował ten szczególny, intymny rodzaj ciszy, który sprawił, że Larina czuła się prawie tak, jakby Wynstan jej dotykał.

Wreszcie po długim czasie Wynstan odezwał się:

- Nie wiem, jak pani, ale ja jestem głody. Śniadanie jadłem dziś bardzo wcześnie.

- Tak, ja też chętnie coś zjem - powiedziała Larina. - Jestem zła na siebie, że zasnęłam..

- Nie szkodzi, nadrobimy to - powiedział Wynstan lekko.
- Może byśmy zerknęli, co dobrego mamy w koszyku?

Larina otworzyła kosz i roześmiała się.

- Tych dobroci wystarczyłoby dla całej armii! - wykrzyknęła.

- Przygotowywanie pikników to największa przyjemność Włochów - odparł Wynstan, otwierając butelkę wina o barwie promieni słońca. - Właściwie mogłoby być chłodniejsze - powiedział. - To, czego na Capri czasem brakuje, to woda. Ale i tak, o dziwo, a może dzięki boskiej opiece, winnice, gaje pomarańczowe i ogrody są zawsze urodzajne. Mówiono mi, że w całych Włoszech nie znajdzie się większej obfitości kwiatów i krzewów.

Nalał wino do kieliszków i podał jeden Larinie.

- Proszę pić powoli - powiedział - i wyobrażać sobie, że to nektar. Nawet jeśli bogowie pijali subtelniejsze trunki, myślę, że tego wina też nie musimy się wstydzić.

Larina wypła łyk.

- Wspaniale! - wykrzyknęła.

- Tak też myślałem - uśmiechnął się Wynstan. Larina rozłożyła na trawie wiktuały, które przygotował dla nich kuchmistrz.

Był tam pasztet rybny, lekki i delikatny, aż rozpływał się w ustach, i cieniutkie plastry szynki, i małe Neapolitan dolci, znane jako Sfogliatelle. Był to rodzaj pasztecików z lekkiego ciasta wypełnionego tak wybornymi i oryginalnymi składnikami, że aż trudno było odgadnąć, co zawierały.

Były też idealnie dojrzałe czarne oliwki, które Włosi dodawali do każdego posiłku, Crocchette di Patate, czyli krokiety - jak twierdził Wynstan - ulubiona potrawa neapolitańczyków, przyrządzane z ziemniaków z parmezanem, obtaczanych w tartej bułce i smażonych na oleju.

Oprócz tego było też wiele tutejszych serów, wśród których nie mogło zabraknąć owczego Pruola di pecora z okręgu Sorrento.

Wszystko było przepyszne.

Później Wynstan namówił Larinę na brzoskwinie w białym winie, którą sam dla niej obrał. Potem były jeszcze figi i orzechy, także specjalność Sorrento. A na koniec kawa, która - dzięki temu, że była w termosie - nie wystygła. Larinie jednak nie smakowała tak bardzo jak Wynstanowi.

- O, teraz to zupełnie co innego! - wykrzyknął Wynstan.

- Znacznie lepiej! - zgodziła się Larina. - Problem tylko w tym, że czuję się ociężała i nawet w połowie nie tak skora do zwiedzania jak przed posiłkiem!

Spakowała resztki jedzenia, sztucce i kieliszki i spojrzała niepewnie na Wynstana, który znów ułożył się na trawie.

- Czuję, że powinniśmy zacząć zwiedzanie natychmiast i obejrzeć resztę wyspy - powiedziała niepewnie.

- Jest za gorąco - odparł. - Żaden rozsądny Włoch nie spieszy się do niczego o tej porze dnia. Pani też może się na chwilę położyć, Larino. Sjesta jest równie dobra dla duszy jak i dla ciała.

Larinie nie chciało się wędrować samej, więc zrobiła to, co zaproponował. Leżąc wyciągnięta na miękkiej trawie, czuła woń kwiatów, zapach świeżości. Miała wrażenie, że wszystko dokoła jest młode i nietknięte.

- Tak lepiej! - powiedział Wynstan z zadowoleniem. - Nie lubię zabieganych kobiet!

- Czy ja taka jestem?

- Nie. Ma pani w sobie pogodę, która mi się podoba i której zazdroszczę.

- Tak jak ja zazdroszczę panu.

- Jak to możliwe? - Mówiąc to Wynstan wsparł się na łokciu i popatrzył na Larinę. Na tle gałęzi, przez które przeświecały promienie słońca, wyraźnie rysował się jego profil otoczony słoneczną aureolą.

- Zazdroszczę panu tego, że ma pan tyle pewności siebie. Jestem przekonana, iż dużo więcej pan zdoła w życiu niż ja.

Wynstan słuchał w milczeniu.

Wtedy Larina zdała sobie sprawę, że cały czas ją obserwował. Jego spojrzenie onieśmieliło ją. Nagle powiedział:

- Pani jest cudowna! Cudowniejsza niż wszystkie kobiety, które znałem!

W tym momencie usta Wynstana znalazły jej usta, a Larinie zdawało się, jakby zstąpił do niej z nieba i wziął ją we władanie.

Przez chwilę Wynstan całował jej miękkie usta delikatnie, potem bardziej namiętnie, bardziej pożądlawie; Larina poczuła dreszcz ekstazy, którego doznała już przedtem, lecz nie był tak intensywny, tak boski jak teraz. Jakby światło ogarnęło jej całą istotę, napelniając ją przedziwnym, cudownym blaskiem, którego nie sposób opisać słowami.

Larina czuła się tak, jakby całe piękno otaczającego świata zawierało się w uczuciu, które dawał jej Wynstan. Błękit morza i nieba, tajemniczość wyspy, kwiaty i każdy listek na drzewie były częścią cudu, dziejącego się pomiędzy nimi.

Nie istniało dla niej w całym świecie nic oprócz Wynstana, który wypełniał wszechświat i sprawiał, że jestestwo Lariny przestało istnieć.

W końcu Wynstan uniósł nieco głowę i wyszeptał:

- Nie mogę ci się oprzeć, kochanie! Usidliłaś mnie już w chwili, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy w świątyni i pomyślałem, że jesteś Afrodytą!

- A ja... myślałam, że... jesteś... Apollem - szepnęła Larina.

Z trudem wykrztusiła tych kilka słów. Całe jej ciało drżało od ekstazy, w którą wprowadził ją pocałunek.

- Czego więcej możemy oboje pragnąć? - spytał Wynstan.

I znów ją pocałował. Całował jej usta, oczy, czoło, mały zgrabny nosek, policzki, nawet uszy, i znów usta.

Dla Lariny nie liczył się czas, nie liczyło się nic. Istniało tylko wszechogarniające, oszalamiające szczęście, które odbierało jej zdolność myślenia.

Potem Wynstan rozluźnił jej kokardę pod szyją i całował miękkie zaokrąglenie jej karku.

Larina zadrżała ponownie od wrażenia, jakiego nie znała. Oddychała szybko, a jej powieki stały się ciężkie, choć wcale nie była senna...

Jak ludzka istota może być tak piękna? - pytał Wynstan długi czas potem, wodząc palcem po jej czole, nieskazitelnie prostym nosie, ustach i brodzie.

- Twoja twarz jest skończenie piękna! - kontynuował. - Kiedy cię ujrzałem, zdałem sobie sprawę, że wyobrażałem sobie ciebie zawsze, gdy patrzyłem na posąg Afrodyty w świątyni.

- A ja wtedy cały dzień myślałam o Apollu - powiedziała Larina. - O zachodzie słońca myślałam, że to Apollo przenosi światło na drugą stronę świata i zostawia mnie w ciemności. Odwróciłam się i ujrzałam ciebie!

- Gdybym wtedy posłuchał głosu serca - rzekł Wynstan - powinienem był wziąć cię w ramiona. Niepotrzebne byłyby żadne wyjaśnienia, nie musielibyśmy się poznawać. Oboje już wtedy wiedzieliśmy!

I znów obsypał ją pocałunkami. Całował ją tak długo, aż Larina próbowała wyrwać się z uścisku. Ogarnęło ją dziwne, prawie bolesne uczucie, którego nie rozumiała.

- Kocham cię! Kocham cię! - powtarzał Wynstan. - Szukałem ciebie całe życie. Każda piękna kobieta, którą znałem, rozczarowywała mnie, bo to nie byłaś ty!

Pocałował jej małą bródkę i kąciki ust i mówił dalej:

- Zawsze mi czegoś brakowało, czegoś, czego nie potrafiłem nazwać, a za czym tęskniło moje serce.

- To dlatego nie ożeniłeś się? - spytała Larina. Nawet gdy wymawiała to słowo, czuła, jak gdyby wrzucała kamień do wody, a fale rozpryskiwały się i burzyły gładką toń wody. Zapanowała cisza, a potem Wynstan powiedział:

- Nigdy nie prosiłem kobiety, by mnie poślubiła. Do dzisiaj. Wiem, że masz tajemnice, Larino. Obiecałaś zdradzić mi je dziś wieczorem. Nieważne, co to za sekrety. Cokolwiek zrobiłaś i cokolwiek przede mną ukrywasz, nie ma to znaczenia. - Objął ją mocniej. - Nasze duchy odnalazły się.

Jesteś wszystkim, do czego tęskniło moje serce i tylko to się teraz liczy.

Znów się pochylił i całował ją bardziej namiętnie, bardziej gorąco niż poprzednio. Całował ją tak długo aż poczuła, że ziemia się pod nią rozstępuje, a niebo wiruje jej nad głową.

Obsypywał ją pocałunkami dotąd, aż oboje nie mogli oddychać, a Larina czuła, że całe jej ciało promienieje niezwykle światłem.

- Kocham cię! Kocham cię! - powtarzał.

A ona usłyszała swój głos, nieśmiały i drżący od niewytłumaczalnej radości, który odpowiedział:

- Kocham... cię! Ach, Apollo..., kocham... cię! Wynstan wciąż ją całował, jego wargi błędziły po jej szyi, wywołując niezwykle doznania.

Nagle Larina pomyślała, że tak właśnie powinna umrzeć, blisko Wynstana, kiedy będzie należeć do niego, a on do niej. W jego ramionach nie czułaby strachu ani cierpienia.

- Kocham cię! - powtórzył Wynstan.

- Będiesz mnie kochał... do końca - wyszeptała Larina. - Kiedy mężczyzny kocha kobietę... sprawia, że ona... należy do niego... Chcę należeć do ciebie... chcę być... twoja!

Nagle zamilkła, gdyż zorientowała się, że Wynstan znieruchomiał. Jego ciało zamarło i Larina zdała sobie sprawę w tym momencie, że popełniła błąd! Wzniosła między nimi barierę i zachciało jej się płakać i krzyczeć z rozpacz.

Wynstan powoli usiadł, bez słowa wstał i odszedł kilka kroków, by popatrzeć na morze.

Larina także usiadła. Popełniła błąd, przez który straciła Wynstana. Czuła niewypowiedzianą udrekę i ból, jakby ktoś zagłębił nóż w jej sercu.

Wynstan bardzo długo patrzył w morze. Tak przynajmniej zdawało się Larinie, która w bezruchu obserwowała go uważnie, a jednocześnie z przerażeniem.

W końcu Wynstan westchnął ciężko, jakby z głębi swej duszy.

- Powinniśmy chyba wracać - powiedział. - Musimy jeszcze omówić wiele spraw, a nie chcę trzymać cię tu w ciemności.

Larina chciała zaprotestować! Pragnęła podbiec do niego i wytłumaczyć, że nie to miała na myśli, chciała poprosić, by jeszcze raz ją pocałował, chciała poczuć jego bliskość i ciepło, lecz słowa w żaden sposób nie przechodziły jej przez usta. Nie była w stanie uczynić nic innego, jak tylko podnieść kapelusz i parasol.

Wynstan poszedł po kosz z jedzeniem.

Nie patrząc w jego stronę, Larina zaczęła schodzić w dół w kierunku Mariny. Idąc, wyraźnie słyszała odgłos jego kroków za sobą. Słońce przestało już grzać tak mocno jak w południe i Larina zorientowała się, że zrobiło się późno. Krajobraz nie stracił jednak swej przejrzystej świetlistości.

Siedząc już w łodzi, Larina zauważyła, że góry nad skalistym wybrzeżem były jeszcze bardziej błękitne niż przedtem. Wynstan prowadził motorówkę szybko, lecz w trakcie okrążania wyspy Larina miała dużo czasu na zastanowienie się, w jaki sposób mogłaby mu wyjaśnić, jak sprawić, by zrozumiał, co naprawdę oznaczały jej nieszczęsne słowa.

Być może, nim dopłyniemy do willi, ja już umrę, pomyślała.

Lecz wszystko w niej buntowało się na myśl, że będzie musiała umrzeć bez pocałunku Wynstana, bez objęć jego ramion.

Bardzo trudno było mówić o intymnych sprawach, przekrzykując warkot silnika, a z drugiej strony Larina obawiała się, że każda mijająca sekunda mogła spowodować,

iz będzie za późno na wyjaśnienie, za późno, by Wynstan mógł zrozumieć. .

Okrążyli południowy kraniec wyspy i kiedy Larina myślała, że popłyną prosto do Sorrento, Wynstan odwrócił się do niej z uśmiechem i powiedział:

- Nie wypiliśmy naszej angielskiej herbatki. A może przed ostatnim etapem naszej podróży zatrzymalibyśmy się w Marina Grande i zjedli trochę ostryg? Co ty na to?

Ponieważ znów rozmawiał z nią życzliwie i uśmiechał się, Larina gotowa była zgodzić się na wszystko.

- To byłoby... cudowne! - wykrzyknęła.

- Mają tam małże i wielkie krewetki, które na pewno ci zasmakują, jeśli jeszcze ich nie próbowałaś - powiedział zachęcająco.

Czuła, że Wynstan celowo odsunął w niepamięć to, co go zaniepokoiło, a może i zakłopotало. Znów był miły i czarujący dla niej jak na początku rejsu.

Chociaż Larina tęskniła za tą głęboką nutą, która brzmiała w jego głosie, kiedy wyznawał jej miłość, choć pragnęła znów ujrzeć wyraz jego oczu, który dowodził, że mówił prawdę, w tej chwili jednak była całkiem zadowolona. W każdym razie Wynstan znów chciał z nią rozmawiać i nie wyglądał już na zagniewanego.

„Jak mogłam sugerować coś tak... nieskromnego... tak..., niepoprawnego... i podłego?" - wyrzucała sobie w myślach.

Była to po prostu chwila desperacji, ponieważ wiedziała, że zostało jej zaledwie kilka godzin, może nawet sekund, a kochała Wynstana całym sercem i duszą. Jej miłość była silniejsza niż nadzieja na wieczność. Nie liczyło się nic oprócz niego! W całym świecie nie istniało nic poza jego ustami!

On to zrozumie... dopiero kiedy ja... umrę! - pomyślała przygnębiona.

Popatrzyła na niego, na jego profil, i pomyślała, że jest doskonały. Nawet jeśli Wynstan gniewałby się na nią, ona jeszcze bardziej by go kochała.

Dotarli do Marina Grande. Wynstan wpłynął do portu i motorówka przybiła do molo. Promienie słońca oświetlały białe budynki na brzegu i nadawały im purpurowozłotą barwę. Za nimi zielone góry o skalistych szczytach także błyszcząły płomiennym blaskiem, który odbijał się w morzu.

- Powiem ci, co zrobię - rzekł Wynstan. - Pójdę i przyniosę trochę ostryg i innych smakołyków do zjedzenia tutaj, a ty nakryj stół w kabinie.

- Oczywiście - zgodziła się Larina, zadowolona, że będzie mogła zająć czymś myśli.

Tuż przed odejściem Wynstana spytała:

- Ale to... nie potrwa... długo?

- Nie - odparł. - Restauracja jest tu niedaleko. Za kilka minut będę z powrotem.

Na nabrzeżu pełno było małych chłopców chętnych do pomocy przy cumowaniu łodzi. Patrzyli na - motorówkę zachwyceni, wskazywali palcami na ster i silnik, rozmawiali z ożywieniem.

Larina zeszła do kabiny. Znalazła tam obrus w wesołą białą - czerwoną kratkę, którym nakryła stół. W tej samej szufladzie były też noże, widelce i kieliszki, które porozkładała, podczas gdy jej umysł zajęty był Wynstanem.

Przejrzała się w lustrze, przygładziła włosy i poprawiła małą muślinową kokardę, którą rozwiązał Wynstan, a którą pośpiesznie zawiązała drżącymi palcami, zanim zaczęli schodzić do łodzi. W lustrze Larina zauważyła, że jest bardzo blada, a jej duże szare oczy wydają się przez to jeszcze większe.

„Och, Boże!... spraw, by on... zrozumiał", modliła się. „Kocham go! Tak bardzo go kocham! Spraw, żeby zrozumiał i... kochał mnie jeszcze, zanim... umrę!"

Wynstan stwierdził z zadowoleniem, że restauracja, którą zapamiętał podczas pierwszej wizyty w Sorrento, wciąż istnieje. Słyszeła ze wspaniałych dań rybnych, w szczególności z owoców morza - ostryg i małży.

Przed wejściem stały pojemniki z wodą, w których pływały ryby. Jako dziecko Wynstan uwielbiał wskazywać, co chce zjeść, i patrzeć, jak kelner wyławia rybę małą siecią.

Wynstan wszedł i zamówił homara arogosta, który, świeżo ugotowany, leżał na zielonej sałacie, garnirowany krewetkami.

- Powinien pan spróbować naszej Zuppa di cozze, signor - zaproponował właściciel restauracji.

Była to zupa z małży, o której Wynstan wiedział, że była specjalnością tego lokalu.

- Długo będę musiał czekać? - spytał.

- Pięć minut, signor. Należę ją do termosu, tak że będzie ją można zanieść do łodzi. Mam nadzieję, że przyniesie pan termos z powrotem.

- Oczywiście, że odniosę - zapewnił Wynstan. - A zatem wezmę Zuppa di cozze i dwa tuziny ostryg Ostriche. Proszę je otworzyć, a ja tymczasem zaniosę homara i wino do łodzi.

Czekał na właśnie pakowany wiklinowy koszyk z jedzeniem, kiedy usłyszał dobrze znany głos:

- Wynstan! Co ty tu robisz? To była Nicole, jak zwykle w towarzystwie mężczyzn i wyglądająca bardzo atrakcyjnie.

- Jak widzisz - odparł Wynstan - robię zakupy.

- Brzmi to bardzo swojsko - uśmiechnęła się. - Nie będę zadawać kłopotliwych pytań, dobrze wiem, że nie jesteś w stanie zjeść tego wszystkiego sam.

- Witaj, Wynstanie - odezwał się jeden z jej towarzyszy.

Wynstan podał mu rękę.

- Witaj, Chuck - powiedział. - Nie widziałem cię całe wieki.

- Przyjechałem dziś rano. Nicole powiedziała mi, że tu jesteś. Mam nadzieję, że moglibyśmy się spotkać i porozmawiać o dawnych czasach.

- Myślę, że moglibyśmy - odpowiedział Wynstan automatycznie.

- A przy okazji - powiedział Chuck. - Przykro mi z powodu twojego brata, ale on naprawdę nie miał zbyt dużej szansy wygrać z Rooseveltem. .

- Znowu wybrali Roosevelta? - spytał Wynstan, - Spodziewałem się tego.

- Tak, wrócił do Białego Domu - powiedział Chuck. - Jeśli chcesz o tym poczytać, przywiozłem z Rzymu wczorajszą gazetę.

- Dziękuję - powiedział Wynstan.

- Daj spokój, Chuck - wtrąciła się Nicole. - Wiesz, że mamy dziś gości na kolacji i jeśli się nie pośpieszysz, spóźnimy się.

Przerwała i po chwili zwróciła się do Wynstana:

- Dołącz do nas, jeśli masz ochotę. Wiesz, że chcę się z tobą zobaczyć.

- Obawiam się, że byłbym za późno - odparł Wynstan. Pomyślał, że Nicole na pewno dostała jego list i zareagowała nań całkiem rozsądnie.

- Proszę, oto gazeta - Chuck wręczył Wynstanowi gazetę i pobiegł za Nicole, która odeszła już w stronę molo razem z dwoma pozostałymi mężczyznami.

Wynstan zebrał resztę zakupów, lecz zaczekał, aż odpłyną swoją motorówką. Nie była to łódź tak nowoczesna jak jego własna i wymagała dwóch osób do obsługi.

Dopiero kiedy zniknęli, ruszył w kierunku „Napiera”. Gdy wszedł na pokład, zobaczył Larinę uśmiechającą się do niego z kabiny.

- Na razie mamy pierwsze danie - powiedział, wręczając jej koszyk. - Muszę jeszcze wrócić po resztę. Zamówiłem coś, co myślę, będzie ci smakować.

- Brzmi to wspaniale! - odpowiedziała Larina.

- Na pewno zasmakuje ci Zuppa di cozze - zapewnił Wynstan. - To nie potrwa długo. - I znowu poszedł do restauracji.

Larina wniosła koszyk do kabiny i postawiła na jednej z koi. Zauważyła na wierzchu gazetę, więc położyła ją na stole. Potem wyjęła homara i pomyślała, że pięknie go przyrządzono. W koszu znalazła też dwie butelki wina, świeże bułki i nawet porcelanową miseczkę z masłem!

Gdy spojrzała na homara, uświadomiła sobie, że właściwie wcale nie jest głodna. Od chwili, kiedy zdenerwowała Wynstana, czuła dziwny ścisk w gardle i coś jakby kamień w piersiach.

Ponieważ nie mogła nawet przez chwilę znieść myśli, jak bardzo głupio i nietaktownie się zachowała, zajrzała do gazety. Był to jakiś amerykański dziennik, drukowany w Rzymie, ale po angielsku.

ROOSEVELT ZNOWU PREZYDENTEM

Przeczytała nagłówek i zastanowiła się, czy Wynstan interesuje się polityką. Nigdy o tym nie wspominał, lecz z drugiej strony, gdyby w Anglii odbywały się wybory powszechne, ludzie nie mówiliby o niczym innym.

Spojrzała na artykuł na dole strony i nagle wydała z siebie przeraźliwy okrzyk, podobny do jęku zranionego zwierzęcia. Zdawał się on rozbrzmiewać echem po całej kabinie.

Nagle gwałtownie rzuciła gazetę na podłogę, wspięła się z łodzi na molo - zaczęła biec jak szalona przed siebie!

Wynstan musiał poczekać na Zuppa di cozze dłużej, niż się spodziewał.

- Zaraz będzie, signor - za chwileczkę - zapewniał go właściciel.

Ostrygi czekały już otwarte i zgrabnie ułożone na tacy, tak by łatwo było je przenieść. W końcu przyniesiono z kuchni Zuppa di cozze i właściciel zadysponował, by kelner zaniósł ją do łodzi. Mężczyźni ruszyli w kierunku molo.

Słońce stało już nisko na horyzoncie i zapowiadało, że wkrótce zapadnie zmierzch, a wraz z nim pojawią się pierwsze gwiazdy. Wynstan spojrzął w niebo i przypomniał sobie, że dziś ma być pełnia, więc bez trudu odnajdą drogę do Sorrento.

Porozmawia z Lariną i nie będzie już między nimi żadnych tajemnic. Nie będzie dłużej lękał się, co też ona ma mu do powiedzenia.

Wiedział, że ją zranił. Nie powinien był najpierw wprowadzać jej i siebie w stan nieziemskiej ekstazy, by zaraz potem sprowadzić ją na ziemię. Stało się tak, gdyż nie potrafił przestać myśleć o Elvinie, a raczej o związanej z nim tajemnicy.

Musiał ją poznać! Musiał usłyszeć o tym, co tak martwiło i trwożyło Larinę od chwili, kiedy ją poznał, i co sprawiło, że wysłała na drugą stronę oceanu tak dramatyczną depeszę.

Wreszcie Wynstan i kelner doszli do motorówki. Lariny nie było w okolicy, więc Wynstan pomyślał, że być może położyła się na koi wewnątrz.

Postawił tacę z ostrygami na płaskim dachu kabiny, wziął zupę od kelnera i dał mu napiwek.

- Grazie, signor - podziękował kelner i popędził z powrotem do restauracji.

- Już jestem, Larino! - zawołał Wynstan. - Możemy zaczynać naszą ucztę! - Mówiąc to pochylił się i zszedł do kabiny, by postawić na stole termos z zupą.

Ku jego najwyższemu zdziwieniu, Lariny tu nie było! Pewnie poszła się przejść, pomyślał. Zdjął tacę z ostrygami z dachu, postawił na stole i ponownie wyszedł na zewnątrz.

Lariny nie było na molo, co go zdziwiło, ponieważ gdyby szła w stronę portu, na pewno by ją zobaczył.

Wyskoczył z łodzi i zaczął powoli iść z powrotem drogą, którą przyszedł z restauracji. Gdzie też ona może być - zastanawiał się.

Na brzegu nie było żadnych sklepów, które mogłyby zainteresować kobietę. Słońce już prawie zaszło, nadając cienistym miejscom purpurowy poblask.

Wynstan doszedł na nabrzeże i rozejrzał się dokoła.

Restauracja i kawiarnie były już jasno oświetlone, lecz nie było w nich jeszcze zbyt dużo ludzi. Mali chłopcy też poszli do domu na kolację. Kilku rybaków przygotowywało łodzie na rano, lecz poza tym było bardzo cicho.

Wynstan pomyślał, że Larina na pewno jest na końcu molo, lecz po prostu jej nie zauważył. Zawrócił do motorówki. W kabinie zastał wszystko tak, jak zostawił. Lariny wciąż nie było.

Zastanawiał się, dokąd, do diabła, mogła pójść. Mimo tego, co powiedziała wczoraj, nigdy nie zdarzyło jej się być nieobliczalną, wręcz przeciwnie - zawsze była spokojna i zgodna. To właśnie tak bardzo różniło ją od wszystkich kobiet, które znał.

Pomyślał, że Larina na pewno niedługo wróci i że może już otworzyć wino. Znalazł korkociąg, otworzył butelkę i posmakował wino. Było dobre, choć nie mogło równać się z tym, które pili w willi. Tam większość win pochodziła jeszcze z czasów dziadka i była wyjątkowa.

Wyszedł z kabiny i stanął na przodzie łodzi. Trudno było dostrzec coś w gęstniejącym mroku, lecz Lariny wciąż nigdzie

nie było. Miała na sobie białą sukienkę i Wynstan wiedział, że dzięki temu zauważyłby ją już z daleka.

Zakłopotany, zszedł z powrotem do kabiny. W tym momencie jego wzrok padł na leżącą na podłodze gazetę. Sposób, w jaki była złożona i rzucona świadczył o tym, że Larina musiała ją czytać.

Wynstan podniósł ją i odczytał nagłówek.

ROOSEVELT ZNOWU PREZYDENTEM

Mało prawdopodobne, by właśnie to ją zdenerwowało, pomyślał, chyba że w artykule było coś szczególnego.

Szybko przeczytał tekst. Mówił o tym, że Harvey zdobył pewną liczbę głosów, lecz niewystarczającą do zwycięstwa. Nie było w tym nic, co mogło zaniepokoić Larinę ani też naprowadzić ją na ślad związku Wynstana z wyborami.

Po chwili zauważył małą notatkę na dole strony, opatrzoną nagłówkiem LONDYN. Przeczytał ją automatycznie, nie bardzo uświadamiając sobie, co robi.

SZALONY MEDYK WCIELA SIĘ W KRÓLEWSKIEGO KONSULTANTA

Udręka dla fałszywie skazanych na śmierć.

George Robson, wykreślony w zeszłym roku z Rejestru Lekarzy za nieprofesjonalne praktyki, został dziś aresztowany w Londynie i oskarżony o podszywanie się pod osobę sir Johna Coleridge'a, konsultanta rodziny królewskiej. Sir John, który wyjechał na urlop za granicę, zostawił swój dom przy Wimpole Street pod opieką zaufanego człowieka. George Robson, który żywił szczególną urazę do sir Johna, ponieważ ten zasiadał w Zarządzie Brytyjskiego Stowarzyszenia Lekarzy, które skazało go w 1899 roku na wykreślenie z rejestru, dostał się do domu przy Wimpole Street 55. Uwięził opiekuna w piwnicach, gdzie później udusił go. Następnie w przywłaszczonych odzieży przyjmował wszystkich pacjentów

sir Johna, którzy akurat zgłosili się na wizytę lub starali się ją zamówić.

Robson był na tyle sprytny, by badać tylko tych pacjentów, którzy nigdy wcześniej nie odwiedzali sir Johna i z tego powodu nie mogli go rozpoznać.

Oszustwo zostało wykryte dopiero wtedy, kiedy sir John wrócił z urlopu, cztery dni wcześniej, niż zapowiedział. George Robson opuścił Wimpole Street 55 dzień wcześniej. Do sir Johna zgłosił się oburzony pacjent, który uzyskał przeciwstawną opinię o swoim stanie zdrowia. Wtedy właśnie odkryto, że każdy pacjent, którego w ciągu zeszłego miesiąca badał George Robson, usłyszał, iż zostało mu dokładnie dwadzieścia jeden dni życia.

Robson, mówił im, że cierpieli na dziwną i rzadką chorobę serca, że jest autorytetem w tej dziedzinie i że nie mogą mieć nadziei na, przeżycie. Sir John stara się skontaktować ze wszystkimi pacjentami, których badał Robson, lecz ponieważ nie wiadomo dokładnie, ilu ich było, zapewne zabierze to nieco czasu.

Wynstan najpierw przeczytał tekst szybko, a potem za drugim razem powoli. Zdał sobie sprawę, że musi on być wyjaśnieniem wszystkiego, co go intrygowało, wszystkich tajemnic Lariny. Teraz wiedział, że musi szybko ją znaleźć.

Wyskoczył z łodzi i zaczął biec wzdłuż moła. Kiedy dotarł do nabrzeża, wydało mu się oczywiste, że Larina musiała skrócić w prawo, ponieważ było tam mniej domów, a niedaleko zaczynała się droga wiodąca na szczyt zbocza.

Zaczął iść tą właśnie drogą, lecz gdy ostro skrzyła w prawo, pomyślał, że Larina nie poszłaby dalej tędy, w kierunku domów i sklepów, lecz prosto w góry. Była tu ścieżka wąska i kręta, lecz Wynstan wiedział, że musi zaufać swemu instynktowi. Był prawie pewny, że Larina poszła właśnie tędy.

Szedł rozglądając się dokoła, wdzięczny, że po zachodzie słońca pojawiły się gwiazdy, a także światło księżyca. Na początku było dość ciemno, dopiero po pewnym czasie zrobiło się jaśniej. Niebo było bezchmurne i wkrótce wyspę zalało srebrne, eteryczne i zniewalające światło księżyca.

Wkrótce Wynstan znalazł się ponad pasem porośniętym drzewkami oliwnymi. Tuż przed nim wyrosły nagle groteskowe, fantastyczne w kształtach skały.

Wciąż się wspinał, rozglądając się wszędzie za czymś białym, co wiedział, że będzie widoczne nawet wśród skał i kamieni odbijających matowym blaskiem światło księżyca.

Musiała minąć mniej więcej godzina, zanim Wynstan dojrzał wreszcie Larinę. Nie w górze, lecz na dole; jej sukienka lśniła świetlistą bielą na tle szarobiałego kamienia, na którym siedziała.

Wynstan zaczął schodzić do niej, kiedy zdał sobie sprawę, że Larina siedzi skulona na ziemi, z pochyloną głową i twarzą ukrytą w dłoniach. Teraz już nie było potrzeby spieszyć się.

Podszedł do Lariny powoli i cicho, starając się jej nie wystraszyć. Przez chwilę stał, patrząc na nią, na jej rozpacz chwytającą za serce. Potem uklęknął obok niej i objął ją delikatnie. Poczuł, że jej ciałem wstrząsają dreszcze.

- Wszystko w porządku, kochanie! - powiedział. - Rozumiem. - Przez chwilę pomyślał, że go odepchnie, lecz Larina oparła głowę o jego ramię.

- Wszystko w porządku! - powtórzył. - Nie musisz się już niż niczego bać! Wszystko skończone.

Zauważył, że jest przemarznięta, zarówno z powodu szoku, jak i nocnego powietrza, które, jeśli siedziało się w bezruchu, było chłodne. Pomógł jej stanąć na nogach i wziął ją w ramiona.

Szepnęła co niewyraźnie, jakby protestując, lecz potem objęła go jedną ręką za szyję i znów zasłoniła twarz.

Później Wynstan zastanawiał się, w jaki sposób udało mu się nie przewrócić na stromej i wąskiej ścieżce i znieść Larinę ze szczytu aż do nabrzeża. Ani razu się nie pośliznął, a tylko z rzadka potknął.

W końcu dotarł do motorówki. Przeniósł Larinę na pokład, zabrał do kabiny i posadził na koi. Chciał podłożyć jej poduszkę pod głowę i poprosić ją, by się położyła, lecz Larina zaprotestowała cicho i objęła go mocniej za szyję.

- Chciałbym przynieść ci coś do picia, najdroższa - powiedział. - I w tym momencie Larina zaczęła płakać; głęboki, załamujący się szloch wstrząsał całym jej ciałem.

Wynstan trzymał ją mocno, kołysał w ramionach jak małe dziecko i szeptał do ucha czułe słowa.

- Już w porządku, kochanie, najdroższa, moja mała, słodka Afrodyto! Nie umrzesz! Będiesz żyć! Nie ma już powodu do smutku, nic więcej nie będzie cię już martwić!

Szloch Lariny stawał się coraz cichszy... wreszcie Wynstan wyjął chusteczkę i otarł jej zamknięte oczy i łzy płynące w dół po policzkach.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytał w końcu, kiedy Larina wypła z trzymanego przez niego kieliszka parę łyków wina.

- E... Elvin powiedział... że przyjdzie do mnie... jeśli kiedyś będę go potrzebować... i kiedy... będę umierać - odpowiedziała Larina. - Nie mogłam zmusić się... by powiedzieć... komukolwiek innemu.

- Rozumiem to - powiedział Wynstan - lecz Elvin, najdroższa, nie żyje.

- Nie żyje?... - Larina znieruchomiała.

- Byłem przy nim, gdy umierał - mówił Wynstan. - Powiedział wtedy coś, co teraz zrozumiałem.

Widząc, że go słucha, mówił dalej cicho:

- Elvin powiedział: „To cudowne być... wolnym! Powiedz...” Jestem pewien, że pragnął wymówić twoje imię. Lecz jeśli to zrobił, nie usłyszałem go.

Larina zaczerpnęła głębokiego oddechu.

- Kiedy dokładnie... on... zmarł?

- Dwudziestego trzeciego marca.

- Powiedział, że mnie przywoła, gdy będzie umierał.

- Być może zamierzał to zrobić - powiedział Wynstan łagodnie.

Nagle Larina wykrzyknęła.

- Co się stało? - zapytał Wynstan.

- Dwudziesty trzeci! - zawołała. - Wiem! Wiedziałam!...

Przyszedł do mnie zgodnie z przyrzeczeniem.

- Jak to?

- O której godzinie... zmarł?

- Około dziesiątej rano.

- Czy między Londynem a Nowym Jorkiem nie ma około pięciu godzin różnicy?

- Owszem, jest.

- A więc to było tego popołudnia. Poszłam do Hyde Parku, siedziałam przy jezioru Serpentine. Czułam się taka samotna, więc zawołałam... Elvina i on przybył. W ten swój niepowtarzalny sposób... przyszedł do mnie.

W głosie Lariny było wzruszające uniesienie i kiedy spojrzała na Wynstana, zobaczył w jej oczach łzy. Lecz tym razem były to łzy szczęścia.

- Dotrzymał... obietnicy! Tylko ja nie zdałam sobie sprawy, że przyniósł mi... światło... i... życie!

- To, co sam odnalazł - powiedział Wynstan swym niskim głosem.

- Teraz rozumiem - powiedziała Larina - i myślę, że to on... zesłał mi ciebie.

- Jestem tego pewien... Ale dlaczego uciekłaś?

Schowała twarz w jego ramionach i powiedziała szeptem:

- Wstydziałam się... tego, co proponowałam. - Wynstan objął ją jeszcze mocniej, a Larina mówiła dalej: - Nie jestem... do końca pewna... co mężczyzna i kobieta robią... kiedy się... kochają, ale musi to być... cudowne... skoro bogowie... mieli zwyczaj przybierać ludzką postać...

Głos uwiązał jej w gardle.

- Kochanie, to cudowne, kiedy dwoje ludzi się kocha.

- Myślałam... że umrę... właśnie kiedy... będziesz... mnie kochał...

- Będę cię kochać, moja najdroższa mała Afrodyto, lecz wcale nie umrzesz.

Wszystko układało mu się teraz w jasną całość. Ale Larina nigdy nie powinna dowiedzieć się, co podejrzewał Harvey i w co on zaczynał już wierzyć podczas podróży z Nowego Jorku.

Harvey nigdy nie zrozumie, co się naprawdę stało, Gary także nie, lecz może pewnego dnia Wynstan będzie potrafił opowiedzieć o tym matce.

Tymczasem on znalazł Larinę, a Larina jego, i tylko to się liczyło. Byli razem, tak jak tego pragnął Elvin.

Całując czoło Lariny, powiedział:

- Nagle wszystko wydaje się takie proste, kochanie. Wszystkie trudności, komplikacje i sekrety się skończyły!

- To tak jak wyjście z ciemności do światła! - odparła Larina. - Tak się bałam... tak rozpaczliwie się bałam... umierać samotnie. - Westchnęła głęboko. - Już nigdy nie będę się bała... nawet kiedy naprawdę będę umierać... Elvin mnie tego nauczył.

Przerwała i po chwili dodała nieśmiało:

- A także... ty!

- Nim umrzemy, mamy jeszcze do zrobienia razem tyle rzeczy! - powiedział Wynstan. - Powiedziałaś wczoraj, że przede mną jest praca dla dobra innych ludzi. Myślę, że

znalazłem coś, co mnie naprawdę zainteresuje, I ciebie, mam nadzieję, też.

- Co takiego? - spytała Larina,

- Kiedy byłem w Indiach, wicekról, lord Curzon, poprosił mnie, bym mu pomagał w odnajdywaniu i restaurowaniu wspaniałych świątyń i innych zabytków w Indiach, które niszczeją na skutek zaniedbania. Są dziedzictwem światowej kultury i jeśli ktoś nie zada sobie trudu ocalenia ich, nie zainwestuje w nie, wówczas będą stracone dla potomności.

Ponownie pocałował Larinę w czoło, zanim powiedział:

- Myślę, kochanie, że możemy to robić oboje. Oboje będziemy tym oczarowani.

- Czy ty... naprawdę... mnie pragniesz? - spytała Larina ściszym głosem.

- Pragnę ciebie bardziej, niż można to wyrazić słowami. Pragnę cię nie tylko dla twojej niezwykłej urody, lecz dlatego, ponieważ dla mnie jest to także bolesna duchowa potrzeba bycia z tobą do końca naszego życia.

- Ja także tego pragnę - wyszeptała Larina.

- Natychmiast się pobierzemy - oświadczył Wynstan. - I pojedziemy na nasz miodowy miesiąc do Grecji.

Larina wydała okrzyk pełnego zachwyty.

- Czy to cię uszczęśliwi?

- Nie potrafię wyobrazić sobie czegoś... bardziej podniecającego - odparła Larina - niż zobaczyć Grecję i być z... Apollem!

Ledwie wypowiedziała ostatnie słowa, ponieważ usta Wynstana przywarły do jej ust. Całował ją żarliwie, a jednak pomyślała, że było w tym coś jeszcze cudowniejszego, nieskalanego, bardziej uświęconego, niż przedtem.

Larina czuła się, jakby uniósł ją na Olimp, gdzie obydwójce stali się bogami.

- Kocham cię! - słyszała Wynstana. - Boże, jak ja cię kocham!

Jego głos wydawał się dziwnie daleki. Było tylko światło - oślepiające światło życia, w którym nie istniała śmierć.